TYTANICZNY WYSIŁEK POLAKÓW
Jak w 1920 r. biedna Polska była w stanie wyposażyć wielką armię

CIEMNA NOC PAPIESTWA
Ponad tysiąc lat temu Stolica Apostolska znalazła się na dnie

TAJEMNICA OSTATNIEGO PTAKA MOA
Zniknięcie tych pierzastych olbrzymów było największą zagadką Nowej Zelandii

NR 8(150)/2025 SIERPIEŃ 2025

CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296 031
DO RZECZY HISTORIA

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Polacy i Węgrzy

NA WOJNIE Z BOLSZEWIĄ

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

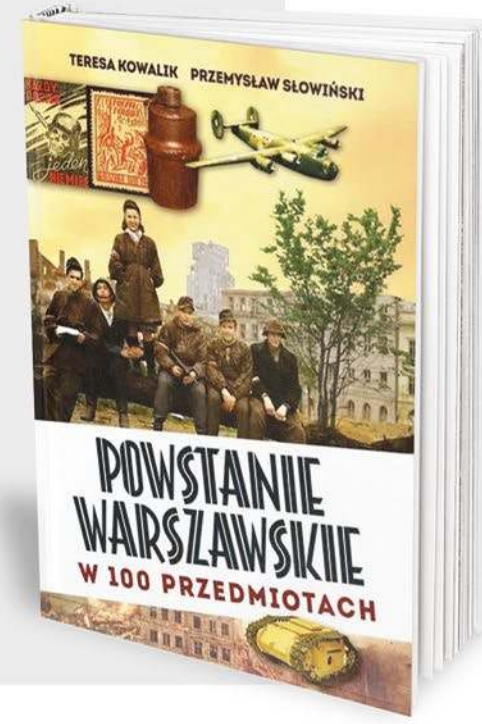
PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA TERESA KOWALIK, PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI: „POWSTANIE WARSZAWSKIE W 100 PRZEDMIOTACH"

„Powstanie Warszawskie w 100 przedmiotach" nie jest zwykłym albumem ze zdjęciami.

To nowy sposób opowiedzenia dziejów społecznych, politycznych, wojskowych, technicznych i kulturalnych Powstania. Każdy z pokazanych przedmiotów opowiada historię, którą trudno zrozumieć bez właściwego kontekstu. Przedmioty czasem zwyczajne awansowały na świadków wielkiej historii.

Powstanie Warszawskie do dziś wywołuje gorące emocje, często w poprzek tradycyjnych podziałów politycznych. Jedni twierdzą, że przyniosło tylko zniszczenie Warszawy i hekatombę cywilnych ofiar – inni utrzymują, że powstrzymało sowietyzację Polski. Nasza książka nie wnosi do tego sporu żadnego nowego komentarza politycznego czy historycznego. Przybliża za to czas próby i honoru poprzez przedmioty, rzeczy, którymi posługiwali się powstańcy, żołnierze ruszający na pomoc Warszawie i zwykli mieszkańcy.



166 zł

oszczędność 71 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl f4f31c2ab4

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Agnieszka Szpak

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Kraków, maj 1931 r.

Na plaży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

Naboje na wagę złota

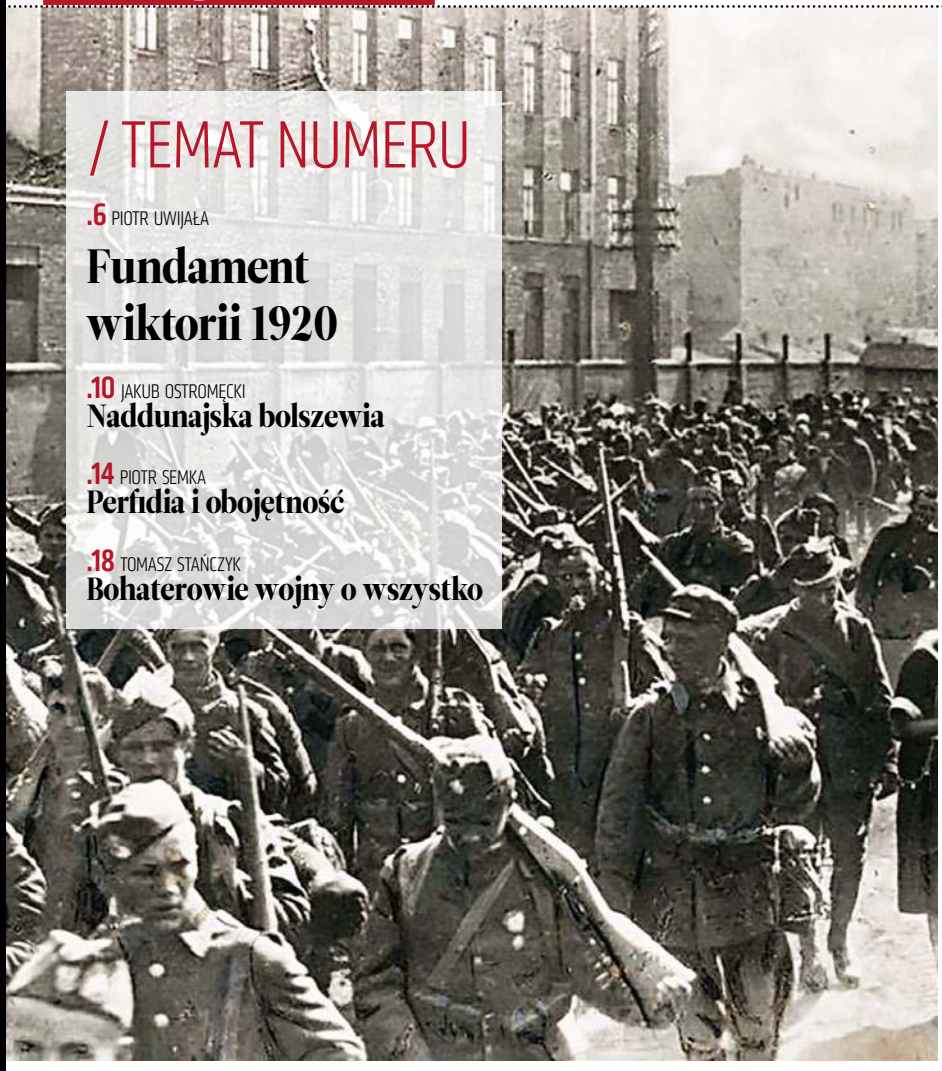
Moje rodzinne Skierniewice znane są m.in. z pięknego dworca kolejowego, uwiecznionego przez Bolesława Prusa w „Lalce". Stanisław Wokulski próbował się tu rzucić pod pociąg i na pamiątkę tej sceny na peronie ustawiono pomnik nieszczęśliwego bohatera. Mało kto zwraca jednak uwagę na niewielką płytę stojącą po drugiej stronie stacji kolejowej. Na nieco już wyblakłej tablicy możemy przeczytać: „W hołdzie narodowi węgierskiemu, który okazał Rzeczypospolitej Polskiej przyjaźń i pomoc w czasie wojny polsko-bolszewickiej".

Dlaczego akurat na stacji w Skierniewicach postawiono ten pomniczek? Ponieważ, jak możemy przeczytać dalej na tablicy, właśnie tu 12 sierpnia 1920 r. dojechał wielki transport z węgierską amunicją, niezbędną do prowadzenia skutecznej walki z bolszewikami. I to w Skierniewicach rozładowywano skrzynie z nabojami i rozwożono je po jednostkach, które niecierpliwie czekały na amunicję.

W tym numerze przypominamy współpracę polsko-węgierską w 1920 r., pokazujemy, jaką politykę prowadzili wtedy „bratankowie", i tłumaczymy, dlaczego – mimo szczerych chęci – Węgrzy nie byli w stanie wysłać do nas swoich dywizji (nie można jednak zapomnieć o udziale węgierskich ochotników, którzy wraz z polskimi żołnierzami bili bolszewików).

Ten rozdział historii Polski to wyjątkowo skomplikowana gra o przetrwanie, ocalenie niepodległości. Otoczeni przez niemal samych wrogów Polacy musieli wtedy wznieść się na wyżyny zaradności i sprytu, by zapewnić zaopatrzenie dla swojej milionowej armii. Przy okazji kolejnych okrągłych rocznic wojny 1920 r. często umyka nam ten ogromny wysiłek logistyczny, który wykonało wtedy państwo polskie. A bez tej tytanicznej pracy na zapleczu nie byłoby przecież zwycięstwa, które uratowało Europę Środkową. ©℗

eprasa.pl f4f31c2ab4



/ TEMAT NUMERU

.6 PIOTR UWIJAŁA
Fundament wiktorii 1920

.10 JAKUB OSTROMĘCKI
Naddunajska bolszewia

.14 PIOTR SEMKA
Perfidia i obojętność

.18 TOMASZ STAŃCZYK
Bohaterowie wojny o wszystko

/ CZASY I LUDZIE

.22 WOJCIECH ROGALA
Jak Bur z Afrykanerem

.28 SŁAWOMIR KOPER
Czarna noc papiestwa

.32 MAREK GAŁĘZOWSKI
Do końca na stanowisku

.36 ANNA SZCZEPAŃSKA
Dwie bazyliki św. Piotra

.40 BEATA ZUBOWICZ
„Polski Artek”

.44 ŁUKASZ CZARNECKI
Zaginiony świat Edo

.48 MIKOŁAJ IWANOW
Zagłada polskich ziemian w ZSRS

.52 JACEK KOMUDA
Była szansa na ratunek Rzeczypospolitej

.56 PIOTR KITRASIEWICZ
Totalitarny obiektyw

.60 ŁUKASZ CZARNECKI
Zagadka ostatniego Moa

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
1920: Wielki czyn i łza

.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Bezpowrotnie utracona Solidarność

.71 PIOTR SEMKA
Niedola Janusza Kłosińskiego

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Czarna „Rzesza”

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Technika tańca

/ POD PRĄD

.81 PIOTR ZYCHOWICZ
Tajemnica wielkiego terroru

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Bastogne w ogniu



eprasa.pl f4f31c2ab4

REPUBLIKA

Jak pobudka, tylko z nami! Zapraszamy do Republiki na pierwszy program śniadaniowy w Polsce. Styl życia, zdrowie, kultura, sztuka, edukacja, ciekawostki, aktywność fizyczna, historia, rodzina, prognoza pogody i kącik kulinarny. **Zapraszają Ilona Januszewska i Karol Kus.**



Od poniedziałku do piątku

5:30

sobota i niedziela

7:05

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl f4f31c2ab4



Wywiad / Z dr. Piotrem Uwijałą, historykiem, badaczem polskiego wysiłku logistycznego w trakcie wojny z bolszewikami

rozmawia Piotr Włoczyk

Fundament wiktorii 1920

Polska piechota przed Bitwą Warszawską FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CAW

PIOTR WŁOCZYK: 12 sierpnia 1920 r. do położonych między Łodzią i Warszawą Skierniewic dotarł koleją transport ok. 21 mln nabojów, które natychmiast zostały rozładowane i wysłane na front. Z czego wynikał ten pośpiech w rozładunku węgierskiej amunicji?

DR PIOTR UWIJAŁA: To był bardzo istotny transport, który dodatkowo odwracał niekorzystną tendencję. Poza nabojami zawierał także pokaźną liczbę wyprodukowanych na Węgrzech nowych magazynków (tzw. łódek) do karabinów produkcji francuskiej, które pozwalały polskim żołnierzom dużo szybciej strzelać. Zrealizowanie skutecznych dostaw amunicji w czasie, gdy drogi kolejowe przez Czechosłowację i Niemcy były już zablokowane, miało także znaczenie psychologiczne, gdyż pozwalało podtrzymać morale polskiego dowództwa, a także zwykłych żołnierzy przygotowujących się do Bitwy Warszawskiej.

Ta dostawa zapewniała amunicję do karabinów produkcji austriackiej i niemieckiej, której Polakom bardzo brakowało i której w tamtym czasie nie dało się nigdzie indziej zdobyć. Polacy zamówili wprawdzie wcześniej ten typ amunicji w fabryce w austriackim Hinterbergu, ale 18 kwietnia 1920 r. ten zakład spłonął…

Wypadek?

Nie. Za podpaleniem stali komuniści. Ten pożar był elementem sowieckiej akcji dywersyjnej prowadzonej od kwietnia 1920 r. w całej Europie, która miała zakłócić zaopatrywanie walczącej Polski.

Wojsko Polskie wykorzystywało wówczas całą mozaikę uzbrojenia. Podstawą była broń francuska zapewniona przez Polską Wojskową Misję Zakupów w Paryżu. Stanowiła ona ponad 50 proc. wszystkich karabinów – myślę tu o lebelach oraz berthierach. Akurat do nich amunicji nie brakowało.

Natomiast pozostała część karabinów wykorzystywanych w Wojsku Polskim była w ogromnej większości produkcji niemieckiej oraz austriackiej. I tu był spory problem z amunicją. W austriackie mannlichery wyposażone było ok. 20 proc. polskich jednostek. W Niemczech nie dało się zamówić tej amunicji, wielka fabryka w Hirtenbergu spłonęła, a sama Austria ogarnięta została falą strajków, więc pozostawały tylko Węgry. Gdyby nie transport, który 12 sierpnia dotarł do Skierniewic, wielu polskich żołnierzy idących do ataku miałoby raptem po kilka naboi.

Większość amunicji, która 12 sierpnia dotarła do Skierniewic, przewieziona została bezpośrednio do oddziałów mających wziąć udział w Bitwie Warszawskiej. Co ważne, amunicja do mannlicherów pasowała również do austriackich karabinów maszynowych Schwarzlose, wykorzystywanych w walkach pod Warszawą. A przypomnę tylko, że siedem brygad jazdy było wyposażonych w te karabiny maszynowe.

Byliśmy skazani na zaopatrywanie się w amunicję za granicą?

Na terenie Polski nie było wtedy żadnych większych zakładów zbrojeniowych. I to była świadoma polityka zaborców. Chodziło o to, by w przypadku wywołania kolejnego powstania Polacy nie przejęli takich fabryk.



Naboje do karabinu Mannlicher FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SEBAS

eprasa.pl f4f31c2ab4



Zakłady Manfreda Weissa na wyspie Csepel FOT. WIKIWAND.COM

Często można usłyszeć, że Węgrzy oddali nam wtedy całe swoje zapasy amunicji.

Prawdę mówiąc, gdy zaczynałem badać ten temat, to sam wierzyłem, że tak właśnie było – „bratankowie" zachowali się wtedy wobec nas jak prawdziwa rodzina. Ale w miarę zagłębiania się w ten temat musiałem zweryfikować swoje poglądy.

Żadne poważne państwo nie przekaże przecież całości swojej amunicji innemu rządowi. W rzeczywistości 8 lipca 1920 r. rząd węgierski polecił przekazać Polsce nie całość swoich rezerw, tylko własną amunicję zdeponowaną w fabryce Manfreda Weissa w Csepel – ok. 800 tys. naboi. To była tylko pewna część węgierskich rezerw.

Jak zatem oceniać wagę węgierskiego wsparcia w trakcie naszych walk z bolszewikami?

Pomoc węgierska była bardzo cenna, chociaż to nie był jedyny kierunek, z którego napływało do nas wsparcie. Francja była dla Polski niewątpliwie najważniejszym źródłem pozyskiwania materiałów wojennych, ponieważ było to mocarstwo, które wygrało wojnę i miało duży potencjał gospodarczo-wojskowy. Ale tak jak wspomniałem, tylko na Węgrzech mogliśmy w tamtym czasie zakontraktować zakup większej ilości amunicji do karabinów austriackich i niemieckich. Poza tym nie było pewne, czy do Polski dotrą na czas wszystkie trzy statki z ogromnym transportem broni i amunicji pochodzącym z francuskich magazynów w Salonikach, w tym „Triton Amsterdam". Tak więc pojawienie się transportu z Węgier oraz dotarcie wspomnianego statku do Gdańska wzmacniało nasze morale. Polacy wiedzieli też, że dostawy z Węgier będą kontynuowane. W październiku 1920 r. wyjechały w kierunku naszych granic kolejne transporty z Budapesztu. W sumie w latach 1919–1921 z Węgier trafiło do nas nie mniej niż 60 mln naboi, a z dodatkowymi zamówieniami złożonymi przez Polaków w 1921 r. liczba ta wynosić może nawet 100–110 mln naboi. Poza amunicją otrzymaliśmy jeszcze masę innego sprzętu wojskowego, m.in. 80 kuchni polowych.

Węgry, Francja i Rumunia – tylko na te państwa mogliśmy wtedy liczyć. Nawiasem mówiąc, Rumunia pomagała nam głównie nieoficjalnie, zgadzając się na potajemny przejazd polskich transportów wojskowych przez swoje terytorium, ponieważ starała się zachować pozory neutralności.

Jaka była motywacja Węgrów? Widać tu na pierwszym planie chęć ratowania własnego państwa przed bolszewizmem i ciepłe uczucia wobec Polaków?

To nie była tylko „bratnia pomoc" i obawa przed Armią Czerwoną. W grę wchodziła też wielka polityka. Po przegranej wojnie Węgrzy byli zdani na łaskę ententy. Jakby tego było mało, wśród sąsiadów nie mieli żadnych przyjaciół. Ze wszystkimi byli skonfliktowani, każdy zabrał im jakieś ziemie. Jedynym państwem, które miało dobre stosunki z Węgrami, była Polska. W centrum zainteresowania polityki zagranicznej Węgier stała wówczas idea rewizji granic. Władze węgierskie widziały w Polsce partnera, który mógł im jeszcze otworzyć drzwi do stołu negocjacyjnego w Paryżu, a pomoc materialna i wojskowa, którą oferowały, miała być swego rodzaju dyplomatyczną walutą.

Poza tym Węgrzy chcieli, by w skład ich państwa wchodziły Górne Węgry, czyli Słowacja i Ruś Zakarpacka. Byli gotowi walczyć o te ziemie z Czechami i liczyli na pomoc, co najmniej logistyczną, ze strony Polski. Gdyby to się Węgrom udało, w końcu graniczyliby z przyjaznym państwem, czyli właśnie z nami.

Przy okazji sprzedaży amunicji Polsce chcieli też zawrzeć z Warszawą tajny układ. Węgrzy wiedzieli, że Polacy kupują we Włoszech broń. I chcieli, żebyśmy również dla nich kupili tam działa, co jednak byłoby nielegalne z uwagi na zakaz ogłoszony przez ententę. Polacy nie chcieli zrażać Rumunów, którzy mogliby odebrać to jako działanie na szkodę ich interesu, więc nie zgodzili się na propozycję Węgrów.

Nie można jednak bagatelizować tego, o czym pan wspomniał – oczywiście Węgrzy wiedzieli, że jeżeli Polska upadnie, to u nich znów pojawi się komunizm, jak w 1919 r. za czasów reżimu Béli Kuna. I to było realne zagrożenie – struktury komunistyczne wciąż były na Węgrzech dosyć mocne, a w więzieniach siedziało wielu komunistów, którzy od razu zostaliby wypuszczeni. Wiem, że taki obraz motywacji Węgrów w 1920 r. nie do końca wpisuje się w wyobrażenia wielu Polaków na temat pomocy udzielonej przez „bratanków", ale prawda zazwyczaj jest bardziej skomplikowana od prostych mitów.

Poruszyliśmy kwestię pomocy czysto materiałowej, ale musimy też porozmawiać o innym wymiarze ówczesnych relacji polsko-węgierskich. Razem z Polakami bolszewików bili przecież węgierscy ochotnicy, którzy zawędrowali nad Wisłę.

Dzięki ustaleniom historyka Endre László Vargi wiemy, że od kilkudziesięciu do kilkuset węgierskich ochotników walczyło w Wojsku Polskim...

... ale była też mowa o wysłaniu do nas kilku węgierskich dywizji.

Tak. Węgrzy w lipcu 1920 r., niedługo po podpisaniu traktatu w Trianon, który okazał się dla nich bardzo niekorzystny, chcieli wysłać do Polski kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy. Był to czas, gdy bolszewicy przechodzili do ofensywy. Węgrzy liczyli, że w ten sposób ententa potraktuje ich lepiej. Oczywiście w rozmowach z Polakami używali wtedy innej argumentacji – m.in. o braterstwie broni. I na pewno te ciepłe uczucia względem Polaków były autentyczne, ale jednak główna motywacja była tu inna.

Dlaczego te plany nie doszły do skutku?

O ile wzmocnienie Wojska Polskiego było w interesie Francji i Paryż być

eprasa.pl f4f31c2ab4



Jan Romer FOT. NAC

może zgodziłby się na takie rozwiązanie, o tyle głośno zaprotestowały przeciw temu Rumunia i Czechosłowacja, nie wyrażając zgody na przejście węgierskich oddziałów przez swoje terytorium. Zachodziła tu – całkiem uzasadniona – obawa, że przemieszczająca się armia węgierska chciałaby zająć Słowację i zastosować metodę faktów dokonanych. Na podobnej zasadzie protestowali Rumuni. Francja wzięła pod uwagę zdanie Czechów, a także Rumunów.

Gdyby nie sprzeciw Czechów i Rumunów, regularne węgierskie dywizje biłyby się wtedy po naszej stronie z Armią Czerwoną?

Uważam, że ta oferta była poważna i w przypadku udzielenia zgody przez ententę zostałaby zrealizowana.

Co ciekawe, pomoc węgierska nie była zbyt eksponowana w dwudziestoleciu międzywojennym, ponieważ Polacy musieli wtedy wybrać: bliskie kontakty utrzymujemy albo z Węgrami, albo z Rumunią. Warszawa uznała wówczas, że ważniejsze są relacje z Bukaresztem, z którym zresztą zawiązaliśmy sojusz w 1921 r.

Wsparcie ze strony Węgier zostało nagłośnione w latach 30. przez samych Węgrów. Budapeszt chciał sobie zrobić w Polsce akcję PR-owską, więc nie ma się co dziwić, że skala udzielonej nam w 1920 r. pomocy została odpowiednio powiększona. I aż do dziś powtarzane są nieprawdziwe informacje, jak choćby to, że Węgrzy przekazali nam wtedy całą swoją amunicję. Jak już jednak wspomniałem, węgierska pomoc w trakcie obrony Polski przed bolszewikami była bardzo istotna na wielu płaszczyznach i to, że władze w Budapeszcie zrobiły potem wokół tego tematu kampanię propagandową, nie oznacza, że powinniśmy teraz bagatelizować ich wsparcie z 1920 r.

Blokowanie dróg zaopatrzenia dla Wojska Polskiego to cały wielki rozdział tej historii...

Do trzeciej dekady lipca 1920 r. główną trasą kolejową zaopatrującą Polskę była linia z Francji przez Niemcy do Leszna. 20 lipca Niemcy ogłosiły jednak neutralność wobec wojny polsko-sowieckiej i zablokowały możliwość przepuszczania przez swoje terytorium polskich transportów wojskowych z materiałami wojennymi.

I to nie była pierwsza taka blokada.

Najpierw w Austrii tamtejsi kolejarze postanowili zablokować polskie transporty, by pomóc Sowietom, a w maju 1920 r., po zdobyciu przez Polaków Kijowa, okazało się, że nasze sukcesy nie są na rękę Czechom – Praga zablokowała dostawy dla Polski jadące z Austrii, Francji i Włoch. Gdy Niemcy ogłosiły w lipcu 1920 r. neutralność, czekając na upadek Polski, przerwany został nasz główny szlak kolejowy.

Ostatnią deską ratunku była wydłużona i okrężna droga przez Węgry i Rumunię. I m.in. właśnie dlatego Polacy tak desperacko walczyli o Lwów – główny węzeł kolejowy zagrożony przez Konarmię Budionnego. Przy czym musimy pamiętać, że wtedy jeszcze nie istniała droga morska – ten szlak otwarto i rozwinięto dopiero w sierpniu 1920 r.

Jak widać, ogromne problemy sprawiało samo przerzucenie transportów do Polski. A jak wyglądały na początku istnienia odrodzonej Polski możliwości zakupu materiałów wojennych?

Na początku 1919 r. polskie siły zbrojne składały się głównie z ochotników. Byliśmy wtedy w stanie wystawić armię liczącą maksymalnie 100 tys. żołnierzy, ponieważ brakowało uzbrojenia i sprzętu. A przecież potrzebna była nam dużo większa armia, zważywszy na ogrom wyzwań.

Pierwsze zamówienia Polacy złożyli fabrykach Manfreda Weissa na Węgrzech, a także w Austrii i we Włoszech. Ponadto na początku 1919 r. z terenu Węgier przewieziono do Polski część uzbrojenia po rozbrojonej niemieckiej armii feldmarszałka Augusta von Mackensena. Odbyło się to za zgodą ententy i przy pomocy wojsk francuskich.

Gdy jednak w marcu 1919 r. Węgry zostały opanowane przez komunistów, ten kierunek dostaw został odcięty.

Ale i tak trzeba było szukać perspektywicznego źródła dostaw dla armii, bo przecież potencjał Węgier w tym zakresie nie był wystarczająco duży.

I dlatego trzeba było zwrócić się do państwa, które miało największe składy wszelakiego sprzętu wojskowego, broni, mundurów i amunicji, czyli do zwycięskiej Francji.

Polacy postanowili wysłać do Francji specjalną grupę wojskowych, którzy mieli się zająć pozyskiwaniem i ściąganiem do kraju zaopatrzenia dla wojska. Tak powstała Polska Wojskowa Misja Zakupów w Paryżu pod kierownictwem gen. Jana Romera. To była grupa świetnych specjalistów, którzy kupowali potrzebny wojsku sprzęt głównie od Francuzów i Amerykanów. Ci ostatni zostawili w Europie mnóstwo materiałów wojennych.

Jakie ceny zaproponowali nam Francuzi?

Początkowo zaoferowali Polakom zaporowe ceny, i to za używany sprzęt i materiały! Generał Romer pokazał tu klasę. Znał się na uzbrojeniu, był niezwykle uparty i powiedział Francuzom, że za te pieniądze kupi broń, i to nową, gdzie indziej. Zaczął więc rozmawiać z Włochami, u których zresztą zamówiliśmy już wcześniej dużo dział, i właśnie z Amerykanami. Problem polegał tylko na tym, że ame-



Pociąg armii Hallera ze sprzętem wojskowym podczas przejazdu przez Niemcy FOT. NAC

eprasa.pl f4f31c2ab4



PIOTR UWIJAŁA
„POLSKA WOJSKOWA MISJA ZAKUPÓW W PARYŻU W LATACH 1919–1921”
EKO-DOM



Statek „Triton Amsterdam” FOT. CLYDESHIPS.CO.UK

rykańskie prawo nie pozwalało sprzedawać „śmiercionośnej broni” państwom, które w momencie przystąpienia USA do konfliktu w Europie nie były w stanie wojny z państwami centralnymi. A my przecież wtedy nie istnieliśmy. W związku z tym mogliśmy kupować od Amerykanów jedynie takie rzeczy jak mundury czy auta. Co ważne, Amerykanie dali nam duży kredyt – 50 mln dol.

Francuzi w końcu zmienili zdanie?

Tak. Zobaczyli, że Polacy nie są w ciemię bici, zaproponowali nam lepsze ceny i jeszcze udzielili nam kredytów. Zresztą francuska generalicja bardziej sprzyjała Polsce niż tamtejsi politycy. Marszałek Ferdinand Foch i cały francuski sztab rozumieli, że szybkie uzbrojenie armii polskiej jest w interesie ich państwa. Polska mogła szachować Niemców, a w przyszłości – w planach Paryża – mogła wesprzeć na terenie Rosji białych generałów. Tym sposobem od wiosny 1919 r. zaczęła płynąć z Francji broń – m.in. karabiny i działa – a także amunicja. Polacy uruchomili kilka tras dostaw. Najszybsza i najtańsza była linia przez Niemcy. Generał Romer wykorzystał tu sprytnie fakt, że do Polski przerzucana była właśnie 70-tysięczna, bardzo dobrze uzbrojona armia Hallera. Przy okazji tych transportów Polacy przesłali ogromne ilości sprzętu wojskowego z Francji. Niemcy oczywiście nie mogli tego zablokować, bo ententa kazała im przepuścić armię Hallera. A czy Niemcy wiedzieli dokładnie, ile wagonów ma w związku z tym przejechać?

Dodatkowo gen. Romer uruchomił trasę południową, wiodącą z Francji przez Włochy, Austrię i Czechosłowację aż do Trzebini. To były pociągi „Polonia”. Później uruchomiono jeszcze składy „Bolonia”, czyli transporty jadące bezpośrednio z Włoch.

I te trzy linie kolejowe regularnie dostarczały do Polski uzbrojenie. Dodatkowo w listopadzie 1919 r. Polacy porozumieli się z Niemcami, uzyskując zgodę na przejazd przez ich terytorium 150 pociągów – 50 z materiałami cywilnymi i 100 z uzbrojeniem. Były to pociągi „Victoria”. I te składy kursowały aż do lipca 1920 r., do momentu wprowadzenia blokady. Natomiast przejazd „Polonii” i „Bolonii” w 1920 r. znacząco ograniczono. Powodem było wstrzymanie przez Włochów zgody na kredytowanie przejazdów przez ich terytorium.

Na co mogliśmy liczyć ze strony Londynu?

W 1919 r. Brytyjczycy nie udzielili nam żadnej pomocy. Rząd w Londynie opowiadał się za kadłubową Polską i chciał naszymi kresami „zapłacić” Rosji za jej udział w wojnie. Dopiero interwencja marszałka Focha na początku 1920 r. spowodowała, że Brytyjczycy przekazali Polakom – i to za darmo! – 50 tys. karabinów Enfield, 50 mln naboi do tej broni, 50 tys. kompletów rynsztunku wojskowego oraz 80 dział i 30 samolotów.

Całkiem sporo.

Tylko że Brytyjczycy powiedzieli Polakom, że sami mają to wszystko do siebie przewieźć. Od marca do maja 1920 r. wszystko szło dobrze. Odebraliśmy 30 samolotów i część amunicji do karabinów. Jednak po zdobyciu Kijowa przez Polaków w Londynie wybuchł wielki strajk dokerów, którzy zablokowali wysyłkę reszty sprzętu. Oczywiście było to inspirowane przez Sowietów. Ostatecznie, po wielu trudach, gdy Polacy musieli nawet uciekać się do oszustw, by przechytrzyć brytyjskich komunistów, udało się prawie wszystko przesłać do Polski.

Na początku naszej rozmowy wspomniał pan, że węgierski transport, który 12 sierpnia dotarł do Skierniewic, nie był jedynym ważnym transportem z uzbrojeniem, który dotarł do Polski bezpośrednio przez Bitwą Warszawską. Jaki był finał wielkiej dostawy uzbrojenia i amunicji, które płynęły do nas na pokładzie statku „Triton Amsterdam”?

Był to jeden z trzech statków, które udało się Polakom – po wielkich trudnościach spowodowanych działaniami Sowietów – zakontraktować w Konstantynopolu do transportu materiałów wojennych z francuskich magazynów znajdujących się na terenie greckiej Macedonii. „Triton Amsterdam” dopłynął do Gdańska 21 lipca 1920 r., czyli akurat wtedy, gdy Niemcy odcięli Polsce drogę kolejową.

Polacy tworzyli wtedy ponad 100-tysięczną Armię Ochotniczą. Nie brakowało chętnych, natomiast problemem było uzbrojenie, a szczególnie brak karabinów. Tymczasem na statku „Triton Amsterdam”, który 30 czerwca wypłynął z Salonik, znajdowało się ok. 81 tys. karabinów, a do tego dużo amunicji. Niestety, gdy tylko statek dopłynął do Gdańska, niemieccy dokerzy zapowiedzieli, że go nie rozładują.

Polacy w desperacji zakomunikowali Brytyjczykom, że jeżeli Niemcy nie chcą rozładować statku, to oni sami to zrobią, siłowo przejmując port w Gdańsku. Brytyjczycy ostatecznie sami rozładowali „Tritona Amsterdam”. Zrobili to jednak nie w porcie, tylko w Zatoce Gdańskiej – przeładowując broń i amunicję na łódki. Dzięki tej dostawie udało się uzbroić Armię Ochotniczą. Cały ten olbrzymi wysiłek na zapleczu pozwolił ostatecznie odrzucić bolszewików spod Warszawy, a następnie powalić ich w bitwie nad Niemnem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Doktor Piotr Uwijała jest historykiem i oficerem Policji, specjalizuje się w tematyce zaopatrzenia Wojska Polskiego w trakcie wojny z bolszewikami. W 2021 r. ukazała się jego książka pt. „Polska Wojskowa Misja Zakupów w Paryżu w latach 1919–1921. Pozyskiwanie i transport zagranicznego materiału wojennego dla Wojska Polskiego w okresie wojny polsko-sowieckiej”.

eprasa.pl f4f31c2ab4



Komuniści na ulicach Budapesztu, marzec 1919 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION

Dyktatura Béli Kuna / Węgierska Republika Rad

Naddunajska bolszewia



Jakub Ostromęcki

W 1919 r. nad Budapesztem załopotał czerwony sztandar. Przez tych kilka krwawych miesięcy Węgrzy na własnej skórze przekonali się, jak wyglądają bolszewickie „porządki”

Plan Lenina i Trockiego był chytry. Obiecać narodom środkowoeuropejskim sienkiewiczowskie Niderlandy, szafować prawem do samostanowienia i rozsadzać granice imperiów osłabionych wielką wojną. Na ich gruzach miało w ten sposób powstać ok. 10 państewek, ciągnących się od Estonii przez Nizinę Węgierską do Morza Czarnego. Biednych, ze wsiami, które z braku inwentarza nie mogły wyżywić ludności, i z miastami pełnymi sfrustrowanych robotników.

W takim zamieszaniu niechybnie musiały wybuchnąć rewolucje, na wzór tej rosyjskiej z 1917 r. Na ich czele stanąć mieli zawodowcy. Lepiej przemawiający, lepiej zorganizowani, bardziej bezwzględni, sprawniej grający na ludzkich emocjach i strachach, obiecujący więcej chleba i pracy niż cała reszta polityków. W ten sposób Europa zapełniłaby się republikami sowieckimi – łotewską, polską, ukraińską... Lokalne bolszewickie kadry będą oczywiście wykute w Moskwie pod czujnym okiem tamtejszych instruktorów. Znikną stare granice i powstanie jedno wielkie państwo robotników i chłopów. W powersalskiej Europie Środkowej ten plan ziścił się tylko w przypadku Białorusi i Ukrainy. Ale niewiele brakowało, aby ich los podzieliły w 1919 r. Węgry.

Nędza na gruzach imperium

W 1918 r. sytuacja w upadających Austro-Węgrzech była tragiczna. Brakowało węgla, nafty, soli, a nawet drewna. Po ulicach włóczyli się bezrobotni, szalała inflacja, nie wystarczało nawet na farbę drukarską, banknoty drukowano więc tylko z jednej strony. Kraje ententy nie rozróżniały za bardzo dwóch części składowych monarchii, traktując Królestwo Węgier jak wroga i współsprawcę wojny. W tej sytuacji elity Korony Świętego Stefana zaczęły głowić się nad tym, jak uciec przed zemstą zwycięzców. Najprostszym sposobem było ogłoszenie niepodległości, czyli oderwanie od imperium Habsburgów połowy terytorium i stwierdzenie z miną niewiniątka, że Węgrzy z wybuchem wojny nie mieli nic wspólnego.

28 października 1918 r. z Pesztu ku zamkowi w Budzie ruszyła manifestacja

eprasa.pl f4f31c2ab4

domagająca się mianowania premierem Mihálya Károlyiego – arystokraty, niepodległościowca, którego poglądy polityczne sytuowały się gdzieś między liberalizmem a socjalizmem. Tak wybuchła rewolucja astrów – nazwana tak od kwiatów wpinanych w wojskowe czapki, kapelusze mieszczan i wymięte kaszkiety robotników. Na moście Łańcuchowym manifestację zatrzymała prohabsburska policja konna, która zaczęła bić tłum płazami szabel, a wkrótce otworzyła ogień. Zginęło kilka osób, natomiast kilkadziesiąt zostało rannych.

Kilka dni później arcyksiążę Józef ugiął się i mianował Károlyiego premierem. 13 listopada 1918 r. cesarz Karol Habsburg zrzekł się korony węgierskiej. Prezydentem nowo utworzonego państwa został Károlyi, łącząc dwie publiczne funkcje. Tak narodziła się niepodległa Węgierska Republika Ludowa. Jej pierwszą ofiarą był ekspremier István Tisza, oskarżany o przegraną w wojnie i wysokie straty. Zamordowali go w domu byli żołnierze, być może komuniści, na oczach jego żony.

Wszyscy w Budapeszcie jak jeden mąż cieszyli się z końca wojny. I wszyscy naiwnie wierzyli, że nowo utworzone państwo, które zerwało z Habsburgami, zachowa odwieczne granice – od Tatr do Bucegów (z utratą Chorwacji z jakiegoś powodu pogodzono się dość szybko). Węgrzy pragnęli mieć ciastko i zjeść ciastko. Wspierali samostanowienie Słowaków i siedmiogrodzkich Rumunów, broniąc jednocześnie zasady integralności swojego państwa, które miało się stać federacją. Ententa nie chciała jednak o tym słyszeć i potraktowała niepodległe Węgry jako spadkobiercę złowrogiego imperium. W Paryżu mówiło się, że w tej części Europy pokój nastanie tylko wtedy, gdy powstaną tam niepodległe państwa narodowe. W wyniku konwencji belgradzkiej zmuszono zatem armię węgierską do wycofania się z Wojwodiny i Slawonii daleko na północ, gdzie z grubsza przebiega dziś południowa granica Węgier. Węgrzy mogli tam zachować jedynie administrację cywilną – zresztą wkrótce i ona została stamtąd wyproszona przez Serbów i Francuzów.

Tymczasem z północnego zachodu uderzyli Czesi, przystępując do budowy Czechosłowacji, a do Siedmiogrodu przez



Mihály Károlyi

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GYUJTEMENYEK.MNM.HU

Karpaty wchodzili Rumuni. Károlyi zareagował na to w sposób niebywały. Prezydent wierzył, że daleko posunięta uległość wobec zwycięzców złagodzi ich gniew i na przyszłej konferencji pokojowej będą oni ostatecznie hojni dla Węgier. Trudno było w tym czasie znaleźć w Europie bardziej naiwnego pacyfistę niż prezydent Węgier. Wtórował mu zresztą jego minister wojny Béla Linder. „Nie potrzeba nam już armii. Nie chcę więcej żołnierzy" – powiedział, rozpuszczając wojsko.

Pacyfizm i uległość Węgierskiej Republiki Ludowej szły w parze ze śmiałymi i z nowoczesnymi reformami społecznymi. Prawo wyborcze otrzymali wszyscy potrafiący czytać i pisać, czyli 50 proc. ludności. Głosowanie było tajne. W marcu 1919 r. wprowadzono ośmiogodzinny dzień pracy i zakaz zatrudniania dzieci. Rozpoczęto reformę rolną, która jednak nie okazała się sukcesem. Sytuacja w kraju była bardzo napięta.

Pucz Kuna

Tymczasem na Węgry przybył z Rosji Béla Kun wraz z 80 najwierniejszymi towarzyszami, głównie pochodzenia żydowskiego. Ten zmobilizowany do wojska dziennikarz od 1916 r. przebywał w rosyjskiej w niewoli. W obozie jenieckim, jak wielu kolegów, zaraził się bolszewizmem. Widział, że władze carskie dużo lepiej traktowały oficerów niż szeregowych, a Węgrów i Niemców gorzej niż Słowian. Najważniejsze jednak, że bolszewicy obiecywali lepszy świat i rychłe zakończenie wojny, co oznaczało powrót jeńców do domu. Kun szybko awansował. Po zwolnieniu z niewoli został szefem węgierskiego oddziału partii bolszewickiej i spotykał się Jakowem Swierdłowem oraz Leninem. Jego kolega, Tibor Szamuely, kazał rozstrzeliwać w tym czasie węgierskich jeńców, którzy nie chcieli przyłączyć się do bolszewików. Kun wrócił w dogodnym dla siebie momencie. Na Węgrzech panował chaos, rząd był słaby, a on miał pod sobą kadry i – co najważniejsze – dużo pieniędzy od centrali w Moskwie. Károlyi zdawał



Béla Kun przemawia na wyspie Csepel, 1919 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARCHIVE.ORG

eprasa.pl f4f31c2ab4



Proklamowanie Węgierskiej Republiki Rad, 21 marca 1919 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

sobie sprawę z bolszewickiej agitacji. Powinien był rozstrzelać Kuna i jego kolegów. Zamiast tego wsadził ich tylko do więzienia, ale taki półśrodek był na nic. W sfrustrowanym społeczeństwie byli już bowiem za bardzo znani.

Uległość wobec ententy przyniosła opłakane skutki w marcu 1919 r. Wojska rumuńskie, francuskie i czeskie okupowały już nie tylko obrzeża dawnych Wielkich Węgier, lecz także tereny etnicznie węgierskie. Prezydent wpadł wtedy na drugi niemądry pomysł. Stwierdził, że granice Węgier może uratować tylko sojusz z proletariatem i… Rosją bolszewicką. To właśnie z tego powodu przylgnął do niego przydomek Czerwony Hrabia. Węgierski przywódca zaproponował socjalistom większość tek ministerialnych, a ustępując ze stanowiska, rzekł: „Oczywistym celem dalszej okupacji kraju jest uczynienie z Węgier obszaru marszowego i operacyjnego przeciwko armii sowieckiej walczącej na granicy z Rumunią. A terytorium nam skradzione byłoby łupem dla wojsk rumuńskich, którymi chcą zmiażdżyć armię rosyjsko-sowiecką. Ja, jako tymczasowy prezydent Węgierskiej Republiki Ludowej, […] zwracam się do proletariatu całego świata o sprawiedliwość i pomoc, rezygnuję i oddaję władzę ludowemu proletariatowi Węgier”.

Socjaliści będący od kilku dni w rządzie Károlyiego urządzali tajne spotkania z siedzącymi w więzieniu komunistami i uzgadniali z nimi przejęcie władzy. 21 marca 1919 r. prezydent zrezygnował z urzędu, a już dzień później Budapeszt obudził się pokryty czerwonymi flagami. Kun – od tego dnia formalnie komisarz spraw zagranicznych, a faktycznie szef rządu – zakomunikował narodowi, że władzę przejął proletariat. Tak narodziła się Węgierska Republika Rad.

Najwyższym organem nowego państwa stała się Rewolucyjna Rada Rządząca. Jej naddunajski herszt pozostawał w ciągłym kontakcie z rosyjskim mentorem, w ciągu kilku miesięcy wymieniając 218 depesz telegraficznych. Instrukcje były jasne: „Dyktatura proletariatu zakłada zastosowanie bezwzględnie surowej, szybkiej i stanowczej przemocy w celu zdławienia oporu wyzyskiwaczy, kapitalistów, obszarników i ich sługusów. Kto tego nie zrozumiał, ten nie jest rewolucjonistą”.

Nowa władza szybko się do niech zastosowała. Na murach węgierskich miast pojawiły się obwieszczenia: „W państwie proletariuszy tylko pracujący mają prawo do życia!”. Na początku obniżono cenzus wieku do 18 lat, z grona głosujących rugując jednak księży i „wyzyskiwaczy”, czyli każdego, kto ośmielił się zatrudniać innych i zarabiać więcej od swoich pracowników. Zlikwidowano dawne instytucje samorządowe i sądownicze, zamiast nich tworząc lokalne rady i trybunały w większości składające się z niepiśmiennych chłopów i robotników. Zresztą i tutaj partia dbała o to, by do władz nie dostawali się ludzie „ideologicznie niepewni”, czyli wierzący, afirmujący węgierskość i przywiązani do tradycji.

Marks zamiast Arpadów

Naddunajscy bolszewicy musieli jak najszybciej pokazać biedocie, że dbają o jej interesy. Na papierze zmiany wyglądały zaiste imponująco. Do wprowadzonego jeszcze pod koniec istnienia Węgierskiej Republiki Ludowej ośmiogodzinnego dnia pracy doszły obniżka czynszów o 20 proc. i zwiększenie pensji. Nie polepszyło to jednak losu robotników, skoro np. kilogram słoniny kosztował ponad jedną trzecią ich pensji. Inflacja szalała w najlepsze. Bieda nie przeszkadzała jednak w urządzaniu hucznych obchodów Święta Pracy.

Komunizm oznacza zniszczenie własności prywatnej. Upaństwowiono więc wszystkie zakłady produkcyjne zatrudniające powyżej 20 pracowników, ale władza nie trzymała się sztywno tego progu, systematycznie go obniżając. Właściciele musieli pożegnać się ze swoimi bankami, hotelami, kamienicami i sklepami. Oczywiście bez odszkodowania. Przepadły depozyty i cała zawartość skrytek bankowych. Nie wolno było posiadać dzieł sztuki, a nawet znaczków pocztowych. Ludzie masowo zakopywali zatem swoje oszczędności i biżuterię w domowych ogródkach lub chowali je w innych skrytkach. Wedle bolszewickich zwyczajów do prywatnych mieszkań przymusowo dokwaterowywano lokatorów przenoszonych z robotniczych ruder, niejednokrotnie kryminalistów czy prostytutki. Zmiany nie ominęły oczywiście wsi, gdzie masowo wywłaszczano ziemian i rabowano majątki kościelne. Małorolni chłopi zrazu zadowoleni byli z reformy, ale komuniści nie zamierzali oddawać nikomu zrabowanej ziemi, lecz natychmiast ją nacjonalizowali, zmuszając chłopów do przystępowania do spółdzielni. Stanie się to jedną z przyczyn rychłego upadku węgierskich bolszewików.



Plakat z hasłem „Do broni!” FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RÓBERT BERÉNY

Naddunajski bolszewizm nie mógł się obyć bez całkowitej przebudowy edukacji i kultury. Z sal lekcyjnych zniknęły krzyże, zakazano modlitw, a profesorowie o „reakcyjnych” poglądach nie mogli wykładać. Dzieci nie uczyły się już historii Węgier, lecz wkładano im do głów dzieje walki klas. Jedyną pozytywną, zdawałoby się, zmianą było wydłużenie obowiązku nauki w szkole podstawowej. Dla żyjących w skrajnej nędzy chłopów, potrzebujących

eprasa.pl f4f31c2ab4



Tibor Szamuely FOT. COMMONS WIKIMEDIA

każdej pary rąk do pracy, wypełnienie tego obowiązku było jednak niemożliwe.

Rewolucja dotknęła również symboliki ważnej dla Węgrów. Jednym z centralnych i najbardziej rozpoznawalnych miejsc w Budapeszcie jest plac Tysiąclecia. Na jego środku ustawiono 36-metrową kolumnę z archaniołem Gabrielem, który miał objawić się pierwszemu królowi Węgier. Pomnik ten komuniści kazali obudować deskami i przykryć czerwonymi szmatami, stawiając obok gipsowy postument Marksa. Podobny los spotkał inne ważne dla Węgrów miejsca i pomniki. Przywiązanie do dawnych bohaterów, wodzów, afirmacja patriotyzmu stały w sprzeczności z internacjonalistycznym bolszewizmem, który za Marksem powtarzał, że „proletariusz nie ma ojczyzny".

Nowy system popierali w pierwszej kolejności robotnicy fabryczni (głównie z Budapesztu) i rolni oraz wielu nauczycieli i przedstawicieli wolnych zawodów wierzących, że właśnie budują lepsze jutro. Drobnomieszczaństwo było podzielone, natomiast wielkimi przeciwnikami reżimu Kuna, oczywiście obok ziemian i dawnych urzędników, byli średniozamożni chłopi oraz całe rzesze Węgrów przerażonych tym, że nowa władza zakaże im wiary w Boga.

Przeciwko opornym rozpętano terror. Jego architektem był komisarz ludowy Tibor Szamuely. Sprawował on kontrolę nad Czerwoną Strażą oraz – za pośrednictwem Józsefa Csernyego – nad bardziej wyspecjalizowaną i okrutną Grupą Terroru Rewolucyjnej Rady Rządzącej, ubraną wzorem czekistów w skórzane kurtki i kaszkiety. Ich ulubionym narzędziem pracy był pociąg pancerny, którym wyruszali do zbuntowanych gmin, aby siać terror, brać zakładników i mordować. Szamuely nie był typem funkcjonariusza działającego w białych rękawiczkach. Lubił wieszać osobiście. Pewnego razu na rynku w Szolnok jakiś uczeń zaczął błagać Szamuelyego o darowanie życia ojcu. Komisarz kazał młodzieńcowi iść precz, na co ten w akcie desperacji nawał go dziką bestią (w tamtych czasach było to srogą obelgą). Szamuely powiesił więc syna obok ojca. Obie ofiary, podobnie jak ich kat, były Żydami. Przez ponad cztery miesiące organy Węgierskiej Republiki Rad zamordowały ok. 600 osób.

Lenin nie pomoże

Węgierscy komuniści wiedzieli bardzo dobrze, że nie przetrwają bez pomocy Lenina – same pieniądze słane z Rosji bolszewickiej nie wystarczały. Armia Czerwona musiałaby jednak przejść prze Karpaty i rozlać się po Nizinie Panońskiej i Siedmiogrodzie, bijąc Rumunów. Najbliższa osiągnięcia tego celu była w marcu i kwietniu 1919 r., czyli na samym początku istnienia Węgierskiej Republiki Rad. Wojska bolszewickie stały wówczas nieopodal Odessy, znajdując się w linii prostej 200 km od Łuku Karpat.

Utworzona w marcu Węgierska Armia Czerwona zamierzała... pomóc armiom Lenina. Były to oczywiście rojenia. Najpierw trzeba było bowiem pobić Rumunów, a ci, szkoleni i wyposażeni przez Francuzów, byli na to zbyt silni. Co więcej, to sami Rumuni przeszli do ofensywy. Ułatwił im to niespodziewany sojusznik. Dywizje złożone z Szeklerów (krewnych Węgrów zamieszkujących Transylwanię), przez stulecia patrzących na Rumunów jak na parobków, stanęły teraz po ich stronie w imię walki z komunizmem. Rumunii zajęli więc Siedmiogród i szykowali się do wejścia na Nizinę Panońską. Z kolei na wschodniej Ukrainie to biali gromili teraz czerwonych. „Pomocy z Moskwy nie będzie, bo sama władza sowiecka jest w bardzo trudnej sytuacji" – zakomunikował Szamuelyowi Lenin.



Plakat przedstawiający inwazję węgierskiej Armii Czerwonej na ziemie słowackie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARCHIVE.ORG

W maju Węgierska Republika Rad spróbowała szczęścia na północy, próbując wyprzeć Czechów z Miszkolca i ze Słowacji. Udało się. Czerwoni Węgrzy stanęli nawet niedaleko granic Polski i utworzyli efemeryczną, „bratnią" Słowacką Republikę Rad pod kierownictwem Antonína Janoušeka. Ententa kazała jednak Węgrom wycofać się stamtąd, obiecując na odczepne, że „w nagrodę" zmusi Rumunów do odejścia daleko za Cisę. Słowa nie dotrzymała, więc węgierscy bolszewicy, coraz bardziej osamotnieni, spróbowali uderzyć na Rumunów. Ponieśli klęskę, a ich armia się rozpadła. Tym sposobem w sierpniu 1919 r. Rumuni przemaszerowali po Budapeszcie (1 sierpnia Kun czmychnął przez Wiedeń do bolszewickiej Rosji).

Na odchodne wódz budapeszteńskich komunistów bredził jeszcze bezczelnie: „Węgierski proletariat zdradził nie swoich przywódców, ale siebie [...]. Gdyby na Węgrzech istniał proletariat mający świadomość dyktatury proletariatu, nie upadłby w ten sposób". Z kolei krwawy Szamuely zastrzelił się podczas próby nielegalnego przekroczenia granicy, gdy Austriacy zamierzali go zatrzymać.

2 sierpnia 1919 r. odrodziła się Węgierska Republika Ludowa, zdana na łaskę ententy. Wschodnia część kraju była okupowana przez Rumunów aż do kwietnia 1920 r. Wydarzenia z marca 1919 r. pokazały, że w Budapeszcie probolszewicką politykę gotowi są prowadzić nie tylko komuniści. Na szczęście dla nas w odnowionej Węgierskiej Republice Ludowej opcja ta nie była reprezentowana, nie mówiąc już o odnowionym w 1920 r. Królestwie Węgier.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4f31c2ab4



Generał Hans von Seeckt (z lewej) rozmawia z prezydentem Paulem von Hindenburgiem. Styczeń 1920 r. FOT. SCHERL/SZ-PHOTO/FORUM

Sąsiedzka „pomoc” / Berlin, Praga i Kowno wobec Polski

Perfidia i obojętność



Piotr Semka

Gdy bolszewicy maszerowali na Warszawę, w Berlinie, Pradze i w Kownie wznoszono toasty za rychły upadek sąsiada. Pamięć o tej wrogiej postawie w czarnej godzinie położy się cieniem na stosunku elit międzywojennej Polski do Niemców, Czechów i Litwinów

„Saisonstaat” to niemieckie, pogardliwe określenie używane w berlińskiej prasie po 1918 r. było świadectwem głębokiego lekceważenia nowo powstałego państwa polskiego. Niechęć wobec Warszawy przejawiali w Niemczech zarówno politycy lewicy, jak i prawicy. Pojawienie się niepodległej Polski, która sięgnęła po Pomorze i Wielkopolskę, a w sprawie Górnego Śląska toczyła spór dyplomatyczny z Berlinem, było w opinii Niemców pomyłką historii.

Politycy w Berlinie uważali Polaków za niewdzięczników, którzy już wcześniej pokazali swoją „podłość”. Zlekceważyli przecież wspaniały – przynajmniej w pojęciu Niemców – „podarunek” w postaci aktu 5 listopada 1916 r., kiedy to kajzerowska Rzesza razem z cesarstwem austro-węgierskim zgodziły się na istnienie kadłubowej Polski.

Polacy oczywiście nie zadowolili się tym ochłapem rzuconym przez dwóch germańskich władców i upomnieli się o Polskę – przynajmniej do pewnego stopnia – nawiązującą do granic sprzed pierwszego rozbioru. Dla Niemców oznaczało to jednak utratę Pomorza Gdańskiego, Wielkopolski oraz oburzające plebiscyty na Górnym Śląsku oraz na Warmii i Mazurach.

Polskę postrzegano jako państwo powstałe w wyniku intryg znienawidzonej Francji, która w Berlinie kojarzyła się z polityką „okrążania Niemiec”. Dla odmiany: niemieckie elity bardzo życzliwie patrzyły na nowy reżim bolszewicki. Owszem, niemieccy arystokraci i generalicja ostro sprzeciwiali się jakimkolwiek rewolucjom na terenie samych Niemiec, ale jednak reżim Lenina uważano za cennego sojusznika w rozgrywce ze zwycięską ententą. Przy czym Niemcy wychodzili z założenia, że marksistowski amok prędzej czy później ustąpi miejsca nowej, stabilnej formie nacjonalistycznej Rosji.

Zadusić Polskę

Wiosna i lato 1920 r. były okresem, gdy Niemcy zaczęły patrzeć z nadzieją na wojnę Rosji bolszewickiej z Polską. Różne grupy Niemców miały w związku z tym różne oczekiwania. Niemieccy komuniści i część socjalistów marzyli, że marsz armii sowieckich w kierunku Warszawy będzie wstępem do „wyzwolenia” całego Zachodu. Z kolei reakcjoniści mieli nadzieję, że zaduszą Polskę cudzymi – czerwonymi – rękami.

Pilnie śledzono doniesienia o wycofywaniu się Polaków z Ukrainy, a potem o wejściu sił sowieckich na rdzenne polskie ziemie. Niemcy mieli nadzieję, że

eprasa.pl f4f31c2ab4

w powstałym chaosie Rzesza odzyska Pomorze Gdańskie z samym Gdańskiem czy też Wielkopolskę. Zakładano, że Rosjanie dojdą do granicy z Niemcami i wspaniałomyślnie oddadzą Berlinowi wszystkie terytoria, które odpadły od republiki weimarskiej na rzecz Polski.

Rachuby niemieckie nie były bezpodstawne. Polacy chcieli bezpieczeństwa dla swoich zachodnich granic, a problemem był brak lojalności ze strony niemieckiej mniejszości. Już lipiec 1920 r. przyniósł pierwsze zderzenie polsko-niemieckie. Rzeczpospolita przegrała plebiscyt na Warmii i Mazurach. Wciąż nie było wiadomo, czy odbędzie się plebiscyt na Górnym Śląsku. Niemcy żartowali, że wystarczy odwlekać termin głosowania mieszkańców „Oberschlesien", aby doczekać się konnej amii Budionnego i z ulgą otworzyć szampana po upadku polskiego „państwa sezonowego".

Przekonanie o niezdolności Polaków do stworzenia trwałego aparatu państwowego było dla wielu Niemców politycznym wyznaniem wiary. Poza tym Polaków obsadzano w odpychającej roli nędznych szakali, którzy skorzystali z chwilowego osłabienia Niemiec, aby oderwać od Rzeszy jej wschodnie prowincje. Ulubionym motywem karykaturzystów niemieckich był polski ratlerek ujadający zza pleców francuskiego oficera w kepi i ze szpicrutą w ręku. Notabene dokładnie te same stereotypy znaleźć można było w tym czasie w sowieckiej propagandzie. To właśnie wtedy pojawił się użyty po 17 września 1939 r. obraźliwy slogan o Polsce jako o „bękarcie traktatu wersalskiego". Na podobnej zasadzie w Niemczech oklaskiwano Lenina za to, że określił układ pokojowy z 1919 r. „traktatem rabusiów i łupieżców".

Już wiosną 1920 r. w rozmowach z radą ambasadorów ententy dowództwo Reichswehry, powołując się na zagrożenie ze Wschodu, żądało, by niemiecka armia mogła liczyć 200 tys. żołnierzy, a nie – jak ustalał to traktat wersalski – jedynie 100 tys. Hans von Seeckt, głównodowodzący Reichswery, chciał, by Rzesza wróciła do grona wielkich mocarstw



Gaj-Chan (Hajk Byżyszkian) FOT. COMMONS WIKIMEDIA

jako zapora przed czerwonym pożarem nadciągającym ze Wschodu. To, że wojska Lenina mogą przekroczyć granicę wschodnią Rzeszy, uważano za mało prawdopodobne. Natomiast z przyjemnością przyjęto by zniszczenie Polski i powrót do granicy niemiecko-rosyjskiej według stanu z 1914 r. Jedynymi, którzy czuli pewien niepokój, byli mieszkańcy wschodniopruskich mazurskich miast, jak choćby Pisz czy Ełk, które rosyjska armia spaliła w czasie pierwszej inwazji rosyjskiej w latach 1914 i 1915.

Aby uspokoić obawy, 22 lipca 1920 r. rząd niemiecki wprowadził stan wyjątkowy na terenie Prus Wschodnich. Bezpośrednią władzę nad tym obszarem przejął gen. Johannes von Dassel, dowódca pierwszego okręgu wojskowego w Królewcu. Znacznie uszczuplona Reichswehra obsadziła granicę polsko-niemiecką i bacznie obserwowała, co się dzieje po drugiej stronie. Efekty działania sowieckiego walca, który parł na Warszawę, szybko dało się zauważyć na tej granicy. 30 lipca 1920 r. ok. 2 tys. polskich żołnierzy odciętych przez korpus Gaj-Chana przeszło niemiecką granicę koło wsi Prostki niedaleko Ełku. Oddziały bolszewickie posuwały się wzdłuż pruskiej granicy, docierając w połowie sierpnia w okolice Działdowa, Brodnicy, Lidzbarka i Lubawy. Na zajętych przez krasnoarmiejców terenach żyjący tam Niemcy okazywali żywiołową radość. Wywieszano cesarskie flagi, a dawni niemieccy urzędnicy obejmowali stanowiska w miejscowych urzędach. Ludność germańska była pewna, że „skończyła się polska niewola" i „ukradzione ziemie" wrócą do Rzeszy. Równolegle aktywizowali się też niemieccy komuniści i tzw. niezależni socjaliści, którzy dla odmiany wywieszali czerwone sztandary i zaczynali tworzyć rady rewolucyjne. Z danych polskiego wywiadu wynikało, że takie organy niemieccy komuniści zamierzali stworzyć w Toruniu i Grudziądzu.

W oczekiwaniu

Niemiecki rząd koalicyjny kanclerza Konstantina Fehrenbacha z partii Centrum 20 lipca 1920 r. ogłosił neutralność Niemiec wobec konfliktu polsko-bolszewickiego. Po cichu jednak szef niemieckiej dyplomacji, Walter Simons, skontaktował się ze swoim sowieckim odpowiednikiem, Gieorgijem Cziczerinem, proponując normalizację stosunków dyplomatycznych i wymianę ambasadorów. Strona niemiecka w niejawny sposób wyraziła nadzieję na powrót (na wschodzie) do granic z 1914 r. Zaapelowano też, aby na zajętych terenach Armia Czerwona zachowywała się w sposób poprawny wobec niemieckiej ludności cywilnej. Cziczerin podjął dialog, choć na razie niczego konkretnego nie obiecał. Czy Lenin planował dalszy marsz na zachód po zdobyciu Polski? Niczego nie wykluczano, ale na razie Moskwa skupiała się na ustanowieniu Polskiej Republiki Sowieckiej. Józef Mackiewicz w książce „Lewa wolna" wspomina, że w Wilnie stacjonował oddział dobrze wyszkolonych i uzbrojonych niemieckich



Sowieccy kawalerzyści w Działdowie FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl f4f31c2ab4



Polscy jeńcy i żołnierze litewscy FOT. COMMONS WIKIMEDIA

spartakusowców. Mieli oni wkroczyć na teren Niemiec z bratersko wyciągniętą dłonią jako awangarda niemieckiego proletariatu.

Niemcy również czekały. Von Seeckt nie reagował na inicjatywy porywczych oficerów, którzy proponowali, by prewencyjnie zająć Pomorze i Wielkopolskę, zanim wejdą tam na dobre oddziały Armii Czerwonej. Głównodowodzący Reichswehry wiedział, że byłoby to złamanie traktatu wersalskiego. Nadzieje Niemców zgasły jednak równie szybko, jak zapłonęły. Tak lekceważeni przez Berlin Polacy przeszli 16 sierpnia do kontrofensywy. 20 sierpnia pierwsze sowieckie oddziały zaczęły przekraczać granicę Prus Wschodnich, ratując się przed okrążeniem przez polskie wojska. Łącznie w Prusach schroniło się ok. 45 tys. krasnoarmiejców, których internowano. Niemcy zrozumieli, że na dłużej muszą pożegnać się z Pomorzem i Wielkopolską. Dlatego wszystkie swoje nadzieje związali z plebiscytem na Górnym Śląsku, który miał się odbyć 20 marca 1921 r.

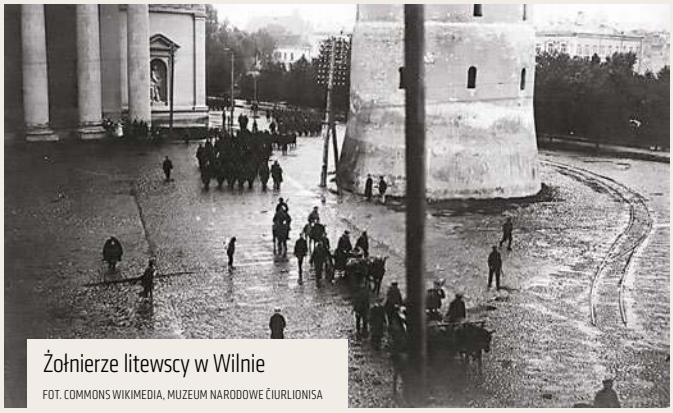
Litewski nóż w plecy

Już jesienią 1919 r. szef sowieckiej dyplomacji zaczął proponować Radzie Komisarzy Ludowych, aby zawrzeć traktaty pokojowe z państwami bałtyckimi. Celem było skupienie się na Polsce i Rumunii. Lenin nie chciał jednak wyrzec się marzeń o rewolucyjnych reżimach w Tallinie, Rydze i Wilnie, więc początkowo odrzucał sugestie Cziczerina. Swoje stanowisko zmienił między listopadem 1919 r. a styczniem 1920 r., gdy napór białych na Syberii i z rejonu Powołża zmusił władze bolszewickiej Rosji do ustalenia realistycznej hierarchii priorytetów politycznych i wojskowych.

Jako pierwsza, 2 lutego 1920 r., pokój z Sowietami zawarła Estonia. Podobne negocjacje podjęła też niepodległa Łotwa, która podpisze umowę z Leninem w sierpniu 1920 r. Ale o ile władze estońskie i łotewskie chciały jedynie zakończenia wyniszczającej dla swych krajów wojny, o tyle przywódcy litewscy chcieli pójść dalej. Po tym, jak w kwietniu 1919 r. Wojsko Polskie zajęło Wilno, elity litewskie z Kowna marzyły o odbiciu grodu Giedymina przy pomocy rosyjskich bolszewików. Było to polityczne szaleństwo, gdyż bez silnej Polski jako zapory przed bolszewizmem niepodległość Litwy kowieńskiej byłaby zapewne liczona w tygodniach.

A jednak obsesyjna chęć zdobycia Wilna popchnęła szefa litewskiej dyplomacji, Juozasa Urbšysa, do zawarcia 12 lipca 1920 r. traktatu w Moskwie. Tajna klauzula z 6 sierpnia 1920 r. gwarantowała Litwinom przekazanie Wilna do 1 września 1920 r.

Z tego powodu nie tylko w Berlinie, lecz także w Kownie z ogromnymi nadziejami śledzono marsz wielkich sowieckich armii w kierunku Warszawy. Dwa dni po zawarciu traktatu z Litwinami wojska sowieckie wkroczyły do Wilna. 19 lipca Armia Czerwona, we współpracy z armią litewską, zajęła Sejny – jeden z głównych ośrodków miejskich Suwalszczyzny. Traktat zawarty w Moskwie obiecywał Litwinom oddanie im nie tylko Wilna, lecz także Suwalszczyzny – aż do Augustowa i ziemi grodzieńskiej. Sowieci po opanowaniu miasta kurtuazyjnie przyjęli litewskiego komendanta Wilna, ale dysponował on jedynie trzema batalionami. Władza wysłannika Kowna była więc czysto formalna. Józef Mackiewicz opisywał, że litewski komendant sprawował władzę jedynie nad wileńską pocztą główną, podczas gdy reszta strategicznych punktów miasta była kontrolowana przez Czeka lub Armię Czerwoną.



Żołnierze litewscy w Wilnie
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE ČIURLIONISA

Komuniści w Wilnie czekali na wiadomości o zdobyciu Warszawy i z dnia na dzień organizowali coraz to bardziej masowe demonstracje, które zaczęły atakować „burżuazyjną klikę w Kownie". Tak naprawdę wileńscy komuniści czekali już tylko na dogodny moment, aby rozprawić się z prezydentem Antanasem Smetoną i rządem premiera Kazysa Griniusa.

Po bitwie nad Niemnem gen. Tadeusz Rozwadowski chciał przeprowadzić manewr zajęcia Wilna i całej Litwy kowieńskiej, co przy ówczesnym rozpędzie polskiej armii było jak najbardziej wykonalne. Plan ten sparaliżował jednak Józef Piłsudski, który nie chciał wojny z Kownem w myśl swoich nadziei na jakąś formę federacji z Litwą kowieńską. Przy czym Piłsudski nie informował o swoich planach polskiego MSZ, na którego czele stał wtedy książę Eustachy Sapieha.

Gabinet Witosa zgodził się na zwarcie czysto taktycznego zawieszenia broni, znanego jako umowa suwalska, które miało wejść w życie 48 godzin po 7 października 1920 r., gdy podpisano dokument. Ale zanim minęły te dwie doby, Piłsudski polecił gen. Lucjanowi Żeligowskiemu upozorować bunt. Wilno zostało zdobyte przez polskie wojsko i ustanowiono nowy twór – Litwę Środkową. Parlament tego niby-państwa przegłosował następnie zjednoczenie z Polską. Pamięć o litewskich konszachtach z bolszewikami w najtrudniejszym momencie dla państwa polskiego rzuciła

eprasa.pl f4f31c2ab4

się cieniem na relacje Kowna i Warszawy na długie 18 lat.

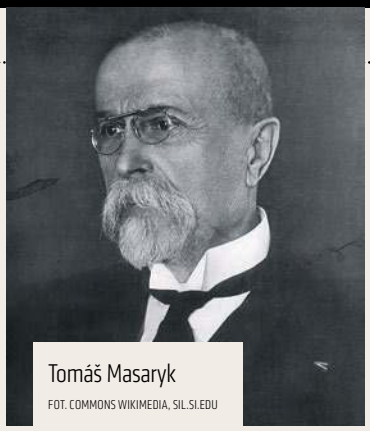
Lodowaci Czesi

Podobnie jak w przypadku Niemiec i Litwy niechętny stosunek państwa czechosłowackiego wobec zmagań Polaków z Rosją bolszewicką był efektem sporu o granice. Wybuchł on na przełomie lat 1918 i 1919 wokół Śląska Cieszyńskiego, Spiszu i Orawy.

Gdy wojska sowieckie wkraczały na tereny centralnej Polski, czeska dyplomacja głosiła, że Polska jest już państwem w stanie upadku. Brytyjski dyplomata, lord Edgar d'Abernon, w swoich wspomnieniach relacjonował, że w lipcu 1920 r. Tomáš Masaryk przekonywał Brytyjczyków i Francuzów, by nie organizowali żadnej pomocy wojskowej dla Polaków. Prezydent Czechosłowacji argumentował, że „wojsko polskie nie jest w stanie odeprzeć bolszewików", a polscy robotnicy i chłopi „przywitają czerwonych komisarzy chlebem i solą". W rezultacie tych intryg decyzją zachodnich mocarstw Polska straciła na rzecz rządu w Pradze połowę Cieszyna na zachodnim brzegu Olzy oraz miasta Frysztat, Trzyniec i Jabłonków. Władysław Grabski, walcząc rozpaczliwie o dostawy broni i amunicji dla Polski, uległ żądaniom zachodnich dyplomatów, uznając, że trzeba poświęcić Zaolzie w imię przetrwania całego państwa. Nie zmieniło to jednak wrogiego nastawienia rządu w Pradze wobec pomocy wojskowej dla Polski.

Transporty ze sprzętem wojskowych, które via Czechosłowacja docierały do Polski jeszcze do początku kwietnia 1920 r., zostały zablokowane. Oficjalnie z powodu strajków czeskich kolejarzy, którzy nie chcieli szkodzić „państwu robotników i chłopów", ale w rzeczywistości chodziło oczywiście o niechęć władz czeskich.

Kilka tygodni wcześniej, w marcu 1920 r., Czesi zaczęli gromadzić na granicy z Polską znaczne siły. Pretekstem była reakcja na skutki nacjonalistycznego puczu Wolfganga Kappa w Berlinie. Jednak według ustaleń polskiego wywiadu Czesi brali pod uwagę odbicie z rąk polskich Bielska, Andrychowa i Skoczowa. I tylko kategoryczna groźba ze strony marszałka Ferdinanda Focha uratowała sytuację.



Tomáš Masaryk
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SIL.SI.EDU

Nie zmienia to faktu, że w kluczowym okresie między kwietniem a sierpniem 1920 r. francuskie dostawy broni i amunicji były zablokowane od strony granicy z Czechosłowacją. W tej sytuacji amunicja z Węgier była dostarczana do Polski okrężną drogą przez Rumunię i tylko bożej interwencji przypisywano fakt, że naboje do karabinów z fabryki w Budapeszcie dotarły do Skierniewic w ostatniej chwili – 12 sierpnia 1920 r. W Warszawie dobrze zapamiętano czeską obojętność wobec walki państwa polskiego na śmierć i życie. Ten resentyment da o sobie znać w październiku 1938 r., gdy minister Józef Beck wykorzysta kryzys sudecki, by odebrać Czechom Zaolzie.

Głupota czy zdrada

Polski czytelnik tego tekstu może zadać pytanie autorowi: A czy w Berlinie, Kownie i Pradze nie zdawano sobie sprawy z tego, że państwo Lenina po skonsumowaniu Polski stanie się z czasem zagrożeniem także dla Niemiec, Litwy kowieńskiej i Czechosłowacji?

W historii należy się wystrzegać tzw. prezentyzmu, czyli oceniania ówczesnych decyzji i poglądów według naszej późniejszej wiedzy. Latem 1920 r. w wielu stolicach europejskich zwyczajnie nie wierzono, że państwo Lenina przetrwa. Zakładano, że przywiązanie ludu rosyjskiego do instytucji caratu i głęboka więź z prawosławiem w niedługim czasie zakończą eksperyment z marksizmem. Co prawda, latem 1920 r. obóz białych był w odwrocie, ale miał jeszcze całkiem sporo punktów oparcia, które w połączeniu z przewidywanym buntem ludowym przeciw bezwzględnej ekipie bolszewików miały przywrócić narodową formę państwa rosyjskiego. W przypadku Berlina dochodziło jeszcze silne przekonanie, że niemiecka armia, mimo przegranej w pierwszej wojnie światowej, wciąż jest na tyle silna, że poradziłaby sobie z „łachmaniarską" Armią Czerwoną.

Z kolei polityczne elity Litwy kowieńskiej, opętane obsesją na punkcie Wilna, wierzyły, że bolszewicy rozumują racjonalnie i przyjazna, choć niezależna Litwa będzie dla nich wygodnym sąsiadem.

Natomiast Czechosłowacja z jednej strony zakładała odrodzenie się demokratycznej Rosji, a z drugiej strony pokładała ufność w patronat polityczny Francji, który miał uchronić Pragę przed najazdem bolszewików. Faktem pozostaje jednak, że w przypadku wszystkich trzech państw decydującym czynnikiem powodującym wrogość wobec Polski był zwykły antypolonizm (w różnych konfiguracjach).

A jeśli polski czytelnik żachnie się i zapyta: „Jak można stawiać wyżej partykularne interesy ponad oczywiste zagrożenie geopolityczne?", to przypomnę tylko narastające w Polsce emocje antyukraińskie mimo trwającej wojny z Rosją. Publicyści znad Dniepru też załamują ręce nad tym, że jeszcze rok temu wielu Polaków bardziej niepokoił import ukraińskiego zboża niż to, czy rząd w Kijowie wytrzyma napór Rosjan. Warto w tym kontekście pomyśleć o obojętności sąsiadów Polski wobec najazdu czerwonej nawały w 1920 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Czechosłowacka ulotka z czasów sporu o Śląsk Cieszyński FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl f4f31c2ab4



1919–1920 / Starcie Polski z Rosją bolszewicką

Bohaterowie wojny o wszystko

Patrol żołnierzy 4. Pułku Ułanów na placu Katedralnym w Wilnie FOT. COMMONS WIKIMEDIA, AUTOR ZDJĘCIA: JAN BUŁHAK



Tomasz Stańczyk

Nasza pamięć o obronionej 105 lat temu niepodległości nie powinna się sprowadzać tylko do Józefa Piłsudskiego i Bitwy Warszawskiej

Starcie było nieuniknione. Z jednej strony bolszewicka Rosja z ideą niesienia pożogi rewolucji do Europy, przez Polskę, która stała na drodze. Z drugiej strony Rzeczpospolita, z marzeniami części Polaków o granicy wschodniej sprzed 1772 r. i przekonaniem wszystkich innych, że odrodzone państwo nie może zrezygnować ze Lwowa, z Wilna, z milionów Polaków mieszkających na wschód od Bugu.

Historycy przyjmują, że pierwszy kontakt bojowy pomiędzy Wojskiem Polskim i Armią Czerwoną nastąpił w lutym 1919 r. Jednak wojna Polski z bolszewicką Rosją rozpoczęła się miesiąc wcześniej, na początku stycznia 1919 r. Wówczas to członkowie Samoobrony Wileńskiej, przyjęci w grudniu poprzedniego roku w skład Wojska Polskiego, stawili opór – krótkotrwały i bezskuteczny – napierającym na Wilno znacznie liczniejszym oddziałom bolszewickim.

Wyprawa wileńska

Piłsudski, pełen sentymentu dla Wilna, w którym się wychowywał, chciał niezwłocznie odbić je z rąk Armii Czerwonej. Jednak priorytetem było niedopuszczenie do tego, by Lwów podzielił los Wilna. Miasto spod znaku Lwa, dzięki mieszkańcom i odsieczy Wojska Polskiego, pozbyło się wprawdzie w listopadzie 1918 r. wojsk ukraińskich, lecz nadal tkwiło w pierścieniu oblężenia.

W wyprawie wileńskiej nie chodziło jedynie o samo miasto, lecz także o przecięcie biegnących przez północno-wschodnie kresy linii komunikacyjnych, o sparaliżowanie możliwości ewentualnego współdziałania Armii Czerwonej z Reichswehrą. A Berlin i Moskwa utrzymywały niepokojąco bliskie kontakty. Akcja, pod osobistym dowództwem Piłsudskiego, polegała na zaskakującym, szybkim manewrze kawalerii, której celem było opanowanie Wilna i utrzymanie go do chwili nadejścia piechoty. Do wykonania zadania Piłsudski wyznaczył swoich wypróbowanych dowódców z czasów legionowych: ppłk. Władysława Belinę-Prażmowskiego oraz gen. Edwarda Śmigłego-Rydza. Pierwszy z nich dowodził grupą kawalerii (nazywaną też I Brygadą Jazdy), drugi – 2. Dywizją Piechoty Legionów. 16 kwietnia na Wilno ruszyli zagon 900 kawalerzystów i 3 tys. piechurów.

eprasa.pl f4f31c2ab4


Jadwiga Tejszerska
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Czerwonoarmiści byli kompletnie zdezorientowani i spanikowani, gdy 19 kwietnia 1919 r. na stację kolejową w Wilnie natarły dwa spieszone szwadrony kawalerzystów pod dowództwem mjr. Mariusza Zaruskiego, słynnego taternika. Bolszewickim żołnierzom nie udało się uciec pociągiem i choć było ich więcej niż Polaków, poddali się, a miejsca, w których próbowali się niektórzy ukryć, wskazywali polscy kolejarze. Jednak zaciekłe walki z udziałem piechoty, która koleją dotarła do Wilna, trwały jeszcze dwa dni. Piłsudski nie miał dość słów uznania dla żołnierzy Beliny-Prażmowskiego, nazywając akcję kawalerii w rozkazie po zdobyciu Wilna „najpiękniejszym czynem wojennym dokonanym przez polską jazdę". Podkreślał, że mimo olbrzymiej przewagi wroga kawalerzyści utrzymali miasto aż do nadejścia piechoty.

POW na Wschodzie

Na tyłach Armii Czerwonej, na terenie zajętym przez bolszewików, działała Polska Organizacja Wojskowa. Dzieje POW na Wschodzie to niestety niemal kompletnie nieznana karta wojny z Rosją bolszewicką. Peowiacy, w znakomitej większości kresowi Polacy, oddali nieocenione usługi Wojsku Polskiemu. Przyczynili się do zwycięstwa w wojnie, głównie poprzez działalność wywiadowczą, a także dywersyjną i sabotażową. W 1919 r. komendantem POW w Mińsku był 23-letni Mateusz Stefanowski „Żywy", harcerz, były żołnierz I Korpusu Polskiego. Dzięki jego energicznej aktywności działały na ziemiach białoruskich lotne oddziały dywersyjne POW, uszkadzające i wysadzające w powietrze mosty, paraliżując ruch oddziałów Armii Czerwonej.

Największymi osiągnięciami kierowanej przez Stefanowskiego POW były sporządzenie opisu umocnień Mińska i zdobycie planu obrony miasta. Przyczyniło się to w dużej mierze do zdobycia Mińska przez Wojsko Polskie w sierpniu 1919 r. Zanim to jednak nastąpiło, Stefanowski został aresztowany przez bolszewików i rozstrzelany.

Prawą ręką Stefanowskiego była jego rówieśniczka, Jadwiga Tejszerska, komendantka oddziału kobiecego POW. Rekrutowała do służby wywiadowczej i kurierskiej głównie harcerki i uczennice szkół średnich w Mińsku. Znakomicie zorganizowała sieć wywiadowczą i kurierską. Jedną z wywiadowczyń była 19-letnia Józefa Michałowska, która zapisała się na kurs radiotelegrafistek i dostała pracę w bolszewickiej stacji telegraficznej. Los Tejszerskiej był tragiczny. Po aresztowaniu zgodziła się pozornie na współpracę z bolszewikami, więc została wypuszczona. Zaczęła odbudowywać POW w Mińsku, jednak gdy czekiści zorientowali się, że wyrwała się spod ich kontroli, została zgładzona.

Trzonem POW na Ukrainie byli studenci i niedawni absolwenci wyższych studiów, a także harcerze. Henryk Józewski, stojący w drugiej połowie 1919 r. na czele Komendy nr 3 POW, stwierdzał: „Nie byliśmy przeszkoleni i co najważniejsze, nie mieliśmy wrodzonych predyspozycji do wywiadu. Woleliśmy walczyć na froncie z bronią w ręku, jednak jak się okazało, wywiązywaliśmy się z powierzonego zadania nad podziw dobrze […]. Okazało się, że w pewnych wypadkach wystarcza inteligencja, intuicja, pasja przygody i nielicząca się z niczym pasja walki".

Kilkadziesiąt peowiaczek, studentek i harcerek służyło jako kurierki i wywiadowczynie. Wanda Langiertówna odwiedzała koszary Armii Czerwonej i przynosząc żołnierzom papierosy, zdobywała cenne informacje. Była jedną z wielu bohaterskich kurierek na trasie Kijów – Warszawa; taką misję pełniła kilkanaście razy, lecz w połowie 1919 r. została aresztowana przez bolszewików i rozstrzelana. W marcu 1920 r., tuż przed ofensywą kijowską Wojska Polskiego, POW na Ukrainie otrzymała ciężki cios: aresztowano komendanta Jerzego Bolewskiego, Jadwigę Goszczycką, adiutantkę Komendy Naczelnej, oraz Helenę (Elę) Sikorską, adiutantkę okręgu kijowskiego. Bolszewicy przewieźli pojmanych Polaków do Charkowa i tam rozstrzelali trzy miesiące później. Ignacy Ziemiański opisał ich ostatnie chwile: „Peowiacy zdając sobie sprawę, że za chwilę umrą, zaczęli śpiewać pieśni patriotyczne i legionowe. Wywoływano ich po kolei. Przed wyjściem każdy stawał na baczność przed całą grupą i wołał: »Cześć!«, po czym wychodził. Pozostali nie przestawali śpiewać. I tak poszli wszyscy do ostatniego".

Śmierć na torze

7 maja 1920 r. polscy żołnierze weszli do niebronionego przez Armię Czerwoną Kijowa, a następnie przekroczyli Dniepr, by utworzyć przyczółek na jego drugim brzegu. Bohaterem walk na tym terenie, pod stacją Browary, był 19-letni ppor. Stefan Robaszkiewicz z 6. Pułku Piechoty Legionów.

12 maja podporucznik otrzymał rozkaz wysadzenia toru, którym poruszały się bolszewickie pociągi pancerne. Żołnierzom udało się podważyć szyny, a Robaszkiewicz miał podłożyć pod nie zaimprowizowany z granatów ładunek wybuchowy. Nagle ukazał się wrogi pociąg, a potem drugi. Podporucznik rozkazał żołnierzom kryć


Marszałek Józef Piłsudski dekoruje Tadeusza Jeziorowskiego, obrońcę Płocka FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CAW

eprasa.pl f4f31c2ab4

się i uciekać, sam pozostając na torze. W komunikacie Naczelnego Dowództwa napisano: „Szczególny podziw wzbudza bohaterska śmierć ppor. Robaszkiewicza, który podkładając własnoręcznie minę pod szyny kolejowe, znalazł się pomiędzy dwoma nieprzyjacielskimi pancerkami i widząc, że grozi mu wzięcie do niewoli, po zapaleniu miny dobrowolnie stanął na miejscu wybuchu, składając w ten sposób swe życie w ofierze".

Płockie Orlęta

18 sierpnia 1920 r. kawalerzyści III Korpusu Gaja-Chana Bażyszkiana złamali opór na przedpolach Płocka. Miasta broniły liczące ok. 1,5 tys. żołnierzy oddziały, głównie zapasowe i alarmowe. Ich zadaniem było niedopuszczenie do przedarcia się wroga za Wisłę. Dowodził nimi 23-letni mjr Janusz Mościcki. Bolszewicki impet spowodował, że polscy żołnierze cofali się ku miastu w rozsypce, nie brakło przejawów paniki. Widok ten podziałał deprymująco na mieszkańców Płocka; niektórzy zaczęli uciekać. Żołnierze i cywile parli w kierunku wyglądającego jak zbawienie mostu, by przedostać się na drugi brzeg rzeki.

Część oficerów, w tym żandarmerii, pod dowództwem mjr. Mościckiego ochłonęła jednak, zaczęła powstrzymywać uciekających przez most żołnierzy i stawiać opór. Było ich ok. 80. Korespondent wojenny Adam Grzymała-Siedlecki opisał dialog między jednym z żołnierzy a Mościckim:

– Panie majorze nie mamy ani jednego kulomiotu.

– A bolszewickie? – odpowiada lakonicznie dowódca.



Grób por./kpt. Stefana Pogonowskiego w Łodzi

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FALLANER

Żołnierze, zmotywowani i podniesieni na duchu determinacją majora, w ataku na bagnety zdobyli ciężki karabin maszynowy, potem następne. Do żołnierzy przyłączyli się mieszkańcy, wśród nich członkowie Straży Obywatelskiej i harcerze. Na ulicach pojawiły się barykady. Płock miał swoje Orlęta – tak jak Lwów w listopadzie 1918 r. – a wśród nich 128 harcerzy. O niektórych z nich pisano w publikacji „Harcerze w bojach":

„Na pierwszym miejscu wśród tych bohaterskich chłopaków jaśnieje postać harcerza Stefana Zawidzkiego, kilkunastoletniego dziecka: stanął na barykadach z karabinem w ręku, walczył i padł. Obok niego druga męczeńska ofiara walki; harcerz Antoni Gradowski. Roznosił amunicję i pełnił służbę sanitariusza. Dopadło go kozactwo i z bestialską furią zarąbało na śmierć. Obu harcerzy po śmierci dekorowano Krzyżem Walecznych. Inni ocaleli. Więc jedenastoletni Tadzio Jeziorowski pełnił funkcję »czołówki amunicyjnej«. Z pełną pogardą dla świszczących koło niego kul pędzi od barykady do barykady, do magazynu amunicyjnego, z magazynu znów na barykady i roznosi ładunki".

W obronie Płocka poległo czterech harcerzy, 13 otrzymało Krzyże Walecznych. Najmłodszym z tych ostatnich był 11-letni letni Tadeusz Jeziorowski, udekorowany, obok innych obrońców miasta, przez marszałka Piłsudskiego.



Stanisław Kaczor-Batowski, „Bój pod Zadwórzem"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MACIEJ SZCZEPAŃCZYK, MATHIASREX

Pod Radzyminem

Gdy 14 sierpnia 1920 r. Wojsku Polskiemu nie udało się odbić Radzymina, dowódca frontu, gen. Józef Haller, zamierzając odzyskać miasteczko, postanowił rzucić do walki ostatni odwód – 10. Dywizję Piechoty gen. Lucjana Żeligowskiego. Najprawdopodobniej to właśnie postawa Żeligowskiego uratowała Wojsko Polskie od porażki na przedpolach stolicy. Generał pisał we wspomnieniach, że zignorował rozkaz dowódcy frontu o nocnym ataku na Radzymin. Uznał, że nocny bój w trudnym terenie jest bardzo ryzykowny, więc postanowił zaatakować o świcie, a poza tym zmienił cel ataku. „Nad całym terenem walki taktycznie dominował nie Radzymin, lecz wieś Mokre […]. Kto włada pozycją Mokre, ten panuje nad całym polem walki Radzymina".

Zanim nadszedł świt, por. Stefan Pogonowski, na czele batalionu, z własnej inicjatywy zaatakował w środku nocy pozycje bolszewickie pod Wólką Radzymińską, uderzając na tyły 27. dywizji. Zaskoczeni czerwonoarmiści zaczęli się cofać, w ich szeregi wkradł się chaos. 15 sierpnia uderzyły pozostałe oddziały dywizji Żeligowskiego i zdobyły wieś Mokre. Porucznik Pogonowski poległ w boju. Żeligowski pisał, że porucznik zaatakował punkt, który – jak się później okazało – stanowił najczulsze miejsce armii bolszewickiej. „Wiedziony nadzwyczajnym instynktem rozpoczął zwycięstwo i 10-ej dywizji i 1-armii na przyczółku warszawskim. Na tym polega wielkie znaczenie jego czynu i w tym chwała jego żołnierskiej śmierci".

Ostatnie naboje

16 sierpnia 1920 r. rozpoczął się manewr znad Wieprza. Kontruderzenie dowodzone przez marszałka Józefa Piłsudskiego było momentem zwrotnym wojny. Jednak w tym samym czasie Lwów był poważnie zagrożony. Do miasta zbliżała się Armia Konna dowodzona przez Siemiona Budionnego. Wśród Małopolskich

eprasa.pl f4f31c2ab4



Bój na wzgórzu pod Dytiatynem

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Oddziałów Armii Ochotniczej znajdował się lotny oddział pościgowy mjr. Romana Abrahama – obrońcy Lwowa w listopadzie 1918 r. – składający się ze lwowskiej młodzieży, w tym studentów. Pod rozkazami Abrahama znalazł się inny obrońca Lwowa, kpt. Bolesław Zajączkowski, dowódca batalionu. Oddział Abrahama odniósł sukcesy w walce z czerwonoarmistami pod Radziechowem i Chodaczkowem, ale niekorzystna sytuacja na froncie spowodowała, że otrzymał rozkaz wycofania się w kierunku Lwowa. Kawaleria i piechota obrały oddzielne drogi odwrotu. 17 sierpnia 1920 r. batalion Zajączkowskiego zbliżał się do stacji kolejowej w Zadwórzu, ok. 30 km na wschód od Lwowa. Polscy żołnierze dostali się niespodziewanie pod ogień wroga. Zajączkowski wydał rozkaz do kontrataku. Na pomoc bolszewickim artylerzystom przyszła kawaleria, lecz jej szarża została odparta. Polacy kontynuowali natarcie, kierując się w stronę stacji kolejowej.

„Wróg zalewa nas od strony dworca wprost ławą ognia – wspominał Seweryn Faliński, uczestnik boju. – Otwieramy z maszynek ogień na dworzec, bijemy bez przerwy. Granaty wyją i wyją nad głowami, robiąc niemałe spustoszenie w naszych szeregach".

Dworzec został zajęty. Po drodze do Lwowa leżał las pod Barszczowicami, który mógł dać osłonę przed kawalerią. Polacy zamierzali się tam przebić. Jednak kilometr za stacją spadła na nich kolejna szarża bolszewickiej kawalerii. Przeciwnik był zbyt liczny, a polscy żołnierze mieli za mało amunicji. Kapitan Zajączkowski nie zamierzał się jednak poddawać. Wydał rozkaz, by strzelać do ostatniego naboju.

Kolejna szarża unicestwiła opór Polaków. Zajączkowski popełnił samobójstwo, nie chcąc dostać się do niewoli. W jego ślady poszli ppor. Antoni Liszka i sierż. Jan Filipow. Część jeńców została zamordowana. Naocznym świadkiem masakry był korespondent wojenny, pisarz Izaak Babel. Opisał ją w „Dzienniku 1920":

„Jeździłem z wojenkomem wzdłuż pierwszej linii, błagamy, żeby nie zabijać jeńców. Apanasenko umywa ręce, Szeko bąknął – dlaczego nie; odegrało to potworną rolę. Nie patrzyłem im w twarze, przebijali bagnetami, dostrzeliwali trupy na trupach, jednego jeszcze obdzierają, drugiego dobijają, jęki, krzyki, charkot […]. Wyciągają z ukrycia. Apanasenko – nie trać ładunków, zarżnij go. Apanasenko zawsze tak mówi – siostrę zarżnąć, Polaków zarżnąć".

Pod Zadwórzem zginęło 318 polskich żołnierzy. Nie sposób było ustalić, ilu poległo, a ilu zostało zamordowanych.

Bateria śmierci

Miesiąc później, 16 września 1920 r., na wzgórzu pod miasteczkiem Dytiatyn bronili się polscy żołnierze z 1. Pułku Artylerii Górskiej i 8. Pułku Artylerii Lekkiej. Osłaniała ich kompania z 13. Pułku Piechoty. Artylerzyści ostrzeliwali ze wzgórza oddziały Armii Czerwonej. Sami jednak także dostali się pod ogień wroga. Szturm czerwonoarmistów na wzgórze powstrzymano, ale dowódca 13. Pułku Piechoty dał rozkaz do opuszczenia wzgórza. Nie wiadomo, czy ci, którzy zostali, nie zdążyli się ewakuować, czy też kpt. Adam Zając, dowódca 4. baterii 1. Pułku Artylerii Górskiej, postanowił nie opuszczać wzgórza i bronić się do końca. Tak czy inaczej nie zareagował na wezwanie do poddania się.

Polscy żołnierze odparli kilka szarż kawalerii bolszewickiej. W końcu doszło do decydującego starcia. Jak pisał Jan Lewandowski, historyk 1. Pułku Artylerii Górskiej: „Dowódca baterii, kapitan Adam Zając i porucznik Franciszek Wątroba walczyli, strzelając z pistoletów, obsługa broniła się kolbami, zginęli jednak wszyscy pod ciosami szabel nieprzyjacielskiej kawalerii".

Bohaterska postawa obrońców wzgórza pod Dytiatynem spowodowała opóźnienie marszu oddziałów Armii Czerwonej. Baterię artylerii, której żołnierze walczyli do końca, nazwano „baterią śmierci". Dzień bitwy pod Dytiatynem stał się świętem pułkowym 1. Pułku Artylerii Górskiej.

Pomnik Bitwy Warszawskiej miał powstać na jej stulecie, niestety tak ważna rocznica minęła bez jego odsłonięcia. Stało się tak z kilku przyczyn, m.in. późnego rozstrzygnięcia konkursu i konieczności wprowadzenia zmian w projekcie, które zaproponował sąd konkursowy. Zwycięski projekt, autorstwa Nizio Design International, przewidywał wzniesienie na placu Na Rozdrożu otoczonej fontanną strzelistej kolumny z datą „1920" na szczycie.

Pomnik miał szansę powstać w latach 2021–2023, gdyby nie sprzeciw Wspólnoty Mieszkaniowej „Rozdroże". W dwóch domach, których okna wychodzą na plac Na Rozdrożu, wybudowanych w latach 60., mieszkania przydzielał w czasach PRL Urząd Rady Ministrów. Duch komunizmu jest tam, jak widać, cały czas obecny.

W 2024 r. przestało obowiązywać pozwolenie na budowę – to właśnie efekt działań „lokalnej społeczności", a minister kultury i dziedzictwa narodowego Hanna Wróblewska oświadczyła, że nie będzie stawiać pomnika w sporze z mieszkańcami, natomiast chciałaby, aby ten monument był „pomnikiem zgody społecznej" (!). Nie powstanie on więc na placu Na Rozdrożu.

W przededniu 105. rocznicy Bitwy Warszawskiej wciąż nie wiadomo, kiedy i gdzie pomnik powstanie, choć w ubiegłym roku wybrano już wykonawcę. Trwają widać poszukiwania takiej „lokalnej społeczności", której nie będzie przeszkadzał pomnik zwycięstwa nad Rosją bolszewicką. A jeśli nie da się znaleźć miejsca, gdzie mieszkańców nie będzie drażnić pomnik Bitwy Warszawskiej, to zapewne postawi się go w jakiejś innej ustronnej lokalizacji, niewidocznej z okien, najlepiej z dala od centrum. Tak jak zrobiono to z warszawskim pomnikiem Ofiar Rzezi Wołyńskiej, stojącym kompletnie na uboczu, gdzieś przy trasie S8, zasłoniętym barierami. Aby nie rzucał się w oczy, nie przypominał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

BIBLIOGRAFIA: *Faliński S.,* ***„Rycerze zadwórzańscy";*** *Grzymała-Siedlecki A.,* ***„Cud Wisły";*** *Józewski H.,* ***„Zamiast pamiętnika";*** *Lipiński W.,* ***„Wojna polska 1919–1920";*** *Ziemiański I.,* ***„Praca kobiet w POW Wschód";*** *Żeligowski L.,* ***„Wojna w roku 1920. Wspomnienia i rozważania".***

eprasa.pl f4f31c2ab4

Wieki XVII–XXI / Narodowy tygiel na krańcu Afryki



„Przybycie Jana van Riebeecka na Przylądek Dobrej Nadziei", 1652 r. Obraz Charlesa Davidsona Bella

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL LIBRARY OF SOUTH AFRICA

Jak Bur z Afrykanerem



Wojciech Rogala

Biali mieszkańcy RPA tylko pozornie wyglądają jak jednolita grupa. Bolesna historia sprawiła, że podziały w ramach białej społeczności są zaskakująco głębokie

Afrykanerzy i Burowie. Każdy, kto interesuje się RPA, doskonale zna te słowa. Czy jednak na pewno wiemy, co dokładnie one oznaczają? Czy to jeden naród czy też może dwie odrębne społeczności? Prowadziłem na ten temat długie rozmowy z moim przyjacielem Klaasem – Burem z krwi i kości spod Johannesburga.

– Aby w pełni zrozumieć różnicę między Burami a Afrykanerami, należy zrozumieć historię RPA, która w znacznym stopniu przyczyniła się do podziału między tymi dwiema grupami – zaczął Klaas. – Powstaliśmy z wielu narodów europejskich, a nasi przodkowie przenieśli się na południowy kraniec Afryki z powodu wiary protestanckiej, za którą byli prześladowani w krajach pochodzenia. Osadnicy z innych krajów Starego Kontynentu, a także z państw Europy Wschodniej (w tym z Polski), którzy walczyli po stronie Burów w wojnach o niepodległość, pozostali w Afryce Południowej i przyczynili się do rozwoju kultury burskiej. Teraz ludzie się spierają. Niektórzy zdecydowanie wierzą, że są Afrykanerami, inni opowiadają się za Burami, ale kiedy mówią o tym w mediach społecznościowych, nadal nazywają siebie Afrykanerami. Pomiędzy nimi znajduje się także grupa, która uważa się za Buro-Afrykanerów.

Gdy zapytałem Klaasa o to, jak określić te grupy, zwrócił uwagę na jedną kwestię.

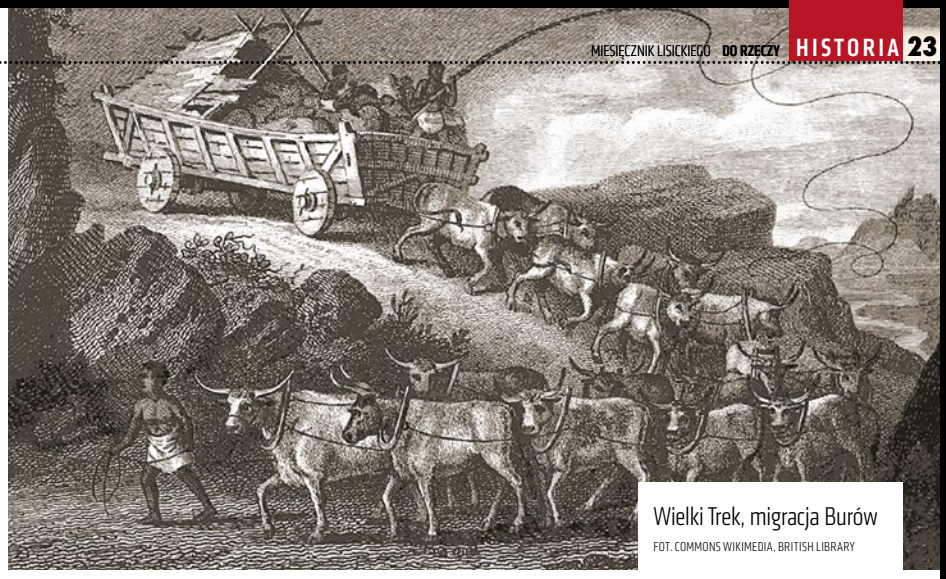
– Filarem Burów jest Bóg, który stanowi sens ich istnienia. Burowie są zdecydowanie protestantami. Jako że jesteśmy pochodzenia holenderskiego, cenimy naszą rasę i nie przekraczamy granic rasowych. Wielu twierdzi, że jesteśmy rasistami, ale tak nie jest. Po prostu

eprasa.pl f4f31c2ab4

preferujemy naszą rasę. Używamy tego samego języka co Afrykanerzy. Językiem, którym mówili Burowie, kiedy opuścili Przylądek Wschodni, nie był afrikaans, jak niektórzy zakładają, ale raczej język oparty na holenderskim, na który wpływ miały wówczas zarówno francuski, jak i angielski. Afrykanerzy mogą dzielić z Burami ten sam język, kulturę i religię, ale jako liberałowie dopuszczają małżeństwa i związki między osobami różnych ras. Jako Bur żyję zgodnie z ideałami Burów, samorządnością na naszym własnym terytorium, wolną od restrykcyjnych praw rządu, który sprzyja rozwojowi społeczności czarnej; Afrykanerzy szybko nazywają tych ludzi „braćmi". Jako Bur nie jestem prawicowcem, ekstremistą ani skrajnym prawicowcem. Jestem konserwatystą. Afrykanerzy są raczej lewicowcami lub liberałami. Zapamiętaj – jedną z głównych różnic między Burami a Afrykanerami jest to, że Burowie są bardziej konserwatywni, a Afrykanerzy bardziej liberalni. Burowie chcą pełnej niezależności i samostanowienia o sobie i swoim państwie, natomiast Afrykanerzy – reformy obecnego państwa. Afrykanerzy są zadowoleni z życia w „tęczowym narodzie", który okazał się całkowitą porażką.

Przystanek Kapsztad

Ale tak właściwie kto był pierwszy – Burowie czy Afrykanerzy? Wydaje się, że odpowiedź jest w tym wypadku prosta. Pierwsi musieli być Burowie. Ale czy aby na pewno? Samo słowo „Bur" (afr. „Boer") pochodzi z języka niderlandzkiego (holenderskiego) i można je przetłumaczyć jako „rolnik". Termin ten był używany już w XVIII w. w celu określania białych osadników sprowadzonych w 1652 r. w okolice dzisiejszego Kapsztadu przez Holenderską Kompanię Wschodnioindyjską. Ekspedycja kierowana przez Jana van Riebeecka założyła wówczas pierwszą stałą osadę na południowym skrawku kontynentu afrykańskiego. Jej celem było zaopatrywanie statków kompani płynących do i z Indii. Gospodarowali tam wolni, niezależni od Kompanii osadnicy – „Vryburgers" (hol. „vrijburgers", czyli „wolni obywatele"). Byli to osadnicy europejskiego pochodzenia, którzy zostali zwolnieni z obowiązku służby w Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej i uzyskali status wolnych obywateli. Tym samym to nie Afrykanerzy ani Burowie byli pierwszymi białymi osadnikami, a właśnie Vryburgerzy.

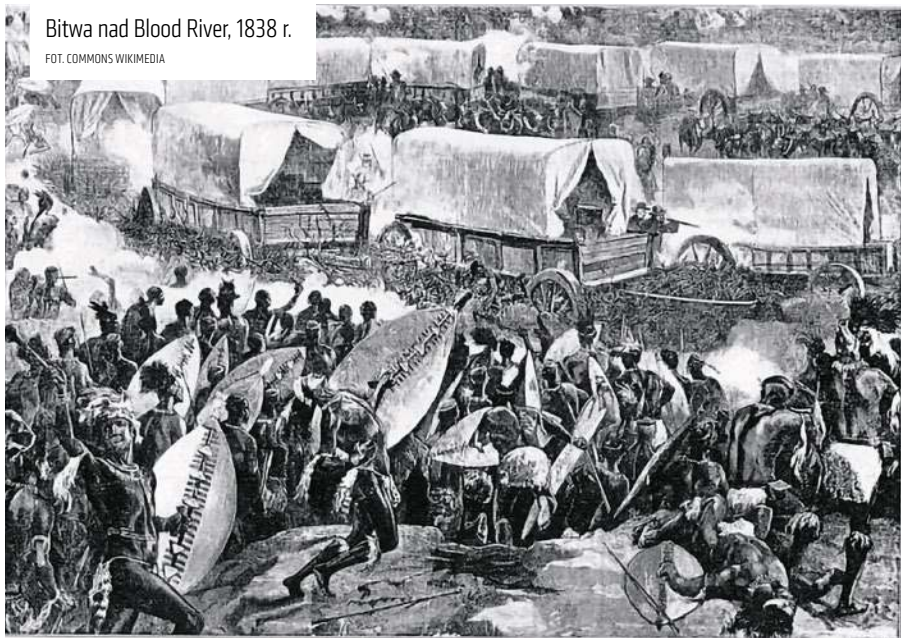


Wielki Trek, migracja Burów
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BRITISH LIBRARY

Kilkanaście lat później, w 1671 r., Kompania po raz pierwszy zakupiła ziemię od ludności tubylczej Khoisan. Pozwoliło to na ściągnięcie do nowej kolonii kolejnych osadników. Byli to przede wszystkim pracownicy Kompanii, ponieważ nie było zbyt wielu chętnych do podjęcia tak wielkiego ryzyka, jakim było opuszczenie Europy i zamieszkanie na krańcu świata, w dzikiej Afryce.

Zasadnicza zmiana nastąpiła dopiero za sprawą niemieckich protestantów i francuskich hugenotów. W październiku 1685 r. król Ludwik XIV edyktem z Fontainebleau odwołał edykt nantejski, co stało się przyczyną masowej emigracji francuskich protestantów. W tej grupie zalazły się również rodziny, które za cel migracji obrały odległą kolonię w Afryce Południowej. Francuzi osiedlili się głównie w miejscowościach Stellenbosch, Drakenstein, Franschhoek i Paarl. W 1701 r. wydano zarządzenia, aby w szkołach nauczano wyłącznie języka niderlandzkiego. Hugenoci podporządkowali się zarządzeniu, co doprowadziło do ich asymilacji w społeczeństwie kolonii.

Języki niderlandzki, niemiecki i francuski to podwaliny afrikaans –



Bitwa nad Blood River, 1838 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl f4f31c2ab4



Rodzina Burów, 1886 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JOSEPH RAUSCHER SWAZILAND NATIONAL ARCHIVES

pierwszego europejskiego języka, który powstał na innym kontynencie. Oprócz ortodoksyjnie interpretowanej Biblii język ten stał się fundamentem tożsamości i odrębności narodowej nowego (i jedynego) białego afrykańskiego narodu – Burów/Afrykanerów.

Życie pierwszych osadników było spokojnie i dostatnie. Kompania zapewniała stały zbyt produktów rolnych, rolnicy nabywali niewolników, uprawiali zboże, hodowali bydło na olbrzymich terenach, a za sprawą ludności pochodzenia francuskiego zaczęli też uprawiać winorośl i produkować wino. Wydawało się, że życie Burów będzie toczyło się spokojnie i szczęśliwie. Nic z tych rzeczy. Gdzie bowiem pojawiają się pieniądze, tam zjawiają się też ludzie, którzy chcą je przejąć. W drugiej połowie XVII w. i przez całe następne stulecie między kolonistami a rządem kolonii nawarstwiały się problemy. Zarząd Kompanii nastawiony był jedynie na coraz większe zyski, a nie na rozwój kolonii. Kompania wbrew wszelkiej logice zamknęła dostęp do kolonii dla imigrantów i de facto uczyniła z niej swoją własność, tworząc coś na kształt jednego wielkiego obozu pracy, w którym pełnię władzy sprawowali delegaci Kompanii. Wolność farmerów (Burów) istniała już tylko na papierze.

Kompania trzymała w swoich rękach cały handel, pełnię władzy administracyjnej, ustawodawczej i sądowniczej. Co więcej, wprowadziła prawo umożliwiające ponowne zmuszanie do pracy na jej rzecz wolnych byłych kontraktowych pracowników, osób, które w jakiś sposób naraziły się Kompanii, a także ich dzieci. Tego dla ludzi kochających wolność i uciekających przed tyranią było za wiele. Przybyli wszak do kolonii jako wolni ludzie. Gospodarowali swobodnie na swoich farmach, żyli w pokoju zgodnie ze słowem Bożym. Nie mogli zaakceptować faktu, że stali się więźniami w tym idyllicznym, ofiarowanym im przez Boga miejscu na ziemi. To właśnie umiłowanie wolności, samodzielności, życia według własnych zasad, ale zawsze w oparciu o rodzinę i Boga skłoniło wielu z nich do ucieczki. W ten sposób w połowie XVIII stulecia rozpoczął się pierwszy trek.

Starcia z Bantu

Burskie rodziny pakowały swój dobytek na wozy ciągnięte przez woły, zostawiały swoje domostwa i ruszały przed siebie na wschód i północny wschód, byle dalej od wszechwładzy Kompanii. Po drodze ustanowiły lokalne ośrodki władzy w Swellendam (1745) i w Graaff-Reinet (1786). Burowie w swoim marszu na wschód przypominali raczej dzikich nomadów niż forpocztę cywilizowanej kultury europejskiej. Ich celem były samodzielność i wolność. Nie szukali dostatku, pieniędzy czy złota. Uciekali przed zniewoleniem i życiem w rygorach nakładanych na nich bez żadnej kontroli. Uciekali razem ze swoimi niewolnikami i nie widzieli w tym nic dziwnego, nic sprzecznego ze swoimi przekonaniami. Wkrótce uciekinierzy przekroczyli Great Fish River, stanowiącą umowną granicę wpływów holenderskich i plemion Bantu (czarnych Afrykanów). W końcu rozpoczęły się pierwsze potyczki i starcia zbrojne z ludnością Bantu.

Rok 1803 to kolejny kluczowy punkt zwrotny w historii kolonii i jej mieszkańców. Władzę nad całym terytorium Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, a de facto terytorium będącym kolonią holenderską, przejmują Brytyjczycy. Był to obszar o powierzchni ok. 100 tys. km kw., zamieszkany przez ok. 25 tys. osób pochodzenia europejskiego, 20 tys. Hotentotów (tubylcza ludność tego regionu) i ok. 30 tys. niewolników pochodzenia azjatyckiego i afrykańskiego.

Anglicy rozpoczęli swoje rządy od wielu decyzji, które nie podobały się Burom. Wprowadzono angielski jako język urzędowy, a w 1834 r. zniesiono niewolnictwo, właściwie bez wypłaty odszkodowań dla byłych posiadaczy. Przyznana kwota odszkodowań była bowiem śmiesznie niska, a dodatkowo wypłata mogła się odbyć jedynie w Londynie, co stanowiło przeszkodę nie do pokonania dla wielu biednych Burów, których nie stać było na podróż do Europy. Jednak to wcale nie utrata niepodległości, wyrugowanie języka i w końcu odebranie majątku w postaci niewolników było największym ciosem zadanym Burom przez Anglików. Dla gorliwie religijnych Burów najgorsze było zrównanie ich z byłymi niewolnikami. Było to wbrew ich religii – wbrew prawu Bożemu, które stanowiło dla nich najważniejszą i de facto jedyną wskazówkę w życiu.

Decyzja o kolejnej ucieczce w poszukiwaniu ziemi, wolności i dla zachowania tradycyjnych praw, którymi rządzili się Burowie, była tylko kwestią czasu. Zmiany, które wprowadzili Brytyjczycy, były bowiem dla nich nie do pogodzenia z ich wizją świata. Burowie zapakowali więc swój dobytek na wozy, podpięli do nich woły i wyruszyli w nieznane. Był to wielki ruch migracyjny – prawie połowa Burów (12–14 tys. osób) z Kolonii Przylądkowej zdecydowała się opuścić swoje domy oraz gospodarstwa rolne i wyruszyć w poszukiwaniu nowych ziem.

eprasa.pl f4f31c2ab4

W historii ruch ten znany jest pod nazwą Wielkiego Treku (lata 30. i 40. XIX w.). To historyczne wydarzenie i zarazem fundament narodu burskiego. Wszystko, co działo się później, było pokłosiem tamtego wielkiego społecznego ruchu, który zbudował naród. Burowie mieli świadomość, że tym razem wkraczają na ziemie, na których spotkają przedstawicieli plemion Bantu – czarnych mieszkańców Afryki. Rozumieli, że zdobycie ziemi będą musieli okupić własną krwią. Jednak wiedzieli jedno – tę ziemię dał im Bóg, oni są nowym narodem wybranym, a życzenie Boga jest dla nich prawem, któremu muszą się podporządkować.

Nad Krwawą Rzeką

Ich wiary w przeznaczenie nie zachwiała nawet masakra, której ofiarami padli uczestnicy treku. W 1838 r. Zulusi wymordowali 543 osadników – mężczyzn, kobiet i dzieci. W grudniu tego samego roku doszło do wielkiej bitwy nad Krwawą Rzeką, która przyniosła zwycięstwo Burom i śmierć 3 tys. zuluskich wojowników. W tamtej bitwie nie zginął ani jeden Bur... Wszystko dzięki skutecznej taktyce lub – jak wierzą inni – opiece Bożej. Dzień przed bitwą Andries Pretorius, przywódca burskich osadników, powierzył swoich ludzi Bogu, prosząc o zwycięstwo i składając obietnicę, że jeżeli tak się stanie, to ten dzień będzie dniem chwały Boga.

Wielkie zwycięstwo stało się jednym z najważniejszych momentów w historii nowego narodu i do dziś jest celebrowane jako najważniejsze święto białej, burskiej społeczności Afryki Południowej. Te dwa wydarzenia doskonale opisują stan ducha i świadomość ówczesnych oraz współczesnych Burów/Afrykanerów. Pełne zaufanie do Boga, przeświadczenie o wyjątkowości miejsca, które dawało im schronienie, a także poczucie życia w otoczeniu wrogów, czego symbolem jest laager – kolisty plac utworzony z wozów, dający schronienie przed zagrożeniami czyhającymi na zewnątrz.

„Jesteśmy otoczeni, nie mamy gdzie pójść, wszyscy dookoła nas to wrogowie, możemy liczyć tylko na Boga i na siebie nawzajem. Jesteśmy małym, chrześcijańskim, europejskim, białym narodem rzuconym na wielki czarny afrykański kontynent, gdzie wszyscy są naszymi wrogami" – tak zapewne czuli się wówczas Burowie.

Co ciekawe, wśród uczestników treku byli również nieliczni osadnicy brytyjscy. Dziwne, ale jednak prawdziwe... Część z nich dostosowała się do kultury burskiej, ponieważ osiedliła się we wschodniej części kolonii, gdzie dominował żywioł burski. Nawiasem mówiąc, również dziś można spotkać anglojęzycznych Burów, potomków tej zasymilowanej społeczności pochodzącej z Wysp Brytyjskich. Burowie, posuwając się na wschód, zakładali swoje republiki. Naliczyłem ich aż 16. Ich żywot trwał zazwyczaj od kilku miesięcy do kilku lat. Najbardziej znane, które przetrwały dosyć długo, to Wolne Państwo Orania i Republika Południowoafrykańska potocznie zwaną Transwalem.

W drugiej połowie XIX w. wydawało się, że na południowym krańcu Afryki jest miejsce dla kolonii brytyjskiej (Kraj Przylądkowy), a także dla niepodległych państw burskich (Orania i Transwal). Wszystko zmieniło się w 1886 r., gdy odkryto w Oranii wielkie pokłady diamen-



Burowie, uczestnicy drugiej wojny burskiej, lata 1899–1902

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl f4f31c2ab4



Burskie kobiety i dzieci w brytyjskim obozie koncentracyjnym FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL ARMY MUSEUM

tów, a w Trasnwalu – złoża złota. Tysiące osadników, głównie z Wielkiej Brytanii, przybyły do obu burskich republik, a już 1895 r. Brytyjska Kompania Południowoafrykańska spróbowała je przejąć.

Pierwsza próba zagarnięcia burskich terytoriów spaliła jednak na panewce. Burowie obronili swoją niezależność, ale Brytyjczycy nie odpuścili. W 1899 r. rozpoczęli drugą wojnę. Obrońcy, słabsi liczebnie, rozpoczęli wojnę partyzancką. Brytyjczycy nie mogli sobie poradzić z partyzanckimi oddziałami atakującymi ich znienacka w różnych rejonach kraju. I tutaj krótka dygresja – po stronie Brytyjczyków stanęło aż 20 tys. Burów z Kolonii Przylądkowej, którzy uznawali się za poddanych brytyjskiej monarchii. Około 13 tys. przylądkowych Burów dołączyło z kolei do armii republik burskich, stając w ich obronie. Burowie przeciw Burom… To właśnie doprowadziło do podziału na Burów i Afrykanerów. Podział ten był oczywisty również w późniejszych latach – Partia Narodowa, zwycięzczyni wyborów w 1948 r., była partią głównie burską.

Druga wojna burska – ta, która przypieczętowała koniec niepodległości Oranii i Transwalu – wybuchła w 1899 r. i trwała trzy lata. Nie sam fakt przegranej był dramatem dla młodego narodu, ale to, co Brytyjczycy zrobili z jego kobietami i dziećmi. Rząd w Londynie nakazał bowiem założyć obozy koncentracyjne. Brytyjczycy zamknęli w nich ponad 117 tys. Burów, głównie kobiet i dzieci. W obozach zginęło ok. 27 tys. ludzi, w tym 22 tys. dzieci do lat 15.

Ta wojna zmieniła wszystko w życiu Burów. Kwestią zasadniczą stało się dla nich przetrwanie. Kolejny raz ich państwo było zajęte i okupowane przez Brytyjczyków. Tragedia całego narodu wpłynęła na poczucie odosobnienia, zagrożenia egzystencjalnego.

„Afrikaanderzy”

Znamy już zatem genezę powstania narodu Burów/Afrykanerów. Wiemy, kim byli Burowie. A co z Afrykanerami? A może Afrykanedami? Już w XVIII w. niektórzy Vryburgerzy, zwłaszcza ci żyjący z dala od administracji Kompanii Wschodnioindyjskiej, zaczęli nazywać się „Afrikaanderami”, aby podkreślić, że są „białymi Afrykanami”, a nie Europejczykami z kolonii. Będę tu używał oryginalnej pisowni – „Afrikaander” (polskie tłumaczenie nie bardzo mi pasuje). W dosłownym tłumaczeniu znaczy to „Afrykanin” lub „człowiek Afryki”, ale w rozumieniu historycznym: biały mieszkaniec Afryki Południowej.

Słowo to zostało po raz pierwszy użyte w odniesieniu do białej osoby w momencie narodzin syna lekarza okrętowego, Jana van Riebeecka. Był on pierwszym „Afrikaanderem”, co oznacza, że urodził się w Afryce. Osoba urodzona w Europie jest Europejczykiem. Tak samo, jeśli jesteś Burem, Buszmenem lub Egipcjaninem, to jesteś Afrykaninem. Podsumowując, „Afrikaander” to zatem wczesna, patriotyczna forma tożsamości burskiej, z której z biegiem czasu wyewoluowało słowo „Afrikaaner” („Afrykaner”). Pierwszymi ludźmi, którzy nazywali siebie Afrykanerami, byli Koloredzi (potomkowie mieszanych związków europejskich osadników i ludności tubylczej Khoisan).

Oude Ram, urodzony w 1695 r., i jego zwolennicy byli jednymi z pierwszych, którzy określali się mianem „Afrykanerów”, co miało podkreślać ich afrykańską tożsamość, niezależną od konkretnych plemion czy europejskich korzeni. W wyniku konfliktów z Holenderską Kompanią Wschodnioindyjską Oude Ram oraz jego syn Afrikaner Afrikaner zostali skazani na dożywotnie wygnanie z Kolonii. Ram zmarł wkrótce po skazaniu, natomiast jego syn został jednym z pierwszych więźniów osadzonych na Robben Island, gdzie zmarł w 1777 r. Drugi syn Rama, Klaas Afrikaner, został uniewinniony i poprowadził klan na północ, do dzisiejszej Namibii, gdzie żył nieniepokojny przez nikogo. Jeden z jego następców – Jonker Afrikaner – założył nawet osadę, która przekształciła się w obecną stolicę Namibii – Windhoek. Dzisiaj mówiąc „Afrykaner”, jednoznacznie wskazujemy na inną grupę narodowościową, na całą społeczność białych Afrykanów mówiących językiem afrikaans, niezależnie od miejsca zamieszkania czy stylu życia.

„Afrykaner” to termin o charakterze nacjonalistycznym i integrującym, który spopularyzował się w wiekach XIX i XX – szczególnie po wojnach burskich. Miał obejmować całą społeczność białych Afrykanów mówiących językiem afrikaans, niezależnie od miejsca zamieszkania czy stylu życia. Stąd w miarę rozwoju afrykanerskiego nacjonalizmu termin ten zaczął dominować nad określeniem „Bur”. Geneza obu słów nie tłumaczy jednak wszystkiego. Burów i Afrykanerów od samego początku różniło to, jak żyli na co dzień i z czego czerpali dochody.

Pierwsi Burowie byli przede wszystkim rolnikami żyjącymi w rozsianych po veldzie (południowoafrykańskim stepie) gospodarstwach. Musieli być twardzi w związku z surowymi warunkami naturalnymi i utrudnionym kontaktem z ośrodkami władzy lub kultury. Ich religijność miała silnie kalwiński charakter: była patriarchalna, konserwatywna, oparta na Piśmie Świętym i przekonaniu o własnym wybraństwie. Autorytet ojca, trzymającego w rękach Biblię i karabin, był niemal absolutny.

Natomiast Afrykanerzy, szczególnie od lat 30. XX w., to głównie mieszkańcy miast, klasy średniej, urzędnicy, nauczyciele, inżynierowie. Zachowali

eprasa.pl f4f31c2ab4

język i część kultury Burów, z których się wywodzili, ale ich codzienność była nowocześniejsza. Afrykanerzy zakładali instytucje nowoczesnego państwa: szkoły, banki, uniwersytety i związki zawodowe. Ich styl życia stał się bardziej zróżnicowany i nowoczesny.

Widzimy tu w gruncie rzeczy dwa światy: Burowie to głównie rolnicy skupieni na podtrzymywaniu swojej konserwatywnej wizji świata, natomiast Afrykanerzy, widząc przewagę cywilizacyjną Brytyjczyków, dążyli do budowy nowoczesnego narodu i państwa. Burowie mieli głęboko zakorzenioną nieufność wobec władzy, zwłaszcza centralnej. Ich myślenie o państwie miało charakter lokalny, oparty na samostanowieniu i wspólnocie wierzących. Stąd tak duża liczba małych terytorialnie republik burskich, które były zakładane przez niewielkie społeczności osadników wzdłuż trasy ich Wielkiego Treku w pierwszej połowie XIX stulecia.

Mit burski

Afrykanerzy po wojnach burskich zaczęli formować nowy model państwowości – narodowej i scentralizowanej. Szczególnie od lat 30. XX w., poprzez Partię Narodową i organizacje takie jak Afrikaner Broederbond (Afrykanerski Związek Braci), dążyli do zdobycia władzy w Republice Południowej Afryki i ukształtowania jej według własnych



WOJCIECH ROGALA
„GATUNEK ZAGROŻONY. BIALI AFRYKANIE W RPA"
ZONA ZERO

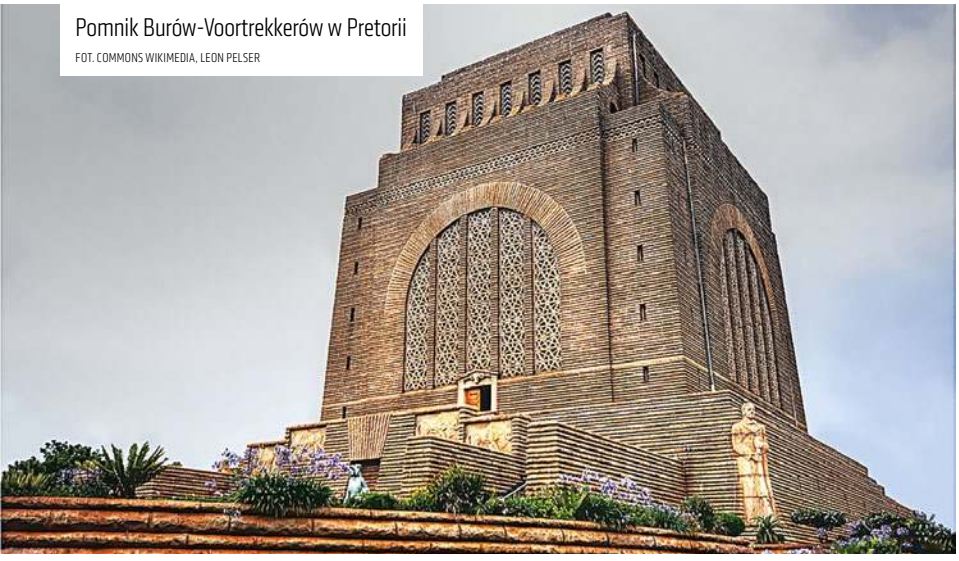
zasad w opozycji do Wielkiej Brytanii i jej anglojęzycznych osadników, których Afrykanerzy uważali za swoich największych wrogów. Afrykanerski nacjonalizm cenił lojalność wobec państwa, władzy i wspólnego celu narodowego. Pamiętajmy, że po wojnach burskich (1899–1902) wielu Burów było zrujnowanych ekonomicznie i zepchniętych na margines. Wielu z nich przeniosło się do miast, gdzie tworzyli najuboższą warstwę białych, żyjącą nierzadko na takim samym poziomie co najbiedniejsi czarni. Ich niezadowolenie było wykorzystywane przez afrykanerskie partie polityczne do budowania bazy społecznej dla przyszłych rządów.

Afrykanerzy nie mogli pogodzić się z rzeczywistością, która ich otaczała. Ich dwie republiki zostały podbite przez Brytyjczyków. W miastach ci ostatni odgrywali wiodącą rolę. To oni mieli kapitał, wiedzę, a przede wszystkim władzę. Afrykanerzy byli ludnością drugiej kategorii we własnym państwie, a widok tysięcy ich rodaków żyjących na krawędzi ubóstwa był dla nich impulsem do wprowadzenia zmian. Afrykanerzy postanowili zbudować naród od podstaw. Promowali rozwój języka afrikaans (uznanego oficjalnie dopiero w 1925 r.), stworzyli własne uniwersytety (np. w Stellenbosch) i media. Elita – wywodząca się po części z burskich rodzin, ale przejawiająca już inny styl życia – zaczęła kierować państwem i instytucjami, marginalizując bardziej konserwatywnych i „zacofanych" w ich mniemaniu Burów.

Po 1948 r., kiedy Partia Narodowa przejęła władzę w Republice Południowej Afryki, Afrykanerzy zaczęli tworzyć silne, własne struktury społeczne i polityczne. Władza przeszła w ręce nowoczesnych elit, które kontynuowały symboliczną narrację o burskim bohaterstwie, jednocześnie marginalizując konserwatywnych, często ubogich Burów, żyjących na prowincji. Niemniej na początku XX stulecia to właśnie Burowie zostali podniesieni do rangi bohaterów narodowych. W latach 1937–1949 w Pretorii wybudowano potężny pomnik, mauzoleum Voortrekker Monument (afr. Voortrekkermonument) – pomnik burskich osadników z czasów Wielkiego Treku. Inicjatorami wzniesienia tej ogromnej budowli byli nie Burowie, ale Afrykanerzy, którzy chętnie i świadomie odwoływali się do burskiej przeszłości jako dowodu męstwa, odwagi i boskiego wybraństwa. Mit burski (wojny z Wielką Brytanią, walki z Zulusami, Wielki Trek) stał się elementem politycznej propagandy i szkolnej edukacji. Jednak w tej mitologii realny Bur – o czym już wspominałem – konserwatywny, często biedny, nieprzystosowany do nowoczesności był wypierany.

Nowo powstające państwo afrykanerskie stawiało na wykształconego, nowocześnie myślącego mieszkańca wielkich miast – na Afrykanera. Myślę, że dobrym podsumowaniem tej trudnej historii sporów między dwoma grupami małego białego narodu na skraju afrykańskiego kontynentu będzie to, co usłyszałem w RPA od jednego znajomego:

„Mój dziadek mówił mi: »Jeżeli do pubu wchodzi dwóch Burów, to wyjdą z niego dwie partie polityczne i trzy Kościoły«. Każdy chce być najważniejszy, nikt drugiemu nie pozwala urosnąć za bardzo ponad innych".



Pomnik Burów-Voortrekkerów w Pretorii
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LEON PELSER

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest geografem, podróżnikiem, znawcą południowej Afryki. W 2017 r. zadebiutował książką o Namibii pt. „Witamy w białej Afryce", a w tym roku ukazała się jego druga książka – „Gatunek zagrożony. Biali Afrykanie w RPA".

eprasa.pl f4f31c2ab4



Jean-Paul Laurens, „Papież Formozus i papież Stefan VI”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NANTES MUSEUM OF ART

Średniowiecze / Upadek Stolicy Apostolskiej

Czarna noc papiestwa



Sławomir Koper

Wydawać by się mogło, że pod względem etycznym i moralnym Stolica Piotrowa najniżej upadła w epoce renesansu. Nic bardziej mylnego – w wiekach IX i X papieże bywali zepsuci w sposób wręcz karykaturalny

Według tradycji sięgającej pierwszych wieków chrześcijaństwa biskupa Wiecznego Miasta obwoływał lud rzymski, chociaż w rzeczywistości od pokoleń był to wybór możnowładców posiadających największe wpływy. Z tego powodu wielokrotnie zdarzało się, że na tron papieski powoływano osoby świeckie, którym pospiesznie udzielano koniecznych święceń. Nie przejmowano się także zbytnio stanem cywilnym elektów. Niektórzy następcy św. Piotra pozostawali w związkach małżeńskich i mieli jak najbardziej legalnych potomków. Zdarzyło się nawet, że w 931 r. papieżem został 25-letni Jan XI, syn papieża Sergiusza III.

Tron św. Piotra był najbardziej atrakcyjną synekurą w świecie chrześcijaństwa zachodniej Europy. Powszechnie uznawano prymat papieża, a pontifex dysponował też ogromnym majątkiem kościelnym. To nie były już czasy Kościoła dla ubogich. Ponadto następca św. Piotra był również władcą świeckim, jako zwierzchnik Państwa Kościelnego. Wprawdzie (przynajmniej w teorii) uznawał prymat cesarza Zachodu, ale zachowywał jednak dużą niezależność.

Historia Państwa Kościelnego sięga połowy VIII w., gdy Rzym był zagrożony przez germańskich Longobardów osiadłych w północnej Italii – ich władca dążył do podporządkowania Wiecznego Miasta. Na pomoc przyszli papieżowi Frankowie, a konkretnie ich nowa dynastia – Karolingowie. W zamian za zgodę na detronizację poprzedniego rodu panującego papiestwo uzyskało pomoc w przejęciu władzy nad odebranymi Longobardom ziemiami. W ten sposób powstał organizm państwowy, który miał przetrwać ponad 1100 lat, a jego kres przyniosło dopiero zjednoczenie Włoch. Państwo Kościelne przez stulecia było też jednym z najważniejszych graczy politycznych w Italii.

Pornokracja

Nic zatem dziwnego, że pomiędzy kandydatami do papieskiej tiary wielokrotnie dochodziło do krwawych walk, a poziom wzajemnej zajadłości i okrucieństwa wprawiał w osłupienie. Stefan VI, który został papieżem w 896 r., nienawidził do tego stopnia Formozusa, jednego ze swoich poprzedników, że polecił po kilku miesiącach wydobyć jego zwłoki z grobu, ubrać w papieskie szaty

eprasa.pl f4f31c2ab4

i posadzić na tronie. Następnie odbył się proces nieboszczyka (tzw. trupi synod), w którego wyniku ciało w stanie rozkładu skazano na odrąbanie palców prawej dłoni i wrzucenie do zbiorowej mogiły. Ostatecznie jednak papież uznał, że to zbyt łagodna kara, i nakazał ponowną ekshumację, po czym zwłoki utopiono w Tybrze. Zajadły pontifex odwołał też wszelkie nominacje Formozusa, co miało jednak przynieść fatalne skutki dla niego samego. Wyświęceni dostojnicy nie zamierzali się bowiem pogodzić z tą decyzją i zamordowali Stefana VI.

Nieszczęsnego Formozusa nienawidził również jeden z kolejnych papieży – Sergiusz III. Dziesięć lat później polecił po raz kolejny ekshumować ciało (zwłoki wyłowiono z Tybru i pochowano) i odrąbać trupowi głowę. A następnie ponownie wrzucić do rzeki.

Większość papieży panujących w tym okresie umierała śmiercią tragiczną, a na porządku dziennym było oślepianie rywali czy oszpecanie poprzez obcięcie nosa czy uszu, co eliminowało ich z zarządzania Kościołem. Zdarzyło się również, że w styczniu 904 r. wspomniany już Sergiusz III własnoręcznie udusił uwięzionego papieża Krzysztofa. Zamęt w Rzymie i w Państwie Kościelnym powiększał się z każdym rokiem. Najwyższe duchowne stanowisko w zachodnim chrześcijaństwie obejmowali złoczyńcy otaczający się zgrają prostytutek, które właściwie przejęły władzę w Stolicy Apostolskiej. A wszystko to miało miejsce w czasie, gdy Italia padała ofiarą najazdów ze strony Saracenów (Arabów), wikingowie pustoszyli zachodnią Europę, chwiało się imperium Franków, a Europie zagrażali nowi barbarzyńcy – Węgrzy.

Doskonałym przykładem rzymskich praktyk tamtej epoki były losy trzech kobiet, które przez 30 lat rządziły w Państwie Kościelnym. Były to matka i dwie córki, pochodzące z rodu hrabiów Tusculum.



Jan XI FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS

Jako pierwsza na scenę polityczną wkroczyła Teodora, żona hrabiego Teofilakta. Niezwykle urodziwa i pozbawiona wszelkich hamulców moralnych zdominowała życie Wiecznego Miasta. To ona wskazywała i obalała kolejnych papieży, a niebawem dołączyły do niej córki: imienniczka matki oraz najambitniejsza z całej trójki – Marozja. To właśnie ona jako nastolatka uwiodła papieża Sergiusza III i to jej syn zasiadł na tronie św. Piotra jako Jan XI. Współcześni uważali wszystkie trzy za prostytutki z wyższych sfer, ale trzeba przyznać, że mamusia i jej córeczki były bardzo skuteczne.

Koniec pornokracji, jak nazywano rządy trzech „dam", nastąpił już po śmieci Teodory Starszej. Marozja chciała zostać królową i poślubiła króla Italii (północnych Włoch), Hugona z Arles. Ślubu udzielił młodej parze syn Marozji, papież Jan XI, ale pojawił się ktoś, kto postanowił przywrócić porządek w Wiecznym Mieście. Człowiekiem tym był Alberyk II, książę Spoleto, a prywatnie… syn Marozji z pierwszego małżeństwa. W grudniu 932 r. doprowadził do wybuchu rewolty przeciwko ojczymowi i matce, w wyniku której Hugon zbiegł z Rzymu, a Marozja trafiła do więzienia, z którego już nie wyszła żywa. Zmarł też jej syn, Jan XI (być może również zamordowany). Dłużej żyła jej siostra, Teodora Młodsza, której syn został w 974 r. papieżem Benedyktem VII. Jak widać, symonia, którą zarzucano pontifexom w okresie odrodzenia, miała w Rzymie długą tradycję. Inna sprawa, że Benedykt VII był bardzo dobrym papieżem, co – biorąc pod uwagę jego pochodzenie – mogło wydawać się zastanawiające.



Ślub Marozji z Hugonem z Arles
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Jak Kaligula

Alberyk II okazał się rozsądnym władcą. Uznany za księcia Rzymu stał się zwolennikiem reformy Kościoła i odnowy moralnej duchowieństwa. Wyznaczał kolejnych papieży, dbając, by byli to ludzie całkowicie mu podporządkowani, a jednocześnie nie gorszyli wiernych wyuzdanym życiem. W maju 946 r. powołał jednak na tron św. Piotra Agapita II, który miał własne zdanie w sprawach polityki. Był zdecydowanym zwolennikiem króla Niemiec, Ottona I, którego chciał koronować na cesarza. Alberyk nie był tym zainteresowany, widząc w wywyższeniu Ottona zagrożenie dla siebie. Ostateczne władca Niemiec pojawił się w Italii w 951 r. i przyjął tytuł króla

eprasa.pl f4f31c2ab4



Jan XII FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Longobardów, ale do koronacji cesarskiej nie doszło. Zadecydowały o tym sprzeciw Alberyka i niszczące najazdy Węgrów na tereny Rzeszy. Otton wrócił za Alpy, ale po zwycięstwie nad Madziarami w sierpniu 955 r. na Lechowym Polu stał się najpotężniejszym władcą chrześcijańskiego Zachodu. Alberyk już tego nie doczekał, gdyż zmarł rok wcześniej, a niebawem odszedł też Agapit.

Przed śmiercią książę Spoleto postanowił zadbać o przyszłość rodu i doprowadził do wyboru swojego syna Oktawiana na następnego papieża. Zupełnie nie przeszkadzało mu to, że Agapit jeszcze żył i panował, liczyło się tylko wywyższenie rodziny. Chłopak miał wówczas 17 lat i przyjął imię Jana XII (jako trzeci papież w dziejach zmienił imię po objęciu papieskiego tronu). Niebawem też dał się poznać z jak najgorszej strony, natomiast Agapit zmarł w opinii świętości. Nigdy jednak nie pojawił się jego kult, chociaż w porównaniu ze swoim następcą był naprawdę wyjątkowo świątobliwym mężem.

Jan XII miał wprawdzie święcenia kapłańskie, ale gdy w grudniu 955 r. objął najwyższy urząd zachodniego chrześcijaństwa, był najmłodszym papieżem w dziejach. Do tego jednym z najbardziej zwyrodniałych, gdyż natychmiast zamienił siedzibę pontifexów w Pałacu na Lateranie w ekskluzywny dom publiczny. Otaczał się najbardziej zepsutą moralnie rzymską młodzieżą i najdroższymi oraz najbardziej wyuzdanymi kurtyzanami. Za ich usługi płacił naczyniami liturgicznymi, nie żałował też zasobów z papieskiego skarbca. Przy okazji naśladował również rzymskich cezarów i podobnie jak Kaligula mianował ulubionego konia senatorem. Natomiast gdy wpadał w pasję, to klnąc, powoływał się na Jowisza i Wenus! Potrafił też nadać godność diakona pomocnikowi stajennego, a pewnego 10-latka wyświęcić na biskupa.

Sprawami religii kompletnie się nie interesował, ale planował odzyskanie ziem Państwa Kościelnego utraconych w południowej Italii. Nie dysponował jednak odpowiednią siłą zbrojną, więc powrócił do zarzuconego pomysłu koronacji cesarskiej króla Niemiec.

Cesarskie ambicje

Dobrze trafił, gdyż władca Rzeszy miał ambicje sięgające odnowy imperium Karola Wielkiego. Przyjął zatem propozycję papieża i wyruszył do Rzymu, gdzie w lutym 962 r. został koronowany na cesarza. Nie chcąc jednak drażnić Cesarstwa Bizantyjskiego, używał tytułu bez przymiotnika „rzymski". Nie zmienia to faktu, że w ten sposób została zapoczątkowana tradycja, która miała przetrwać aż do 1806 r., a cesarzem niemal zawsze był król Niemiec.

Inna sprawa, że Otton nie miał zaufania do Jana XII i uważał go za szaleńca. Podczas koronacji prowadzonej przez papieża zapewnił sobie ochronę osobistą, która miała dać mu poczucie bezpieczeństwa w bezpośredniej bliskości pontifexa. Papież zresztą bardzo rzadko trzeźwiał, więc obawy nowego władcy chrześcijańskiego Zachodu były jak najbardziej uzasadnione.

Otton był rozsądnym politykiem i wychodził z założenia, że kontrola jest najważniejszym elementem polityki. Dlatego kilka dni po koronacji ogłosił dokument potwierdzający wszystkie wcześniejsze nadania na rzecz papiestwa od czasów Karolingów, ale przypomniał też o konieczności zatwierdzania przez cesarza każdorazowego wyboru biskupa Rzymu. Elekt musiał też złożyć przed konsekracją przysięgę lojalności. Przy okazji papież potwierdził prawa cesarza do chrystianizacji Słowian i podporządkował metropolii w Magdeburgu wszystkie mające dopiero powstać na wschodzie biskupstwa. Miało to w przyszłości zrodzić poważne konsekwencje dla Polski i Czech.



Spotkanie Ottona I z Janem XII FOT. COMMONS WIKIMEDIA, UNIVERSITÄTSBIBLIOTHEK HEIDELBERG/CC BY-SA 4.0

Jan XII przysiągł solennie wszystko, czego życzył sobie władca Niemiec, ale nie zamierzał tego respektować. Gdy tylko bowiem cesarz opuścił Rzym, papież natychmiast rozpoczął przygotowywania do stworzenia sojuszu antyniemieckiego. Trzeba przyznać, że przejawiał niezwykłą fantazję, gdyż jego posłowie trafili nie tylko na dwór bizantyjski, lecz także do pogańskich Węgrów i Saracenów. Otton został o wszystkim poinformowany i uznał, że musi się pozbyć szaleńca na Tronie Piotrowym. Tym bardziej że Jan XII kompletnie stracił kontrolę nad sobą, a o jego orgiach opowiadano w całej Europie.

Cesarz w listopadzie 963 r. ponownie pojawił się nad Tybrem, ale papież nie czekał na jego przybycie. Zrabował skarbiec papieski i schronił się w Tivoli. W tej sytuacji Otton zwołał synod kleru rzymskiego, na którym oskarżono zbiega o zabójstwa, świętokradztwo, nieobyczajność i zdradę. Jan, pomimo wezwań, nie pojawił się w Rzymie i w tej sytuacji został złożony z tronu św. Piotra. Na początku grudnia wyświęcono na nowego papieża Leona VIII, którego wskazał cesarz.

Otton popełnił jednak błąd, gdyż jego wybraniec w ogóle nie był duchownym i do tej pory pełnił obowiązki głównego notariusza w Pałacu Laterańskim. Cesarz miał do niego zaufanie, ale jego decyzja oznaczała powrót do obyczajów, które sam potępiał. Konieczne święcenia Leon otrzymał bowiem dopiero w dniu konsekracji. Dla cesarza liczyło się jednak tylko to, że nowy papież natychmiast złożył mu przysięgę wierności. Tym bardziej że na początku stycznia 964 r. cesarzowi udało

eprasa.pl f4f31c2ab4



Orazio Samacchini, „Otton I przywraca Państwo Kościelne Agapitowi II"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SALA REGIA VATICANO PINTURA

się stłumić rewoltę zwolenników Jana XII. W tej sytuacji niemiecki władca uznał, że sytuacja została opanowana, i wyruszył z powrotem za Alpy.

Podporządkowanie Rzymu i papieża cesarzowi spotkało się z oporem miejscowego możnowładztwa. Widząc to, Jan XII stwierdził, że pojawiła się szansa na powrót do władzy, i wkroczył do Wiecznego Miasta. Leon VIII ratował się ucieczką, ale wielu jego podwładnych zamordowano. Jan XII anulował wszystkie zarządzenia zarówno Leona VIII, jak i cesarza. W tej sytuacji przed Ottonem stanęło zadanie ponownego spacyfikowania buntu nad Tybrem.

Gdy niemiecki władca wkroczył do Rzymu wiosną 964 r., Jan schronił się w Kampanii. Tam w połowie maja dosięgła go śmierć godna jego życia i pontyfikatu. Wdał się mianowicie w romans z żoną pewnego kupca, który niespodziewanie wcześnie powrócił z podróży. Widząc w małżeńskim łożu intruza, nie przejmował się jego godnością, tylko od razu przystąpił do działania. Podobno do ukarania kochanka żony użył ciężkiego łańcucha, a kiedy już zatłukł papieża, wyrzucił jego nagie ciało przez okno. W chwili śmierci Jan XII miał 27 lat, z czego blisko dziewięć spędził na Tronie Piotrowym.

Tymczasem w Rzymie Otton ponownie intronizował Leona VIII, usuwając miejscowego kandydata, Benedykta V. Niedoszły papież, zdegradowany do roli diakona, trafił na wygnanie do Hamburga. Wybraniec cesarza nie miał jednak przed sobą długiego pontyfikatu, gdyż zmarł na początku marca kolejnego roku. Następnym biskupem Rzymu został Jan XIII (również wskazany przez cesarza).



Sylwester II i diabeł
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

W stronę odnowy

Kolejni papieże nie dorównywali wprawdzie w wyuzdaniu Janowi XII, ale już Bonifacy VII, który wstąpił na tron w 974 r., rozpoczął pontyfikat od osobistego uduszenia zdetronizowanego poprzednika. Zagrożony przez kolejnego cesarza, Ottona II, zrabował skarbiec papieski i zbiegł do Bizancjum. Po 10 latach powrócił do Rzymu, gdzie na krótko ponownie wstąpił na tron św. Piotra. Zamordowany został w lipcu 985 r., a jego ciało włóczono po ulicach Wiecznego Miasta.

Chociaż X stulecie nazwano „wiekiem papieży przeklętych" albo „nocą papiestwa", to na tronie św. Piotra zasiadali też ludzie zupełnie innego pokroju. Wspomniany Benedykt VII, panujący w latach 974–983, był zwolennikiem odnowy Kościoła w duchu reform benedyktyńskich. Zwalczał symonię i nepotyzm, starał się zdyscyplinować kler. Ironią historii pozostaje natomiast fakt, że słynne francuskie opactwo w Cluny, gdzie zapoczątkowano wspomniany ruch reformatorski, zostało założone w czasie panowania Sergiusza III…

Papież Grzegorz V (pontyfikat w latach 996–999), Niemiec z pochodzenia i wnuk Ottona I, był człowiekiem dużej kultury, ale nie potrafił dojść do porozumienia z arystokracją rzymską. W efekcie musiał ratować się ucieczką, a jego miejsce zajął antypapież Jan XVI. Ten ostatni nie nacieszył się jednak zbyt długą władzą, gdyż jego pontyfikat obaliła z kolei interwencja cesarska. Został oślepiony, obcięto mu nos i uszy, a następnie posadzono na ośle i oprowadzano po Rzymie. Grzegorz V zmarł (prawdopodobnie otruty) w lutym 999 r.

Jego następcą został Gerbert z Aurilac, który przybrał imię Sylwester II. Był to człowiek o ogromnej wiedzy, uważany za jednego z najwybitniejszych matematyków epoki, który rozpowszechnił w zachodniej Europie cyfry arabskie i system dziesiętny. Wraz z cesarzem Ottonem III usiłował wprowadzić zasady uniwersalnego cesarstwa i to za jego pontyfikatu miały miejsce kanonizacja św. Wojciecha i zjazd gnieźnieński. Niestety, na Tronie Piotrowym zasiadał zaledwie cztery lata. Zamęt miał trwać jeszcze do roku 1046, gdy cesarz Henryk III złożył z tronu trzech rywalizujących ze sobą papieży. Jeden z nich, Benedykt IX, trzy razy wstępował na tron, a gdy po raz pierwszy na nim zasiadł, miał zaledwie 20 lat. Gdy ustępował po raz drugi, podobno sprzedał urząd za tysiąc funtów srebra. Ale skoro pochodził z rodu hrabiów Tusculum, to wszystko było możliwe...

Reformy Henryka III nie na długo uzdrowiły sytuację Kościoła. Wkrótce miał bowiem wybuchnąć spór o inwestyturę i rozpoczęła się walka Grzegorza VII z cesarzem Henrykiem IV. A wcześniej pojawiła się wielka schizma wschodnia, która spowodowała, że drogi katolicyzmu i prawosławia ostatecznie się rozeszły...

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Fischber-Wollpert R., ***„Leksykon papieży"****, Mathieu-Rosay J.,* ***„Prawdziwe dzieje papieży"****, McBrien R.P.,* ***„Leksykon papieży. Pontyfikaty. Od Piotra Apostoła do Jana Pawła II".***

eprasa.pl f4f31c2ab4



Szpital powstańczy przy ul. Złotej FOT. IPN

1944 r. / Ratowali innych za cenę własnego życia

Do końca na stanowisku



Marek Gałęzowski

Lista zamordowanych i poległych lekarzy – uczestników powstania warszawskiego, liczy kilkaset nazwisk, łącznie z tymi, którzy na lekarzy się kształcili

W ostatnich dniach obrony Starego Miasta rozpoczęła się ewakuacja jego obrońców do Śródmieścia – jedyną możliwą drogą, prowadzącą kanałami. Rzadziej wykorzystywano trasę na Żoliborz, dokąd w nocy z 28 na 29 sierpnia 1944 r. wyruszyła grupa kilkudziesięciu rannych powstańców i cywilów: „Gdzieś w okolicy Dworca Gdańskiego spotykamy na trasie burzowiec, wielki kanał, w którym jest bardzo silny prąd wody, zdolny przewrócić człowieka [...]. Zbliża się północ. Wychodzimy gęsiego i udajemy się pojedynczo do włazu. Reflektory niemieckie co chwila oświetlają teren. Strzelanina trwa bez przerwy [...]. Pierwszy wszedł łącznik, za nim drugi [...], doktor Zbarski, ja [...]. Woda, prawie ciepła, brudna i śmierdząca, sięga do pasa [...]. Zbliżamy się do Dworca Gdańskiego. Tu czeka nas ten burzowiec, a przy nim Niemcy. Cisza. Wtem pech, cholera! Dziecko zaczęło płakać, że słychać je chyba na drugim końcu Warszawy. Jesteśmy zgubieni [...]. Stajemy. W burzowcu zrobiło się widno. Niemcy otworzyli włazy, a więc obserwują nas. Powoli przeszedł jeden łącznik, drugi z dzieckiem, jego żona i jeszcze jeden. Cisza. Idzie Zbarski [...]. Wszedł do burzowca, chwycił linę, idzie. Jest już na środku, wchodzi do następnego kanału. Teraz wchodzę ja [...]. Gdy znalazłem się pod włazem, poczułem silne uderzenie w głowę [...]. Zaraz potem kanonada, wybuchają granaty [...]. Leżę na doktorze Zbarskim, który ma rozerwany brzuch i już nie żyje. Dostał granatami. Tymi, które odbiły się od mojej głowy i przy nim eksplodowały”.

Tak śmierć Mariana Zbarskiego, absolwenta medycyny Uniwersytetu Warszawskiego, żołnierza batalionu „Pięść” Zgrupowania „Radosław”, opisał jej świadek, Cyprian Sadowski „Skiba”, szef służby sanitarnej Kedywu Komendy Głównej Armii Krajowej.

Cechowała go wielka odwaga

Lekarze niosący swoją posługę rannym żołnierzom AK i ludności cywilnej ginęli od pierwszych dni powstania warszawskiego, i to nie tylko wskutek walk. 5 sierpnia 1944 r., pierwszego słonecznego dnia tego miesiąca, Niemcy i ich wschodni kolaboranci wtargnęli do

eprasa.pl f4f31c2ab4

Szpitala Wolskiego przy ul. Płockiej 26. Była godz. 14.20.

„Po kilku minutach oficer SS z kilkoma podoficerami wprowadzili dr. [Józefa Mariana] Piaseckiego, prof. [Janusza] Zeylanda i ks. [Kazimierza] Ciecierskiego – kapelana, do gabinetu dyrektorskiego, kazano im stanąć za biurkiem i strzałami z pistoletów w głowę – zabito. Podkreślić należy, że zarówno dr Piasecki, jak i prof. Zeyland zdawali sobie sprawę z beznadziejności sytuacji. Wytrwali na swym stanowisku do końca, do końca czynili wysiłki ratowania załogi szpitalnej i chorych. Nie myśleli o indywidualnym ratunku i ucieczce" – wspominał Leon Manteuffel, jeden z niewielu ocalałych członków personelu szpitala.

Zamordowani lekarze zajmowali zaszczytne miejsce w elicie polskiej medycyny. Piasecki, absolwent prestiżowego Gimnazjum Wojciecha Górskiego i Uniwersytetu Warszawskiego, należał do grona wybitnych chirurgów warszawskich. Kierował m.in. oddziałem chirurgicznym Kliniki Chorób Dziecięcych UW i – jak pisała Zofia Podgórska-Klawe – „zorganizował tam nowoczesną salę operacyjną i prowadził jednocześnie dziecięcą poradnię przeciwgruźliczą". W 1936 r. wygrał konkurs na ordynatora oddziału chirurgicznego Szpitala Wolskiego: „Urządził sam ten oddział w adaptowanym na szpital budynku przy ul. Płockiej. Wzorowe urządzenie i wyposażenie sali operacyjnej w Szpitalu Wolskim, który od 1938 r. pełnił funkcję centralnej stacji rozpoznawczo-rozdzielczej dla chorób płucnych, było wyłącznie jego zasługą. Jednocześnie z oddziałem utworzył wzorową Poradnię dla Gruźlicy Kostno-Stawowej".

Weteran wojny z bolszewikami jako oficer WP wziął udział w kampanii wrześniowej 1939 r., po czym wrócił do Szpitala Wolskiego, obejmując funkcję jego dyrektora. Nie tylko zorganizował działanie placówki w warunkach okupacji niemieckiej, wywiązując się z tego dobrowolnie podjętego zadania „w sposób budzący podziw", lecz także prowadził w nim działalność konspiracyjną, w czym „cechowała go wielka odwaga i jednocześnie rozsądna ostrożność, jeżeli można było być w tej sytuacji ostrożnym" (Manteuffel). W szpitalu odbywało się tajne nauczanie medycyny, to tam



Józef Marian Piasecki FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

znaleźli schronienie ranni uczestnicy zamachu na Kutscherę. A kiedy zapadła decyzja rozpoczęcia powstania, Piasecki przygotował Szpital Wolski do pełnienia funkcji polowej, organizując jego pracę na wzór tej z oblężenia Warszawy w 1939 r. „Ostatnie dni jego życia spędzone w szpitalu były przykładem odwagi, troski o swój ośrodek, były bohaterstwem" – pisał Manteuffel.

Profesor Zeyland, powstaniec wielkopolski i podchorąży sanitarny w czasie wojny z bolszewikami, był absolwentem Uniwersytetu Poznańskiego, lekarzem praktykującym przed wojną w Poznaniu, wysiedlonym przez Niemców do Generalnego Gubernatorstwa. Specjalizował się w pediatrii, prowadził badania nad gruźlicą płuc wieku dziecięcego i to on był tym, który zainicjował w Polsce szczepienia przeciw tej tak wówczas niebezpiecznej, często spotykanej chorobie. W Szpitalu Wolskim „szybko zdobył sobie uznanie; był to wysokiej klasy klinicysta o głębokich zainteresowaniach naukowych […]. Młodzież garnęła się do niego; był świetnym nauczycielem […]. Potrafił nadać pracy szpitalnej naukowy ton wysokiej klasy. W szpitalu w czasie wojny zgromadziła się spora grupa bardzo dobrych lekarzy […]. Profesor Zeyland zajmował wśród nich niewątpliwie pierwsze miejsce, był autorytetem naukowym i autorytetem moralnym" – pisał Manteuffel.

Po zamordowaniu Piaseckiego i Zeylanda jakiś Niemiec zapytał innego z lekarzy obecnych w Szpitalu Wolskim, Zbigniewa Woźniewskiego, który z nich był profesorem: „Poprosiłem, by powtórzył pytanie, gdyż sądziłem, że nie zrozumiałem dobrze użytego zwrotu […]. Biorąc mnie za rękę, skierował swoje kroki do gabinetu dyrektora. Stanęliśmy w posiekanych kulami drzwiach […]. Pierwszy z brzegu prof. Janusz Zeyland leżał na plecach, wyprostowany sztywno, jakby z uśmiechem na zaciśniętych ustach. Po pewnym czasie do gabinetu zajrzał inny Niemiec, lekarz. Kiedy usłyszał nazwiska zgładzonych przez swoich towarzyszy broni, zawołał: »Zeyland! Ten znany Zeyland od gruźlicy!«, zdobywszy się jeszcze na dodanie, ale już cichutko – »to straszne«" – relacjonował Woźniewski. Tylko na taki kabotyński gest było stać tego niemieckiego oficera.

Po zamordowaniu obu lekarzy i kapelana Niemcy wypędzili pozostały



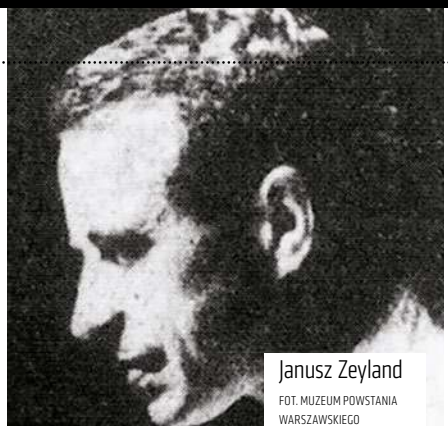
Szpital Wolski FOT. COMMONS WIKIMEDIA, STEFAN BAŁUK

eprasa.pl/4f31c2ab4

personel medyczny i chorych, mordując jeszcze wiele osób. Nie były to jednak najstraszliwsze zbrodnie dokonane tego dnia. Kilka godzin później w znajdującym się w pobliżu Szpitala Wolskiego Szpitalu św. Łazarza przy ul. Karolkowej 53 „Niemcy w bestialski sposób zaczęli rozstrzeliwać najpierw lekarzy na naszych oczach" – świadczyła młodziutka harcerka Wanda Łokietek-Borzęcka o mordzie dokonanym na lekarzach i sanitariuszkach AK, w większości takich jak ona nastoletnich harcerkach, oraz 10 siostrach zakonnych, a następnie pacjentach szpitala.

Brat skamandryty, ciemny słup dymu

„Był zręcznym eksperymentatorem obdarzonym nieprzeciętną inwencją, jednym z najwybitniejszych wówczas na świecie znawców krwi u płazów i gadów" – pisał Roman Michałowski, uczeń docenta Piotra Wacława Słonimskiego. Urodzony w 1893 r. w Warszawie, w rodzinie polskich Żydów, syn Stanisława Słonimskiego – uważanego za pierwowzór postaci doktora Szumana z „Lalki" Bolesława Prusa – podobnie jak Józef M. Piasecki uczył się w Gimnazjum Wojciecha Górskiego, ale maturę zdał we Lwowie i zaczął studia biologiczne na tamtejszym uniwersytecie. Nieprzyjęty początkowo do Legionów Polskich z powodu stanu zdrowia z początkiem 1916 r. zgłosił się ponownie, wstąpił do legionowej służby sanitarnej i wziął udział w kampanii wołyńskiej; nie był jednak oficerem, jak pisał jego sławny brat, skamandryta Antoni. W czasie kryzysu



Janusz Zeyland
FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

przysięgowego podobnie jak większość legionistów został internowany w Szczypiornie. Po zwolnieniu nie wrócił już do Lwowa; zaczął studia zoologiczne na Uniwersytecie Warszawskim, ponownie jednak przerwane, kiedy zaciągnął się na wojnę z bolszewikami, którą zakończył w stopniu porucznika.

To działalność niepodległościowa była przyczyną tego, że kiedy w końcu zdobył dyplom ukończenia studiów, zbliżał się już do trzydziestki. A jednak, chociaż pracował też zawodowo jako nauczyciel gimnazjalny, zaczął studiować medycynę, którą kilka lat później ukończył, co pozwoliło mu na rozwinięcie pracy naukowej na macierzystej uczelni i uzyskanie na początku lat 30. docentury. Był jednym z najwybitniejszych polskich histologów, naukowców badających tkanki i komórki, mającym wybitne osiągnięcia w badaniach nad krwią ssaków i płazów.

We wrześniu 1939 r. służył w pociągu sanitarnym na linii Kowel – Sarny. Wzięty do niewoli sowieckiej i umieszczony w jednym z obozów (mało jednak prawdopodobne, aby był to, jak twierdził jego syn, Starobielsk) wydostał się stamtąd i wrócił do Warszawy. Uważał się za Polaka pochodzenia żydowskiego i kiedy Niemcy utworzyli getto warszawskie, zignorował nakaz przesiedlenia się tam. Nie ukrywał się. Pracował w Szpitalu Ujazdowskim i przyjmował prywatnie w swoim mieszkaniu przy ul. Tynieckiej 52 na Mokotowie, a równocześnie uczył medycyny na tajnych kompletach Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Ziem Zachodnich. Niemcy aresztowali go wskutek donosu zimą 1944 r. i uwięzili na Pawiaku, został jednak wykupiony przez polskie podziemie, do którego należał jako wykładowca na tajnych kompletach.

W pierwszych dniach sierpnia zgłosił się do Centralnego Szpitala Powstańczego u sióstr elżbietanek na Mokotowie, a po jego zbombardowaniu kierował mniejszą już placówką szpitalną przy ul. Malczewskiego 3/5 (dziś w tym miejscu znajduje się Rejonowa Komenda Policji).

Jak pisał Lesław Bartelski, historyk powstania na Mokotowie, 2 września 1944 r. trzy stukasy „nadciągnęły tak szybko, że nikt nie zdążył uciec […]. Trysnął w niebo ciemny słup dymu i po chwili dom zapadł się". Piotr Słonimski, ofiarny lekarz, był najpewniej przy stole operacyjnym. W całkowicie zniszczonym szpitaliku zginęli również służąca w nim jako żołnierz AK jego żona Janina oraz prawie 150 osób, w tym 40 powstańców z kompanii por. Tadeusza Jakubca „Judyma".

Jedyny syn Słonimskiego – również Piotr – żołnierz służby sanitarnej pułku „Baszta", wysłany wcześniej przez ojca po bandaże, wracał właśnie do szpitala i widział te trzy stukasy. Po latach powiedział Małgorzacie Bramie, w relacji dla Muzeum Powstania Warszawskiego, że przyleciały one dlatego, że poprzedniego dnia nad szpitalem wywieszono olbrzymią płachtę z czerwonym krzyżem. Ale to, co miało zapewnić ochronę, było próżnym apelem do barbarzyńskiego wroga.



Okulary Janusza Zeylanda ze śladami krwi
FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Każdy z nas jest takim ździebełkiem

„Zyskał u studentów ogromne poważanie i sympatię. Mówił głośno, do wykładu wtrącał zawsze dowcip związany z wykładanym przedmiotem […]. Sala przy ul. Chałubińskiego (róg Oczki) zawsze przepełniona była słuchaczami, nie tylko studentami medycyny" – tak

eprasa.pl f4f31c2ab4



Piotr Wacław Słonimski z synem Piotrem
FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO



Edward Loth FOT. NAC

Cyprian Sadowski wspominał swojego ulubionego wykładowcę, prof. Edwarda Lotha. Rodem z Warszawy, absolwent uniwersytetu w Heidelbergu był nie tylko wybitnym lekarzem, lecz także organizatorem służby medycznej, jednym z tych, którzy w 1915 r. budowali Uniwersytet Warszawski, współtworząc Zakład Anatomii Prawidłowej, a na początku lat 20. obejmując na uczelni profesurę anatomii. Kontynuował tę pracę w późniejszych latach, zakładając pierwszy w kraju Zakład Ortopedyczno-Chirurgiczny, początkowo z siedzibą w Warszawie, następnie przeniesiony do Ciechocinka, Muzeum Anatomiczne UW. Zainicjował też powołanie Polskiego Towarzystwa Anatomiczno-Zoologicznego; został jego sekretarzem generalnym i redaktorem naczelnym głównego wydawnictwa „Folia Morphologica". Równocześnie pracował naukowo, publikując liczne prace z dziedziny anatomii i antropologii. Był człowiekiem o wszechstronnych zainteresowaniach – poza medycyną również w dziedzinie sztuki i sportu. A także posiadaczem trzeciej na świecie kolekcji małp zakonserwowanych w całości.

Jego biografię wyróżniało jednak jeszcze coś innego. Po wybuchu pierwszej wojny światowej, zamiast kontynuować karierę naukową, wstąpił do Legionów i jako naczelny lekarz 3. pułku piechoty II Brygady, zwanej Żelazną, uczestniczył w ciężkich bojach z Rosjanami w Karpatach Wschodnich, a później w pierwszych zmaganiach na Wołyniu. Po kryzysie przysięgowym został szefem sanitarnym Polskiej Siły Zbrojnej. Później, w czasie wojny z bolszewikami, już jako podpułkownik WP, organizował Centralną Składnicę Sanitarną Wojska Polskiego. W latach międzywojennych, chociaż poświęcił się w pełni pracy naukowej, nadal utrzymywał kontakt z legionowymi towarzyszami broni, z czasem obejmując funkcję prezesa Związku Hallerczyków.

We wrześniu i w październiku 1939 r. kierował I Szpitalem Okręgowym w oblężonej przez Niemców Warszawie, dokonując „nadludzkich wysiłków, żeby zapewnić rannym opiekę" (Sadowski), później „prowadził szeroko zakrojoną akcję pomocy i rehabilitacji inwalidów wojennych" – pisała Teresa Ostrowska w „Polskim Słowniku Biograficznym". Równocześnie wstąpił do ZWZ-AK i pod pseudonimem Gozdawa objął szefostwo sanitarne IV Rejonu, obejmującego Ochotę. Prowadził tajne nauczanie medycyny na Uniwersytecie Ziem Zachodnich. Był też, wraz z Józefem M. Piaseckim, jednym z lekarzy wezwanym do umierającego marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza, który jesienią 1941 r. wrócił potajemnie do okupowanej Polski.

Po wybuchu powstania początkowo znalazł się na obszarze opanowanym przez Niemców przy ul. Fałata na Mokotowie. Musiał wówczas przeprowadzić zabieg u jakiegoś rannego esesmana, pod bronią jego kamratów, którzy grozili w razie niepowodzenia rozstrzelaniem znajdujących się tam cywilów, do czego szczęśliwie, dzięki umiejętnościom prof. Lotha, nie doszło.

Wkrótce przekradł się stamtąd na teren opanowany przez powstańców i przystąpił do pracy w szpitalu elżbietanek. Tam 60-letni już lekarz „operował w czasie ostrzeliwania budynku przez artylerię, a później siostra zakonna pęsetką wyciągnęła mu z pokłutych pleców odłamki gruzu" (Bartelski). Później tę samą służbę dzień i noc pełnił w punkcie opatrunkowym przy ul. Pilickiej. Operując, poległ tam wraz ze wspierającą go żoną Jadwigą i córką Heleną Marią Giżycką, ten jeden z niewielu oficerów WP, a jednocześnie wybitnych reprezentantów polskiej medycyny, który trzy razy został odznaczony.

Lista zamordowanych i poległych lekarzy uczestników powstania warszawskiego liczy kilkaset nazwisk, łącznie z tymi, którzy kształcili się na lekarzy. Byli przedstawicielami elity inteligenckiej Polski, których utraciła ona wskutek celowej polityki niemieckiej i sowieckiej podczas drugiej wojny światowej. Były to straty niewymierne. Jednak – jak według świadectwa Sadowskiego – mówił prof. Edward Loth swoim kolegom ze środowiska lekarskiego: „Każda wojna niesie wielkie zniszczenie kultury i ludzi. Naród jednak nawet pobity nie zginie. Wyobraźcie sobie, że naród polski to łączka, na którą wpędzono bydło. Bydło łączkę tratuje i żre. Wiele ździebełek zginie, ale łączka przecież znowu odrośnie. Każdy z nas jest takim ździebełkiem. Wielu z nas zginie, ale naród nigdy".

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.



Upamiętnienie ofiar zbombardowania szpitala elżbietanek FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MZUNGU

eprasa.pl f4f31c2ab4



Fasada bazyliki św. Piotra

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ALVESGASPAR

Rzym / W miejscu grobu Kefasa

Dwie bazyliki św. Piotra



Anna Szczepańska

Papież Juliusz II zmuszony był podjąć radykalną decyzję o zburzeniu starej świątyni i wzniesieniu w jej miejscu nowej budowli. Decyzja nie wszystkim się podobała. Dla części wiernych oznaczało to zerwanie z tradycją papiestwa

Wkrótce po wydaniu przez cesarza Konstantyna Wielkiego edyktu mediolańskiego, który gwarantował chrześcijanom wolność wyznania, papież Sylwester I postanowił pokazać władcy miejsce pochówku św. Piotra – najświętsze dla chrześcijan miejsce w Rzymie, które przez trzy wieki gorliwie chroniono przed prześladowcami.

Konstantyn, choć ochrzczony został dopiero na łożu śmierci, dzięki bogobojnej matce Helenie wzrastał w wierze w Jedynego Boga. Władca był urzeczony i oszołomiony atmosferą miejsca, które zobaczył. Oto na wyciągnięcie ręki miał przed sobą szczątki apostoła namaszczonego przez Chrystusa, Jego następcy na ziemi, Szymona Piotra – Skały. Wokół znajdowały się też kości pierwszych papieży.

Konstantyn Wielki czuł, że w miejscu, gdzie pochowano św. Piotra, wznieść trzeba kościół, który będzie trwałym pomnikiem. Wydał więc zgodę na rozpoczęcie budowy na cmentarzu i w niedługim czasie na wzgórzu watykańskim zaczęto wznosić świątynię ku czci św. Piotra, co czyniło ją bazyliką memorialną (ku czci zmarłego).

Budowa pięcionawowej świątyni trwała wiele lat. Najpierw wiele pracy wymagało zniwelowanie różnicy w poziomach gruntu, ponieważ konieczne było dosypanie kilkudziesięciu tysięcy ton ziemi. W pracach tych brał udział sam cesarz, który samodzielnie przeniósł 12 koszy ziemi – tyle, ilu było apostołów.

Dziejopis i zaufany Konstantyna, Euzebiusz z Cezarei, opisał, jak cesarz zatroszczył się o szczątki św. Piotra: imperator miał owinąć kości pierwszego papieża w drogocenną, purpurową szatę przetykaną złotymi nićmi (purpura zarezerwowana była tylko dla cesarskiego rodu) i złożył je w bogato zdobionym sarkofagu podczas uroczystej ceremonii.

Z czasem zapomniano jego dokładną lokalizację – legenda głosiła, że ktokolwiek zakłóciłby spokój św. Piotra i spoczywających na Watykanie chrześcijan, będzie strasznie cierpiał. Jednak nikt nie podważał faktu, że św. Piotr jest pochowany w miejscu, gdzie zbudowano konstantyńską bazylikę. Kiedy w czasach nowożytnych, w miejscu starożytnej świątyni, zaczęto budowę znanego dziś kościoła, nikt nie miał odwagi zajrzeć pod posadzkę starej bazyliki – legenda wciąż była żywa. Papież Juliusz II (1503–1513) oficjalnie zakazał więc poszukiwań grobowca.

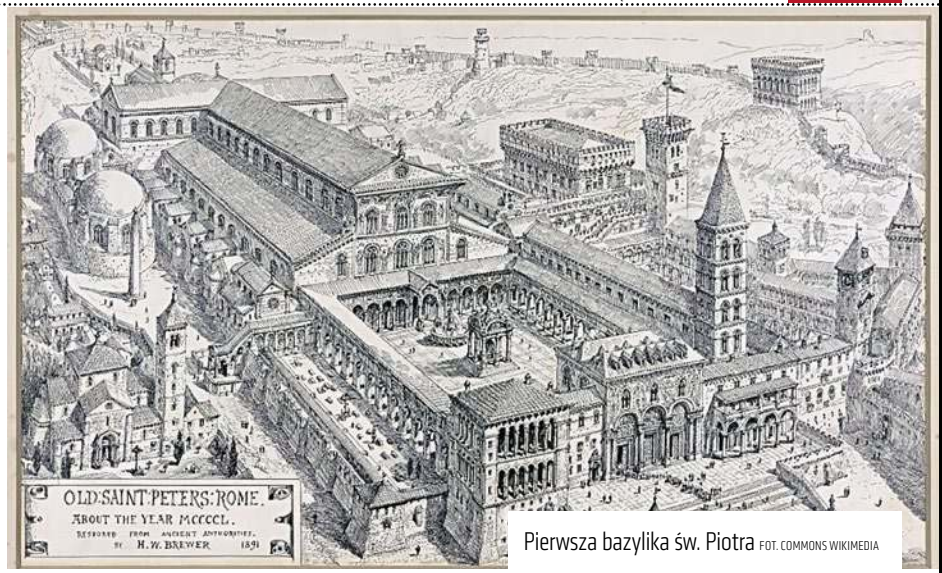
Choć brakowało niezbitych dowodów i źródeł pisanych, to kolejne pokolenia chrześcijan wierzyły, że grób św. Piotra po prostu tam jest. Mówiły o tym przekazy ustne, tradycja, wyimki z kronik; nikt tego jednak przez wieki nie sprawdził.

Jako pierwszy badania archeologiczne pod posadzką bazyliki św. Piotra kazał przeprowadzić papież Pius XII. Zaczęły się one w czasie drugiej wojny światowej i trwały ok. 30 lat. W końcu jednak grób św. Piotra został znaleziony, a jego szczątki zidentyfikowane. Nie były one pochowane w drogocennym sarkofagu, ale w dużo skromniejszym miejscu, dlatego można było je przeoczyć. Jak

eprasa.pl f4f31c2ab4

wykazały badania, relikwie te faktycznie były owinięte w purpurową szatę. Do niewielkiej niszy w ścianie zostały przeniesione być może, jak głosi jedna z hipotez, w czasach powtórnych prześladowań chrześcijan za panowania cesarza Juliana Apostaty (lata 361–363).

W 1968 r. papież Paweł VI ogłosił światu: „Nowe, wytrwale prowadzone i dokładne badania, przeprowadzone przez osoby cenione, kompetentne i roztropne, przekonały nas, że odnalezione zostały relikwie św. Piotra".



Pierwsza bazylika św. Piotra FOT. COMMONS WIKIMEDIA

W miejscu kaźni

Cyrk Nerona, zwany również cyrkiem watykańskim, powstał w miejscu dawnej etruskiej osady, która mogła się zwać Vaticum. Amfiteatr budowano kilka lat, za panowania cesarzy Kaliguli, Klaudiusza i Nerona. Jedną z jego najznamienitszych ozdób był mierzący 25 m wysokości egipski obelisk Amenemhata II, który z Heliopolis do Rzymu sprowadził Kaligula. W cyrku odbywały się głównie wyścigi rydwanów, jednak po tragicznym w skutkach pożarze Rzymu w roku 64 z rozkazu Nerona na jego terenie wykonywano wyroki śmierci na chrześcijanach, których cesarz posądził o spowodowanie tej katastrofy. Według tradycji Piotr Apostoł, pierwszy biskup Rzymu, zginął śmiercią męczeńską w cyrku Nerona 29 czerwca (dokładny rok jest niepewny, najczęściej mówi się o przedziale od 64 do 68 r.).

Nie wiadomo, czy ciało Piotra zostało oddane jego przyjaciołom, wykradzione czy wykupione. Przyjmuje się, że mógł je wykupić uczeń Piotra, senator Marcellus, który pochował je w pobliżu cyrku Nerona, w swoim rodzinnym grobowcu.

Miejsce pochówku św. Piotra było chrześcijanom powszechnie znane. Prawdopodobnie już trzeci papież, biskup Rzymu Anaklet, zdecydował o budowie niedużej edykuły (rodzaj kaplicy) nad miejscem spoczynku apostoła. Z racji prześladowań i niechęci władców Rzymu chrześcijanie nie mogli jednak jawnie oddawać hołdu swemu nauczycielowi. To, gdzie został pochowany Piotr, pozostało wiedzą dostępną tylko dla wciąż stosunkowo nielicznej grupy chrześcijan, która latami w ukryciu praktykowała swoją wiarę.


Grób św. Piotra FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DNALOR 01

Cyrk Nerona był z czasem coraz rzadziej używany, aż opustoszał w II w. po Chrystusie, i zastąpiły go inne teatry. Jego pozostałości zburzono na początku lat 20. IV w., gdy Konstantyn Wielki zdecydował o budowie bazyliki w miejscu pochówku św. Piotra. Jedną z ostatnich pozostałości po dawnym miejscu uciech rzymskich elit, a potem kaźni chrześcijan, był egipski obelisk.

Bazylika miała stanąć w miejscu, które trzeba było zniwelować, mimo że zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej teren był dużo lepszy, bo bardziej płaski. Ale oczywiście nie był to przypadek – pod prezbiterium znajdował się grób św. Piotra.

Konstantyn Wielki, znany przede wszystkim jako budowniczy Konstantynopola i twórca cesarstwa na wschodzie, również na Rzymie odcisnął bardzo wyraźny ślad. Bazylika św. Piotra była najpotężniejszą ówczesną świątynią. Jej wygląd można zrekonstruować dzięki wykopaliskom archeologicznym z lat 40. XX w., a także rycinom ukazującym budowlę przed rozbiórką w XVI w. Architektura bazyliki Konstantyna, jak popularnie się ją określa, przypominała stare rzymskie bazyliki czy świeckie budowle przeznaczane np. na siedziby sądów.

Pierwsza bazylika św. Piotra miała ok. 110 m długości i 64 m szerokości, składała się z pięciu naw, które oddzielone były 22 kolumnami z marmuru i granitu (przeniesiono je ze starszych pogańskich budowli – taki „recykling" był praktyką powszechną w starożytności). Ołtarz ustawiony był pod złotą kopułą spoczy-

eprasa.pl f4f31c2ab4



Pomnik św. Piotra
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JEBULON

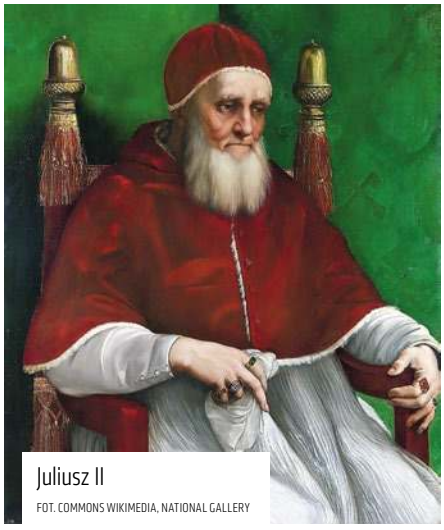
wającą na czterech kolumnach. Poniżej znajdowało się miejsce zwane Confessione, gdzie pochowany był św. Piotr.

Część zachodnia bazyliki była domknięta przez apsydę z monumentalnym tronem papieskim i mozaiką ufundowaną przez Konstantyna, która ukazywała ofiarowanie bazyliki Jezusowi i św. Piotrowi.

Podziemia pełne świętych

Imponująca była nie tylko sama bazylika zbudowana na planie krzyża św. Antoniego, lecz także wewnętrzny dziedziniec (atrium) zwany Paradiso, bogato zdobiony mozaikami (m.in. Giotta, którego mozaika „Navicella" do dziś zdobi portyk nowej bazyliki, choć w sporej części to XVII-wieczna rekonstrukcja), dekoracjami i fontanną wykonaną z brązu w kształcie szyszki, którą znaleziono na Polu Marsowym, niedaleko Panteonu (obecnie można ją oglądać na placu Szyszki w Muzeach Watykańskich). Wzrok przykuwał także potężny portyk, w którym znajdowało się pięcioro drzwi: Królewskie, Rzymskie, Raweńskie, Guidońskie i Prawa.

Stara bazylika była przez wieki w kunsztowny sposób dekorowana; pracowali przy niej najwspanialsi artyści z całej Italii, jak wspomniany Giotto, Antonio Averulino czy Arnolfo di Cambio, autor istniejącego do dzisiaj posągu św. Piotra. Papieże i możne rody fundowali kolejne kaplice, freski,



Juliusz II
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL GALLERY

grobowce i relikwiarze. Bazylika pełniła jednocześnie funkcję nekropolii. W jej podziemiach pochowano ok. 90 papieży, świętych, biskupów i fundatorów kościoła. Bazylika była ponadto świadkiem licznych doniosłych wydarzeń, takich jak koronacje królewskie i cesarskie (m.in. Karola Wielkiego).

Stara bazylika św. Piotra ucierpiała poważnie po raz pierwszy podczas najazdu Saracenów w 846 r. Skłoniło to papieża Leona IV do budowy murów obronnych wokół świątyni, co dało początek tzw. miastu leonowemu.

Świątynia, mimo ciągłych napraw, popadała jednak w ruinę. Jak zauważyli XV-wieczni architekci, odchylenie od pionu części murów wynosiło już ponad 1,5 m i groziło katastrofą. Mimo że kolejni papieże próbowali ratować bazylikę, Juliusz II był w końcu zmuszony podjąć radykalną decyzję o zburzeniu starej świątyni i wzniesieniu w jej miejscu nowej budowli. Decyzja nie wszystkim się podobała; dla części wiernych oznaczało to zerwanie z tradycją papiestwa.

Rozbieranie bazyliki trwało wiele lat; prace zakończono w 1505 r. Część elementów ze starej świątyni przeniesiono do nowego kościoła. Do prac nad projektem renesansowej bazyliki papież zatrudnił najwybitniejszych architektów i artystów.

Do „konkursu" na nowy projekt stanęło wiele prac. Ostatecznie wybrano projekt Donata Bramantego, który planował stworzyć świątynię na planie ogromnego krzyża greckiego z kopułą inspirowaną Panteonem, która będzie otoczona czterema niższymi kopułami. W każdym rogu świątyni miała stać wieża. Pomysł Bramantego nie został jednak w całości wcielony w życie. Po śmierci artysty w 1514 r. twórcami nowej bazyliki byli kolejno: Giuliano da Sangallo i Fra Giocondo, a później Rafael i Baldassare Peruzzi. Plany budowy zostały wstrzymane w 1527 r. z powodu zajęcia i splądrowania Rzymu przez wojska cesarza Karola V Habsburga (Sacco di Roma).

Ręka Anioła

Ostatecznie, po krótkim okresie pracy Antonia da Sangalla Młodszego, do projektu bazyliki św. Piotra zabrał się sam Michał Anioł, mający wówczas 70 lat. Artysta nie chciał realizować tego projektu (pisał nawet: „Podejmuję się tego zadania tylko z miłości do Boga i na cześć Apostoła"), lecz został właściwie przymuszony przez papieża Pawła III. Zastrzegł jednak, że musi mieć przy projekcie wolną rękę, na co papież niechętnie przystał, znając dość trudny charakter genialnego artysty.

Michał Anioł inspirował się pracami swoich poprzedników, bazując przede wszystkim na dziele Bramantego. Dodał jednak projektowi lekkości i spójności, której dotąd brakowało. Michelangelo nie doczekał ukończenia bazyliki. Po jego śmierci prace kontynuowali m.in. Pirro Ligorio, Vignola i Giacomo della Porta, który zmienił nieco ostateczny projekt kopuły. Ukończono ją w 1590 r., a na jej szczycie wyryto napis: „Ty jesteś Piotr –

eprasa.pl f4f31c2ab4



Cyborium(baldachim) Berniniego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JEBULON

Skała i na tej Skale zbuduję mój Kościół i dam ci klucze Królestwa Niebieskiego". W ramionach krzyża na szczycie kopuły umieszczono m.in. relikwie Krzyża Prawdziwego i św. Andrzeja. Bazylika osiągnęła wysokość 133 m.

W 1605 r. Carlo Maderno, na polecenie papieża Pawła V, dokonał zmiany w planie kościoła, bazując na krzyżu łacińskim (co wiązało się z reformacją, której zwolennicy zarzucali papiestwu używanie krzyża greckiego), oraz zbudował potężną nawę z przodu, gdzie znajduje się m.in. znana dziś Loża Błogosławieństw, skąd ogłasza się wybór nowego papieża. Fasada Maderno, zbudowana z trawertynu (115 m szerokości i 45 m wysokości), spotkała się jednak z falą krytyki, która zresztą nie cichnie do dziś. Papieżowi i Madernie zarzuca się, że chcieli zbyt szybko ukończyć bazylikę i fasada nie została przemyślana. Faktem jest, że patrząc od strony placu św. Piotra, niemal zupełnie przysłania ona kopułę Michała Anioła.

Madernie bez wątpienia udał się jednak narteks, czyli portyk za fasadą, gdzie znajdują się drzwi do wnętrza bazyliki (w tym Drzwi Święte, których tradycja otwierania z okazji Roku Świętego sięga XV w.). Obramowany jest on kolumnami jońskimi, a w późniejszych latach na jego końcach umieszczono posągi: Karola Wielkiego na koniu autorstwa Agostina Cornacchiniego oraz Konstantyna Wielkiego autorstwa Gian Lorenza Berniniego.

Ten ostatni artysta wywarł ogromny wpływ na wygląd bazyliki. Bernini podobno już jako dziecko ogłosił, że będzie przyozdabiał nową świątynię Apostoła. Jego marzenie się spełniło. Z bazyliką św. Piotra związany był przez pół wieku. Jego najbardziej znaną pracą jest cyborium – baldachim nad ołtarzem o wysokości 28 m, wsparty na skręconych kolumnach inspirowanych kolumną ze Świątyni Jerozolimskiej, którą do Rzymu miał przywieźć Konstantyn Wielki. Wokół baldachimu ustawiono posągi: św. Longina, św. Weroniki, św. Heleny i św. Andrzeja. Kolejnym wielkim projektem Berniniego był tron św. Piotra. Było to drewniane krzesło, według tradycji należące do pierwszego biskupa Rzymu, choć w rzeczywistości nie było zapewne tak stare. Bernini postanowił umieścić je wewnątrz brązowego tronu, który podtrzymują posągi czterech doktorów Kościoła: św. Ambrożego, św. Augustyna, św. Atanazego i św. Jana Chryzostoma.

Berniniemu swój kształt zawdzięcza także plac św. Piotra. Innowacyjnym rozwiązaniem było stworzenie czegoś na kształt dwóch placów w jednym: pierwsza część ma kształt trapezu i rozszerza się od strony głównego placu, co daje efekt, że budynek świątyni jest bliżej niż w rzeczywistości. Druga część ma kształt elipsy, a całość spięta jest podwójną kolumnadą. Obecne szerokie dojście do bazyliki drogą Via della Conciliazione zostało stworzone dopiero na początku XX w.



Widok z bazyliki na plac św. Piotra

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, VYACHESLAV ARGENBERG

Krzyk żeglarza

Najszerszą oś placu wyznaczają dwie fontanny oraz wspomniany już egipski obelisk, zwany Świadkiem, gdyż być może w jego sąsiedztwie został stracony św. Piotr. Pierwotnie stał on w Cyrku Nerona, a później na terenie bazyliki Konstantyna. W obecnym miejscu obelisk stanął w 1586 r. z inspiracji papieża Sykstusa V. Operacja przesunięcia monumentu była bardzo ryzykowna; brały w niej udział setki ludzi. W dniu przeniesienia obelisku robotnicy otrzymali zakaz prowadzenia jakichkolwiek rozmów, by zadanie wykonać w maksymalnym skupieniu.

W momencie, gdy obelisk już prawie znalazł się na swoim nowym miejscu, zauważano, że utrzymujące go liny się przegrzewają, grożąc zapaleniem. Nie zważając na zakaz, jeden z robotników wykrzyknął: „Daghe l'àiga ae corde!", co w języku liguryjskim znaczy: „Wody na liny!". Natychmiast go posłuchano. Polane wodą liny konopne, nagrzewające się z powodu tarcia na wyciągarkach, od razu się skróciły, a obelisk stanął na swoim miejscu. Śmiałkiem, który krzyknął mimo zakazu, okazał się Benedetto Bresca, liguryjski żeglarz z San Remo. W dowód wdzięczności papież przyznał mu pensję i prawo do podnoszenia papieskiej flagi na swoim statku. Ponadto Bresca uzyskał przywilej dostarczania palm do bazyliki św. Piotra na Niedzielę Palmową. Do dziś prawo to przysługuje miastu San Remo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4f31c2ab4



Brama Podgrodzia

FOT. POMERANICA.PL, WŁ. WOJTKIEWICZ

XX w. / Utopijna republika dziecięca

„Polski Artek”



Beata Zubowicz

Podgrodzie miało być dziecięcym miasteczkiem z socjalistycznej bajki. Władze PRL wzorowały się na słynnym krymskim Arteku

Fotografia jest mała, czarno-biała, z ząbkowanym rantem. Widać na niej cztery dziewczyny. Mają 12, może 13 lat. Siedzą w kajakach. Jedna przycupnęła na burcie, czyli nie odpłynęły daleko od brzegu. Lekko mrużą oczy, więc dzień jest raczej słoneczny. Trzy są w mundurkach harcerskich, jedna w letniej sukience. Patrzą prosto w obiektyw, uśmiechają się. Ta w sukience w kwiatki to moja mama. Na odwrocie podpis: „Podgrodzie, 16 VII 1956 rok”.

Czy w tamtym czasie mama ma świadomość, że spędza wakacje w szczególnym miejscu? Nie dlatego, że o Podgrodziu piszą gazety, mówią o nim w radiu, a nawet pokazywano je w kinie w kronice filmowej. Także nie dlatego, że można się tu poczuć jak w bajce. Ale dlatego, że jest to „polski Artek”, utopijna republika dziecięca, stworzona według sowieckich wzorów po to, by formować „socjalistycznego człowieka”.

Strzał w dziesiątkę

Miasteczko Dziecięce w Podgrodziu – jak na epokę stalinowską przystało – założono w iście stachanowskim tempie: w lutym 1952 r. w warszawskiej centrali Związku Spółdzielni Przemysłowych i Rzemieślniczych ktoś rzucił pomysł utworzenia miasteczka kolonijnego, a już w lecie zorganizowano pierwszy turnus. Data nie jest przypadkowa. W lipcu 1952 r. zostanie przyjęta nowa konstytucja, zmieniająca formalnie Rzeczpospolitą Polską w Polską Rzeczpospolitą Ludową, a miasteczko powstanie na jej cześć. Choć bez wątpienia jednym z powodów była też zwykła troska o najmłodszych – w wieku szkolnym były wtedy właśnie dzieci z roczników wojennych (1938–1945), bodaj najbardziej poszkodowane przez los.

Skala przedsięwzięcia jest tak ogromna, że spółdzielcom trudno byłoby zrealizować je samodzielnie, bez udziału państwa. Ale ponieważ w tamtej epoce nic się nie dzieje bez wiedzy władz i szczęśliwym trafem pomysł się podoba, budowa rusza z impetem.

Nie wiadomo, kto dokładnie znalazł to miejsce, ale bez wątpienia trafił w dziesiątkę. Osada leży 50 km od Szczecina, 30 km od Polic i 2 km od Nowego Warpna, z dala od terenów przemysłowych. Liczy 40 domów – stosunkowo nowych, bo w większości postawionych w czasie wojny przez robotników przymusowych, także Polaków. O jej walorach wypoczynkowych najlepiej świadczy to, że Niemcy umieścili tu sanatorium. Osada leży na cyplu otoczonym wodami Zalewu Szczecińskiego: z jednej strony półwyspu dostępna jest plaża z płytkim kąpieliskiem, z drugiej – przystań z betonowym nadbrzeżem, którą bez trudu można przystosować do potrzeb żeglarzy.

eprasa.pl f4f31c2ab4



Jedyną przykrą okolicznością jest to, że po wysiedleniu Niemców zdążyło już tu zamieszkać kilka polskich rodzin z Kresów. Ale kto by się nimi przejmował?! Kiedy powołany zostaje Komitet Ogólny Budowy Podgrodzia i uzyskuje stosowne zezwolenia – z ministerstw Oświaty, Zdrowia oraz Przemysłu Drobnego i Handlu (sprawuje pieczę nad spółdzielczością) – mieszkańców bez zbędnych ceregieli po prostu się wysiedla. Z całego kraju do Podgrodzia zjeżdżają za to robotnicy i junacy z organizacji Służba Polsce (w sumie 600 osób). Nawet mieszkańcy Nowego Warpna uchwałą rady miasta zostają zobowiązani do przepracowania w czynie społecznym czterech dniówek na rzecz miasteczka.

Budowa ma rozmach: w ciągu zaledwie pół roku miasteczko podzielono na cztery dzielnice, wyremontowano domki, wytyczono i wysypano żwirem ulice (z czasem zostaną wyasfaltowane), zbudowano sieć wodociągową i kanalizacyjną, kinoteatr, amfiteatr, stadion z ławkami dla widzów, salę gimnastyczną, cztery stołówki, pralnię, łaźnię, a także zainstalowano największą atrakcję – kolejkę wąskotorową z prawdziwym dworcem. Położone zostały 3 km torów, po których jeździła sprowadzona lokomotywa z trzema wagonikami i maszynistą. Na koniec przywieziono m.in. trzy pianina, instrumenty perkusyjne, 120 kajaków, 40 rowerów, łódź żaglową i stację krótkofalową.

Fascynacja Artekiem

4 lipca 1952 r. Podgrodzie jest gotowe na przyjęcie kolonistów, a uroczyste otwarcie ma się odbyć 27 lipca 1952 r., pięć dni po najważniejszym w PRL święcie, tuż po przyjęciu nowej konstytucji.

Miasteczko jest odświętnie udekorowane: wszędzie wiszą portrety I sekretarza KC PZPR Bolesława Bieruta i „wodza światowego proletariatu" Józefa Stalina. Zjeżdżają notable i dziennikarze.

„Życzę wam, abyście idąc za przykładem radzieckich pionierów z Arteku, zamienili Podgrodzie na miasteczko najlepszych przodowników pracy i nauki społecznej, abyście nabierali tu nowych sił, energii i zdrowia do dalszej pracy dla pięknej przyszłości naszej umiłowanej ojczyzny" – przemawiał do kolonistów minister przemysłu drobnego i rzemiosła Adam Żebrowski.

Wiceminister oświaty Zofia Dębińska nie chciała być gorsza. „Podgrodzie to dziecko Arteku, pierwszego w świecie miasteczka dziecięcego, które powstało w Związku Radzieckim. Waszym zadaniem, obywatele Podgrodzia, jest wzorując się na bohaterskiej młodzieży radzieckiej, prowadzić wielkie dzieło budowania szczęśliwej Polski" – powiedziała, a jej słowa skrupulatnie zapisał dziennikarz „Głosu Szczecińskiego".



Pierwsza z prawej: matka autorki, Podgrodzie, 1956 r. FOT. ARCHIWUM BEATY ZUBOWICZ

Jak na republikę dziecięcą przystało, głos zabrał także pierwszy przewodniczący Prezydium Miejskiej Rady Narodowej Podgrodzia. Wiesław Prestel ma 13 lat i obiecuje „wypełniać wszystkie wskazania naszego nauczyciela i przewodnika, Bolesława Bieruta", a także „razem z dziećmi bohaterskiego Związku Radzieckiego, dziećmi walczącej Korei i ze wszystkimi dziećmi całego świata, które pragną radości i uśmiechu" walczyć „o szczęście i pokój".

Fascynacja Artekiem, otwartym w 1925 r. modelowym sowieckim obozem pionierskim, wydaje się być wtedy powszechna. Dziennikarze liczą turnusy, na których dzieci polskich przodowników pracy spędzają „cudowne, niezapomniane chwile w słonecznym Arteku". Goście z Polski doświadczają „niebywałej gościnności" mieszkańców i „nadzwyczajnej troski władz radzieckich". Od pionierów uczą się zgody i przyjaźni „bez różnicy narodowości, pochodzenia i koloru skóry". Bezcenne okazuje się doświadczenie „społecznego trybu życia". Większość relacji prasowych kończy się cytatami z listów polskiej młodzieży. „Dużo bajek czytaliśmy, ale w żadnej z nich nie było tak pięknie i przyjemnie jak tutaj" – piszą dzieci wysłane na Krym przez Ligę Kobiet w lipcu 1947 r.

Żaden dziecięcy list, żaden tekst prasowy nie podziałał tak bardzo na wyobraźnię czytelników jak reportaż Mariana Brandysa „Wyprawa do Arteku. Notatki z podróży do ZSRR". Pisarz, gruntownie wykształcony, nie ustrzegł się heglowskiego ukąszenia. Po wojnie wstąpił do PPR i zatrudnił się w komunistycznej prasie, stając się apologetą postępu, sprawiedliwości społecznej i przyjaźni polsko-sowieckiej.

Do Arteku pojechał jako kuracjusz, przynajmniej tak twierdził. Po powrocie wysmażył ni to reportaż, ni wspomnienia. I ta publikacja, która rozeszła się w wielotysięcznym nakładzie, przetłumaczona na języki rosyjski, chiński, a nawet francuski, na wiele lat utrwaliła arkadyjski obraz tego miejsca. Na kartach książeczki przesuwają się korowody radosnych dzieci, lśnią czystością białe tarasy, krajobrazy zapierają dech w piersiach, na wietrze łopoczą chorągwie, a po falach

eprasa.pl f4f31c2ab4

szafirowego morza mkną motorówki. „Wyprawa do Arteku to wzorcowy przykład »ideologicznej baśni«, opowiedzianej przez Szeherezadę o nazwisku Brandys" – skomentuje złośliwie wiele lat później Beata Żejmo, autorka pracy o obozie pionierskim na Krymie.



Propagandowe zdjęcie sprzed uchwalenia konstytucji w 1952 r. FOT. PODOLSKI/CAF/PAP

Nowy człowiek

Kiedy „polski Artek" nabiera dopiero kształtów, pedagodzy biorą się do przygotowania jego podbudowy ideologicznej. Nie mają specjalnego wyboru, ponieważ w ZSRS króluje metoda wychowawcza wymyślona przez Antona Makarenkę. Ten pedagog i pisarz ma niewątpliwe zasługi w pracy z dziećmi ulicy i młodocianymi przestępcami, tzw. bezprizornymi. W ZSRS był to gigantyczny problem: szacuje się, że w szczytowym momencie, w latach 20. XX w., liczba osieroconych dzieci sięgała nawet 7 mln. I to z myślą o nich Makarenko opracował swoją metodę. Chciał z małych przestępców ulepić „człowieka sowieckiego" – pracowitego, zdyscyplinowanego i oddanego społeczeństwu. Nawet jeśli znawcy przedmiotu nie odmawiają mu talentu i porównują go do innych wybitnych pedagogów tamtej epoki, m.in. do Janusza Korczaka czy do tak dziś modnej Marii Montessori, to widzą też różnice. A są one zasadnicze. O ile – w największym uproszczeniu – dla Korczaka istotne są indywidualne prawa dziecka i empatia, a dla Montessori – wolność wyboru, o tyle dla Makarenki najważniejszy jest kolektyw.

Kolektywizm króluje więc też w „polskim Arteku". „W Podgrodziu dzieci wychowywane są w duchu zespołowości i koleżeństwa […]. W radosnej atmosferze kolektywnej pracy i kolektywnej zabawy płyną letnie dni najmłodszej Rzeczypospolitej" – mówi z charakterystyczną dla owych czasów emfazą lektor „Polskiej Kroniki Filmowej", która w 1952 r. robi reportaż o chlubie PRL-owskiej pedagogiki (fragment kroniki nr 37/52 z 1952 r. jest dostępny w serwisie YouTube).

Do Podgrodzia na pierwszy turnus przyjeżdża ponad tysiąc dzieci, choć wcale nie tak łatwo się tu dostać, podobnie jak do obozu matki – Arteku. Są wśród dzieci potomkowie partyjnych notabli i przodowników pracy ze Śląska, są szkolni prymusi i harcerze z wtedy jeszcze „czerwonego" harcerstwa. Zaproszono też – tak jak w ZSRS – kolegów z państw demokracji ludowej. Cała reszta to dzieci spółdzielców – z tej puli za cztery lata przyjedzie tu moja mama, córka pracownicy spółdzielni krawieckiej z Białegostoku. Ale to będzie już inna epoka w życiu miasteczka.

Na razie jest rok 1952, a więc okres pionierski i najbardziej zideologizowany, apogeum stalinizmu w Polsce. Zachwyceni eksperymentem autorzy książeczki „Miasteczko Dziecięce w Podgrodziu" tak opisywali je w 1953 r.: „Poza niezbędną grupką opiekunów, lekarzy, pedagogów mieszkają tam wyłącznie dzieci, które same się obsługują, same się rządzą i same o sobie stanowią". Owa „niezbędna grupka opiekunów" pilnuje „jedynie słusznej linii", ale też dba o zapewnienie uczestnikom właściwych warunków życia i prawidłową organizację zajęć.

Aż do odwilży w 1956 r. kult jednostki jest jednym z pedagogicznych fundamentów miasteczka. Postacią centralną – tak jak w całym państwie – jest Bolesław Bierut. „Wszystko było dla socjalizmu i dla Bieruta" – będzie po latach wspominać w reportażu przygotowanym dla szczecińskiego radia jedna z kolonistek. Nie może go zabraknąć nawet w regulaminie. „To wszystko, co Cię otacza, co Cię cieszy, co dodaje sił do pracy, nauki szkolnej – zawdzięczasz władzy ludowej i najlepszemu przyjacielowi dzieci – Towarzyszowi Bolesławowi Bierutowi" – zapisano.

Ponieważ motto Podgrodzia brzmi: „Uczmy się sztuki kierowania państwem", najważniejszą instytucją jest Miejska Rada Narodowa Miasteczka Dziecięcego (MRNMD), skonstruowana na wzór tej dorosłej. Na początku każdego turnusu odbywają się wybory do rad: poszczególnych domków, dzielnic, wreszcie całego miasteczka. „Najlepsi do rad" – dopinguje hasło. Rada miasteczka podzielona jest na wydziały: finansowo-gospodarczy, kulturalno-oświatowy, informacji, radia i prasy, zdrowia, kultury fizycznej. „Było [to] bezpośrednim nawiązaniem nie tylko do samorządności dzieci (jak u Makarenki), ale i do istniejących w realnym życiu społecznym rad narodowych" – komentuje Barbara Sowińska-Adamczyk, autorka monografii na temat miasteczka. Poza tym porządku na ulicach pilnują dziecięcy milicjanci, pocztę roznoszą listonosze, plastry na zadrapania przylepiają małe sanitariuszki, funkcjonują służby: morska i kolejowa. Ta ostatnia obsługuje kolejkę wąskotorową. Podczas dwóch pierwszych turnusów koloniści mają do dyspozycji


Pionierzy w Arteku FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl f4f31c2ab4

nawet wóz strażacki. Każde dziecko choć raz pełni dyżur w każdej ze służb.

Moja mama, która w czasach szkolnych często jeździła na kolonie i obozy harcerskie, pobyt w Podgrodziu wspominała jednak z dużym sentymentem. Szczególnej tresury ideologicznej nie dostrzegała, bo zapewne była ona nie większa niż w innych tego typu miejscach. A w 1956 r., kilka dni po krwawych wydarzeniach poznańskich, ideologiczny zapał pewnie już mocno osłabł. Bądź co bądź w październiku do władzy dojdzie Władysław Gomułka i w PRL zacznie się nowy etap.

Ale i inni dawni koloniści, także ci z wcześniejszych turnusów, dobrze wspominają pobyt w Podgrodziu. „Było miasteczko dziecięce i miasteczko harcerskie. Były wycieczki rowerowe, był hymn i nim rozpoczynało się dzień" – mówi we wspomnianym wcześniej reportażu radiowym jedna z uczestniczek kolonii w 1953 lub 1954 r. „Było wspaniale. Nie przypominam sobie indoktrynacji. Było tak jak wszędzie w tamtym czasie" – dodaje druga. W listach, które dzieci piszą z kolonii do domów, powtarza się określenie „jest jak w bajce".

Czyżby koloniści zapamiętali tylko to, co miłe? Trudno to wykluczyć. Od wojny minęło przecież ledwie siedem lat, kraj wciąż jest zrujnowany, panuje powszechna bieda. Tymczasem w Podgrodziu dzieci dostają pięć posiłków dziennie, do tego owoce, lody, słodycze; do dyspozycji mają sprzęt sportowy i łazienki z bieżącą wodą – już samo to musi być ekscytujące. A są i inne atrakcje: koloniści biorą udział w zawodach sportowych, uczą się tańczyć (głównie tańców ludowych, ale instruktorzy pokazują też kroki rock and rolla) i recytować, oglądają filmy w kinoteatrze, jeżdżą na rowerach i pływają kajakami, wieczory spędzają zaś przy ognisku. W Podgrodziu działa wesołe miasteczko i wydawana jest gazetka. Utopia się zrealizowała.

Koniec z pajdokracją

I kiedy już się wydaje się, że nic nie jest w stanie zmącić dobrego nastroju, wybucha skandal. W zachodniej – o zgrozo!



Anton Makarenko FOT. COMMONS WIKIMEDIA

– prasie ukazuje się reportaż, z którego wynika, że dzieciom władza za bardzo przypadła do gustu. Oto mały milicjant zwierza się dziennikarzowi, że „przestępców osądza sąd dziecięcy, ale w Podgrodziu nie ma więzienia, a przydałoby się". Co gorsza, podobnych wypowiedzi jest więcej.

Pospiesznie zostaje zwołana komisja pedagogów, która stwierdza, że w miasteczku rządzi „pajdokracja" i trzeba ją ukrócić. Wychowawcy dostrzegają w końcu, gdzie leży problem. Jak będzie po latach wspominał harcmistrz Franciszek Dębski, który został wysłany jako wychowawca na turnusy w latach 1954 i 1955, radę miasteczka tworzą „bardzo aktywni trzynastolatkowie i czternastolatkowie, w większości z rodzin wysoko uplasowanych we władzach PRL". Ci młodzieńcy wynoszą z domów przekonanie, że „masami można kierować, kiedy się wszystko wcześniej trafnie przewidzi i dobrze przygotuje". Jednym ruchem pióra rada miasteczka zostaje więc sprowadzona do ciała wyłącznie fasadowego.

Potem, jak wspomina hm. Dębski, „powołano specjalną komisję z udziałem znaczących pedagogów, która uznała, że najlepszymi polskimi metodami dysponowało tradycyjne harcerstwo. I wystąpiono z wnioskiem do Zarządu Głównego ZMP o ich zastosowanie w Podgrodziu". Na taką kontrrewolucję jest jednak za wcześnie. Wniosek zostaje przyjęty wrogo, a harcmistrz musi się mierzyć z oskarżeniami o reakcyjne nastawienie.



Panorama Podgrodzia FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DRON KAPITEL

A jednak po cichu pożegnano się także z Makarenką. W 1958 r. wychowankowie mogą już nawet jechać na niedzielną Mszę do Nowego Warpna. W tym roku zdarzył się jednak tragiczny wypadek, który można uznać za początek końca pedagogicznego eksperymentu. 14 lipca, w czasie zajęć kajakarskich na Zalewie Szczecińskim, topią się cztery dziewczynki i redaktor podgrodzkiego radiowęzła Witold Rzempołuch, który usiłował je ratować. W konsekwencji zostaje zlikwidowana służba morska, a dzieci dostają zakaz używania sprzętu pływającego.



„Kolejarze" z Podgrodzia FOT. JAN TYMIŃSKI/PAP

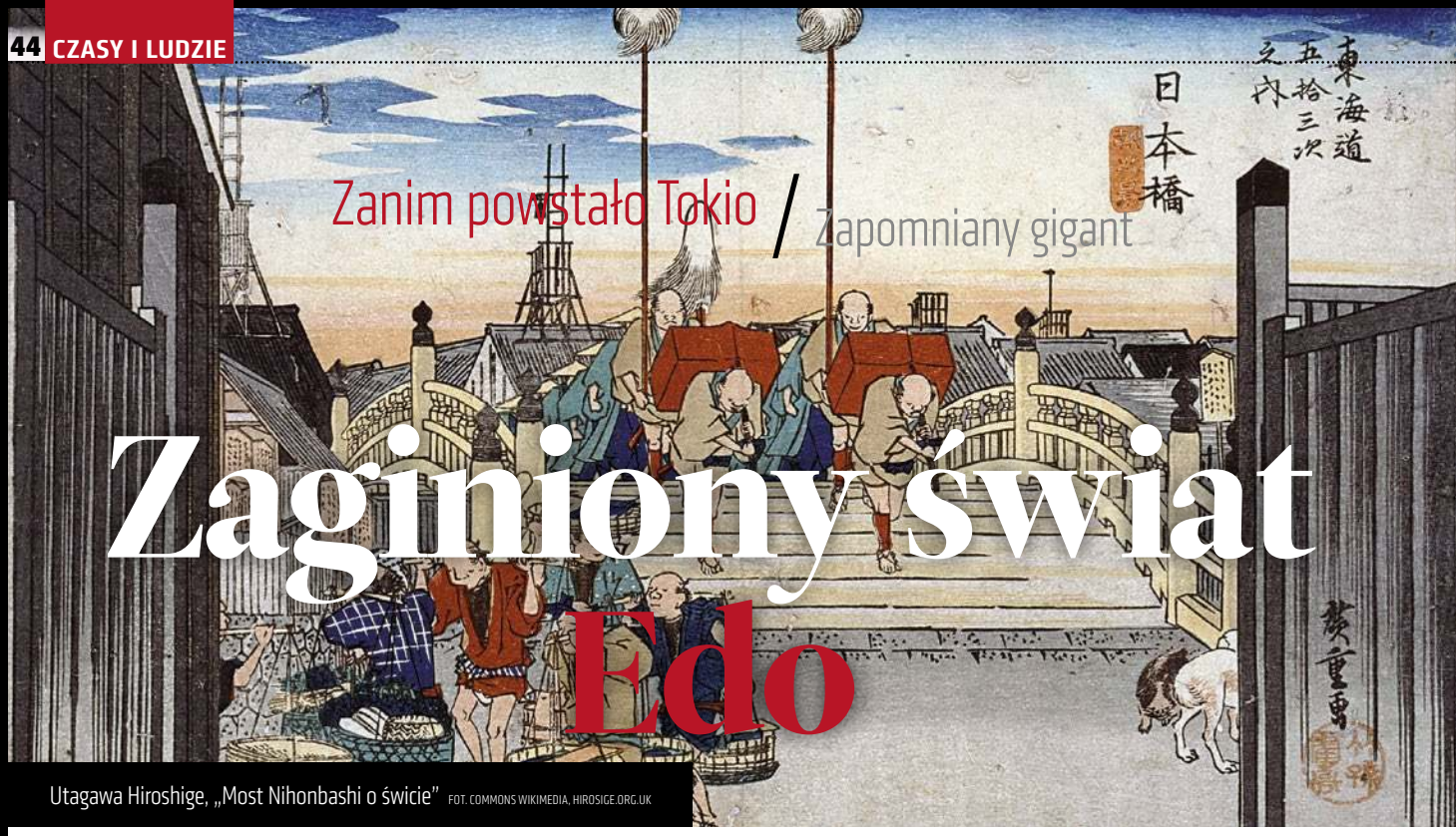
W 1961 r. zostaną sformułowane nowe „Założenia organizacyjno-wychowawcze". Co prawda, jednym z celów wciąż będzie „kształtowanie cech moralności socjalistycznej", ale jest to już ledwie cień dawnego ducha. Rok później pieczę nad miasteczkiem przejmie Huta Szczecin i wioska stanie się banalnym ośrodkiem kolonijnym dla dzieci górników i hutników. Miasteczko swą bujną karierę zakończy ostatecznie w 1973 r. Zamienione zostanie wówczas w ośrodek dla trudnej młodzieży.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Audycja Radia Szczecin z 10 lutego 2016 r. – ***„Kilka kart z historii Miasteczka Dziecięcego w Podgrodziu"*** *– reportaż Małgorzaty Furgi, Sowińska-Adamczyk B.,* ***„Podgrodzie. Miasteczko dziecięce"****, Żejmo B.,* ***„»Piękniej niż w bajce«. Obóz pionierski w Arteku w polskim reportażu lat 30–50. XX wieku".***

eprasa.pl f4f31c2ab4



Zanim powstało Tokio / Zapomniany gigant

Zaginiony świat Edo

Utagawa Hiroshige, „Most Nihonbashi o świcie" FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HIROSIGE.ORG.UK



Łukasz Czarnecki

Na przełomie wieków XVII i XVIII najludniejsze miasto ówczesnego świata wcale nie znajdowało się w obrębie cywilizacji zachodniej. Tym megalopolis było japońskie Edo, siedziba szogunów z rodu Tokugawa

W roku 1800 Londyn liczył sobie 850 tys. mieszkańców. W Europie nie było większej i szybciej rozwijającej się metropolii. Wydawać by się mogło, że to miasto jest cudem niemającym sobie równych. Gdyby jednak angielską stolicę zobaczył Japończyk, a zwłaszcza jeden z tzw. edokko, czyli „prawdziwych synów Edo", jak lubili nazywać się ci, których rodziny żyły w Edo od przynajmniej trzech pokoleń, prawdopodobnie wybuchnąłby śmiechem, rozbawiony aspiracjami londyńczyków. Jego miasto już w roku 1720 liczyło sobie ok. 1,3 mln mieszkańców. Co więcej, ten moloch będący też centrum administracyjnym szogunatu nie był wyjątkiem na mapie Japonii. W XVIII stuleciu w ośrodkach miejskich liczących ponad 100 tys. ludzi żyło 5 proc. Japończyków, podczas gdy w oświeceniowej Europie odsetek ten wynosił zaledwie 2 proc. Jeszcze bardziej imponująco wypadał Kraj Kwitnącej Wiśni, jeśli zsumowało się liczbę Japończyków żyjących w miastach o populacji większej niż 10 tys. mieszkańców – były one domem dla aż 10 proc. poddanych szoguna.

Powyższe dane mogłyby wpędzić w kompleksy każdego XVIII-wiecznego Europejczyka, jednak mało kto o tym wiedział. Japonia w XVII stuleciu prawie całkowicie odcięła się od reszty świata, a jedynymi przybyszami z Zachodu, którzy mieli okazję oglądać te wszystkie cuda, była garstka agentów Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, którym szogunat przyznał wyłączne prawo do handlowania ze swoją domeną. Holendrzy czerpali z tego wielkie zyski, dlatego godzili się na wiele upokorzeń, w tym na izolację na sztucznej wysepce Dejima u brzegów Nagasaki. Posiadali tam faktorię, której pod groźbą straszliwych konsekwencji zabroniono im opuszczać. Szansa na zobaczenie czegoś więcej przydarzała się Holendrom raz w roku (później co dwa lata), gdy kierownika faktorii wzywano do Edo w celu oddania hołdu szogunowi. Szefowi misji towarzyszyła mała świta z darami. Dwukrotnym uczestnikiem takiej delegacji był na początku XVIII w. niemiecki lekarz Engelbert Kaempfer, który tak opisał gęstość zaludnienia ziem, które przemierzał:

„Ten kraj jest niewyobrażalnie ludny […]. Wzdłuż dróg ciągną się niemal nieprzerwane szeregi miast i wsi: ledwie opuścisz jedną, już jesteś w następnej: i możesz tak podróżować przez wiele mil, nie wiedząc, że szereg ten składa się z wielu miejscowości".

Tokugawa Ieyasu

Edo wyrosło pod koniec XVI w. w miejscu dzisiejszego Tokio, nad zatoką o tej samej nazwie na wschodnim wybrzeżu równiny Kantō, na wyspie Honsiu. Jednak nic nie zapowiadało niezwykłej kariery, jaką zrobić miała ta

eprasa.pl f4f31c2ab4

lokalizacja. Wzdłuż linii brzegowej przycupnęły niewielkie skupiska rybackich chat, gnijących od wszechobecnej wilgoci unoszącej się znad licznych rzek zasilających wpadającą do morza wielką rzekę Sumidę, cieków i bagnisk. Czas płynął tu spokojnie, zgodnie z porami roku, a tubylcy niezbyt kłopotali się wielką polityką. I nagle wszystko się zmieniło.

U schyłku XVI w., po trwających ponad 100 lat krwawych wojnach domowych, Kraj Kwitnącej Wiśni został w końcu na powrót zjednoczony przez wojskowego dyktatora Toyotomi Hideyoshiego. Ten wywodzący się z chłopstwa, niesamowicie brzydki, a równocześnie przebiegły i nieustraszony wojownik, przyznawszy sobie dworski tytuł kampaku, tj. kanclerza, władał z wielkiej twierdzy w Osace. Za najpotężniejszego sojusznika miał Tokugawę Ieyasu – dajmio z prowincji Mikawa. Toyotomi średnio jednak ufał zausznikowi, zbyt dobrze pamiętając, że poprzedni pretendent do tytułu jedynowładcy – Oda Nobunaga – zginął w wyniku zdrady jednego ze swych najbliższych współpracowników. Dlatego dyktator uknuł podstępny plan. Gdy Tokugawa wspomógł go w wojnie przeciwko panującemu we wschodniej części równiny Kantō rodowi Hōjō, po zwycięstwie Toyotomi podarował mu na własność osiem prowincji odebranych nieprzyjacielowi. Był tylko jeden szkopuł – potężny dajmio w zamian musiał zrezygnować z władzy nad ojczystymi stronami.

Z punktu widzenia kampaku było to posunięcie wprost genialne – niebezpieczny sojusznik teoretycznie otrzymywał fantastyczną nagrodę, ale w praktyce tracił dotychczasową bazę swej potęgi i przenosił się na zapadłą bagnistą prowincję



Tokugawa Ieyasu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KANŌ TAN'YŪ

z dala pod politycznego centrum Japonii. Tokugawa był świadom podstępu, ale równocześnie dostrzegał w przeprowadzce na wschód ogromne możliwości. Poza tym aż za dobrze wiedział, że kampaku się nie odmawia, a ci, którzy próbowali, kończyli popełniając wymuszone seppuku. Obaj wodzowie przypieczętowali swój sojusz w przedziwny sposób. Stanąwszy rankiem na murach twierdzy Toyotomi w Osace, wspólnie oddali mocz na wschód – w kierunku nowych włości Tokugawy, kierując strumieniami w taki sposób, by się ze sobą połączyły.

Przez następną dekadę Tokugawa rozbudowywał swoją nową bazę. Na stolicę klanowych włości wybrał tereny położone nad zatoką Edo i właśnie w miejscu dawnych rybackich wiosek rozpoczął budowę miasta. Po śmierci Toyotomiego znalazł się wśród pięciu regentów mających administrować Krajem Kwitnącej Wiśni w imieniu małoletniego syna zmarłego dyktatora – Hideyoriego. Tokugawa zdradził jednak przysięgi złożone kampaku i 21 października 1600 r. w bitwie pod Sekigaharą rozniósł siły pozostałych regentów, przejmując pełnię władzy, czego formalnym potwierdzeniem było nadanie mu trzy lata później przez cesarza tytułu szoguna. Hideyori został odsunięty na boczny tor, a gdy w 1615 r. spróbował upomnieć się o swoje dziedzictwo, zginął wraz z całym swym rodem i ze wszystkimi wiernymi wasalami.



Bitwa pod Sekigaharą

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, THE CITY OF GIFU MUSEUM OF HISTORY

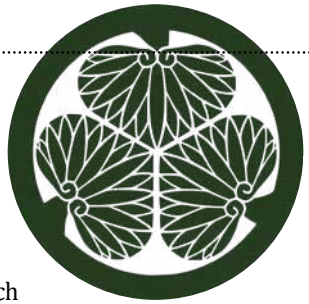
Miasto szogunów

Wyniesienie klanu Tokugawa zaowocowało dynamicznym rozwojem miasta Edo, które stało się centrum administracyjnym szogunatu. Oficjalna stolica znajdowała się w Kioto, ale wszyscy wiedzieli, że sznurki władzy zbiegają się we wciąż rosnącej metropolii u ujścia Sumidy. Namacalnym dowodem był fakt, że punkt zerowy, od którego liczono odległości w całej Japonii, znajdował się na wzniesionym w 1603 r. przez Tokugawę – na pamiątkę jego zwycięstw – moście Nihonbashi, łączącym dwa brzegi głównego kanału w Edo. Przez cały okres panowania szogunów z rodu Tokugawa, tj. do roku 1868, przeprawa ta stanowiła symboliczne centrum kraju. Po jednej stronie rozciągał się wielki dystrykt handlowy, z którego wyrosło dzisiejsze biznesowe centrum Tokio. Po drugiej stronie znajdowała się z kolei dzielnica rządowa, gdzie mieściła się mennica, wielki dzwon wybijał godziny, wedle których liczono czas w metropolii, a nad wszystkim górowała potężna twierdza rodu Tokugawa. Był to największy i najnowocześniejszy zamek w Japonii, zbudowany wielkim nakładem środków.

Tokugawa mógł budować z rozmachem, bo znaczną część kosztów pokrywał z cudzej kieszeni. W ramach manifestacji lojalności dajmio z całego kraju musieli dostarczać na plac budowy robotników i surowce potrzebne do wznoszenia oszałamiających swoją wysokością baszt i murów, których szczyt obsadzono sosnami. Gdy po latach ciężkiej pracy zamek Edo był już gotowy, nie miał sobie równych w całej Japonii.

Paradoksalnie nie posiadamy jednak zbyt wielu świadectw tego, jak

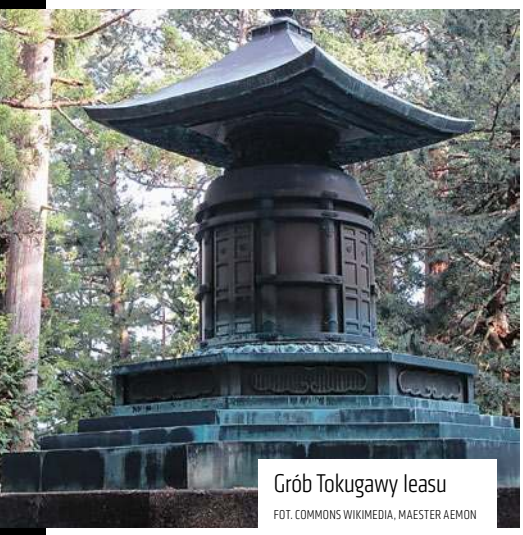
eprasa.pl f4f31c2ab4



Znak rodu Tokugawa
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HYAKURAKUTO

kompleks ten wyglądał. Badacze japońskiej historii polegać mogą tylko na kilku parawanach, na których dworscy malarze namalowali w połowie XVII w. panoramę metropolii z górującą nad nią fortecą. Wśród najważniejszych źródeł wizualnych dokumentujących życie miasta, tj. drzeworytów ukiyo-e, nie znajdziemy żadnego dokładnego wizerunku siedziby szoguna! Nawet na pracach przedstawiających most Nihonbashi, z którego zamek widoczny był w całej okazałości, artyści desperacko usiłowali ukryć go przed okiem widza, zasłaniając budowlę chmurami lub dokonując karkołomnych sztuczek z perspektywą.

Powód był prosty, choć nieintuicyjny. Surowe prawa szogunatu zabraniały zwykłym ludziom zbyt intensywnie patrzeć na przedstawicieli władz, a nawet na budynki rządowe! Pechowy mieszczanin, którego przyłapano na zbyt długim przyglądaniu się panoramie zamku, ryzykował ścięcie samurajskim mieczem za to, że śmiał „gapić się bez szacunku". Malarze, tworzący ukiyo-e, nie mogli więc na tyle szczegółowo przyjrzeć się twierdzy, by ją dobrze przedstawić, czego zresztą zabraniało im to samo prawo – w końcu drzeworyt kupić mógł każdy prostak i wpatrując się w niego, mógł uchybić powadze rządu! Miecz był jednak obosieczny, bo zignorowanie siedziby szoguna mogło z kolei sprowadzić na artystę oskarżenie o buntownicze myśli i skończyć się równie źle, co jej dokładne namalowanie. Z tego powodu twórcy wybierali salomonowy środek, umieszczając schematycznie nakreśloną twierdzę w najmniej widocznym miejscu drzeworytu. Natomiast malarze pracujący przy wspomnianych już parawanach nie musieli borykać się z takimi ograniczeniami, ponieważ tworzyli luksusowe produkty na zamówienie zaufanych dajmio szoguna.



Grób Tokugawy Ieasu
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MAESTER AEMON

Szczególnego charakteru nadawał Edo system „naprzemiennej służby" narzucony przez trzeciego szoguna – Tokugawę Iemitsu. Chcąc utrudnić władcom poszczególnych prowincji spiskowanie przeciw sobie, dyktator wprowadził prawo, w myśl którego dajmio musieli co drugi rok spędzać w stolicy szogunatu, a ich żony i dzieci miały przebywać tam na stałe. Zmusiło to lokalnych feudałów do niekończących się pochodów tam i z powrotem. Sam koszt takiej podróży, w której magnatowi towarzyszyła ogromna świta, był niebotyczny, a jeszcze większe wydatki generowało utrzymanie w Edo odpowiedniej rezydencji. System ten przyniósł jeszcze jeden długofalowy skutek – jako że synowie władyków rodzili się i wychowywali w metropolii odległej od ich prowincji, wyrastali na ludzi całkowicie nieznających dziedzin, którymi mieli w przyszłości władać. Co więcej, następca dajmio w swoim rodowym zamku pojawiał się po raz pierwszy dopiero po śmierci ojca, by objąć po nim urząd!

„Naprzemienna służba" stanowiła czynnik przyśpieszający dynamiczny rozwój Edo. W mieście każdorazowo przebywała połowa wszystkich magnatów wraz z tłumami służących im samurajów. Ludzie ci generowali ogromny rynek zbytu na wszelkie dobra, a ów nienasycony popyt sprzyjał rzemiosłu i handlowi. Równocześnie tak wielkie stłoczenie „możnych tego świata" dotykało mieszczan w mniej przyjemny sposób. Metropolia podzielona była na dwa obszary: dzielnicę rządową wraz z otaczającymi ją pałacami dajmio i domami samurajów, tzw. yamanote, i przeznaczony dla pospólstwa rejon shitamachi o ściśle wyznaczonych, nieprzekraczalnych granicach. Choć kupcy, rzemieślnicy i robotnicy stanowili większość mieszkańców Edo, to ściśnięto ich na terenie obejmującym zaledwie… 16 proc. powierzchni miejskiej! Aż 70 proc. przypadło szogunowi, dajmio i samurajom, a dalsze 14 proc. zajęły świątynie. Stolica szogunatu została pomyślana jako miasto przeznaczone przede wszystkim dla rządzącej japońskiej elity, natomiast mieszczanie stanowili tylko dodatek do owych założeń – przykry, lecz konieczny. Jednakże to właśnie edokko, czyli kupcy, rzemieślnicy, artyści i prosty lud, nadali Edo specyficzny koloryt.

Mieszczańskie życie

Z punktu widzenia filozofii neokonfucjańskiej, stanowiącej oficjalną ideologię reżimu Tokugawów, japońskie społeczeństwo dzieliło się na cztery klasy o malejącym stopniu dostojeństwa. Pierwszą stanowili rządzący krajem wojownicy, drugą produkujący żywność chłopi (którzy mimo chwalebnej teorii cierpieli okrutny wyzysk), trzecią rzemieślnicy, a czwartą, najmniej godną szacunku – kupcy, jako ci, którzy niczego nie wytwarzali, lecz żyli z pracy innych. Na samym dole drabiny społecznej znajdowali się aktorzy kabuki, prostytutki, a jeszcze niżej, zupełnie poza skalą, tzw. eta, czyli „nietykalni" zajmujący się dziedzicznie zawodami uznawanymi za nieczyste.

Mieszkańcy shitamachi tworzyli wielobarwną mieszaninę, w której skład wchodzili zarówno wielcy potentaci handlowi, pożyczający wiecznie potrzebującym gotówki dajmio olbrzymie sumy pod zastaw przyszłych zbiorów, jak i drobni uliczni sprzedawcy. Na wąskich ulicach tłoczyli się rzemieślnicy, wędrowni kuglarze, robotnicy dniówkowi, złodzieje i różnego rodzaju obiboki. Spotkać tu można było każdy typ ludzki, a płynność owej masy przyprawiała o ból głowy władze starające się usystematyzować społeczeństwo i zamknąć każdego Japończyka w dziedzicznej i niezmiennej kategorii.

Zasadniczo rząd nie wtrącał się w codzienne sprawy miasta, zostawiając administrowanie nim radzie najbogat-

eprasa.pl f4f31c2ab4



Panorama Edo, XVII w.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MARKU 1988

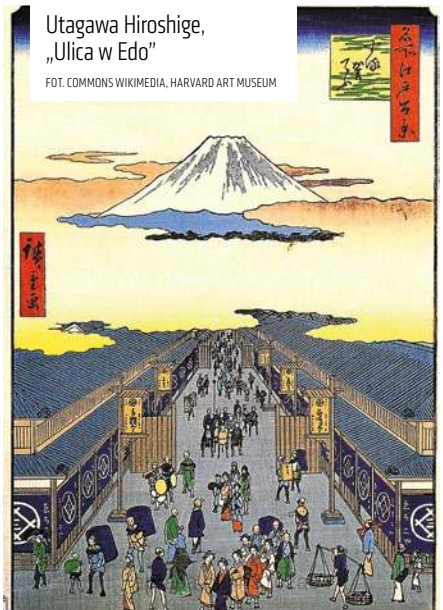
szych obywateli, do których obowiązków należało zapewnienie porządku i dbanie o przestrzeganie prawa. Równocześnie szogunat raz za razem starał się przypomnieć mieszczanom o ich podrzędnym miejscu w społeczeństwie, wydając kolejne ustawy uderzające w tę klasę. To, jak często trzeba było je ogłaszać, najlepiej pokazuje, że eddoko mieli je w głębokim poważaniu. I tak, gdy władze zabroniły mieszczanom noszenia jedwabnych i bogato zdobionych szat, mieszkańcy Edo posłusznie założyli bawełniane kimona, tyle że… podszyte jedwabiem, a do tego zaczęli nosić wzorzystą bieliznę. Jako że wysokość podatku naliczano od szerokości frontu domostwa, normą stało się budowanie domów niezwykle wąskich od strony ulicy, lecz ciągnących się wiele metrów w głąb. Najbogatsi stawiali w ten sposób całe rezydencje, w których znajdowało się nawet miejsce na wewnętrzne ogrody. Zakaz posiadania domu wyższego niż jedno piętro obchodzono, dobudowując antresolę. A kiedy cenzura nakazała wykreślić z listy tematów przedstawianych na drzeworytach aktorów teatru kabuki i kurtyzany, sprytni miejscy artyści zaczęli tworzyć wizerunki… antropomorficznych kotów grających na teatralnej scenie lub kocic przedstawionych w odzieniu i sytuacjach jednoznacznie wskazujących na profesję rozkosznicy.

Chwytaj dzień!

W środowisku mieszczańskim wykształciła się swoista hedonistyczna filozofia znana jako ukiyo, czyli „przepływający świat". Jako że nic nie trwa wiecznie, a przeznaczeniem każdego człowieka jest śmierć, popularność zdobyło przekonanie, że należy używać życia przy każdej okazji i gonić za wszelkimi jego rozkoszami. XVII-wieczny powieściopisarz Ihara Saikaku wprost pisał, że mężczyzna do 40. roku życia powinien zajmować się interesami, a następnie rozpocząć tarzanie się w rozpuście. Dla niego samego skończyło się to niewesoło, bo zmarł w wieku 49 lat.

O prawdziwy ból głowy przyprawiała szogunat dzielnica rozrywek Yoshiwara. Rządowi nie chodziło bynajmniej o samą kwitnącą prostytucję, lecz rozmach, z jakim trwoniono tam pieniądze, i zacieranie się na obszarze owego „świata na opak" (do którego wchodząc, mężczyźni owijali się kimonem na odwrót) granic między klasami społecznymi. Bo, o zgrozo, do tamtejszych domów publicznych chadzali nie tylko mieszczanie, lecz także samurajowie, a nawet buddyjscy mnisi! Ze względu na to, że przedstawicielom tych dwóch ostatnich grup nie wypadało pojawiać się w takiej okolicy, przy bramie Yoshiwary rozłożyli się ze swoim biznesem sprzedawcy wielkich słomianych kapeluszy, którymi można było zasłonić twarz.

Obok zwykłych domów uciech i salonów luksusowych kurtyzan, które niejednego klienta doprowadziły do ruiny, funkcjonowały tam również liczne herbaciarnie i teatry kabuki. Te ostatnie stanowiły ulubioną rozrywkę miejskiego ludu, a aktorzy byli prawdziwymi idolami i obiektami pożądania, których wizerunki widniały na masowo drukowanych drzeworytach ukiyo-e. Sława, którą cieszyli się gwiazdorzy, stała w oczywistej sprzeczności z ich oficjalnym statusem społecznym – na samym dole drabiny społecznej, obok żebraków i prostytutek.



Utagawa Hiroshige, „Ulica w Edo"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HARVARD ART MUSEUM

Szogunat Tokugawów przetrwał do roku 1868. Po obaleniu go i przywróceniu pełnej władzy (przynajmniej w teorii) cesarza stolicę Japonii oficjalnie przeniesiono do Edo, którego nazwę zmieniono na Tokio (Tōkyō, czyli dosłownie „Wschodnia Stolica"). Z zabudowy z czasów Tokugawów nie pozostało jednak prawie nic. Częste pożary (największy w 1657 r. kosztował życie 100 tys. ludzi i zniszczył dwie trzecie zabudowy, w tym zamek), agresywna modernizacja, trzęsienie ziemi z 1923 r. i w końcu alianckie bombardowania sprawiły, że większość zabytków zniknęła z powierzchni ziemi. Z twierdzy szogunów pozostała tylko podstawa jednej z wież, cudem ostał się dzwon, wedle którego uderzeń dawni mieszkańcy Edo liczyli czas. Współczesne Tokio jest jak Aleksandria, tam też na powierzchni nie pozostały prawie żadne namacalne ślady miasta Ptolemeuszów.

W przeciwieństwie jednak do dawnej stolicy Kleopatry nadal można zobaczyć Edo takie, jakim było w czasach szogunów. Po płodnych twórcach ukiyo-e pozostały dziesiątki tysięcy prac przedstawiających miasto i jego mieszkańców. Oglądać je można w muzeach, reprodukowane są w albumach lub wręcz samemu można zacząć je zbierać (dostępne są na rynku antykwarycznym, a ich ceny w porównaniu z europejskim malarstwem często są przystępne). Jesteśmy w stanie nawet usłyszeć, o czym rozmawiali dawni mieszczanie, i z bliska przyjrzeć się ich życiu, czytając książki ówczesnych pisarzy, takich jak Ihara Saikaku. Największe miasto XVIII-wiecznego świata jako byt materialny znikło z powierzchni Ziemi, ale jego duch wciąż pozostaje żywy i niewiele trzeba, by go przywołać. Nawiasem mówiąc, tradycja zobowiązuje i dzisiejsza stolica Japonii zbudowana na gruzach Edo wciąż jest największym miastem świata – żyje w nim niemal tyle ludzi, co w całej Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Dwudziestolecie międzywojenne / Likwidacja elit na „dalszych Kresach”

Zagłada polskich ziemian w ZSRS



Demonstracja domagająca się likwidacji chłopów kułaków jako klasy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Mikołaj Iwanow

Część polskich posiadaczy ziemskich żyjących w Rosji bolszewickiej łudziła się, że komuniści zostawią ich w spokoju. Ta naiwność miała swoje tragiczne konsekwencje

Rewolucja bolszewicka wydała wyrok śmierci praktycznie na wszystkich tzw. wyzyskiwaczy. Hasło „grab nagrabione” przez wielu zwolenników nowego ustroju było odbierane jako zachęta do rozprawienia się z ziemiaństwem, które w zdecydowanej większości było nastawione wrogo wobec nowej władzy. Ziemianie jako klasa społeczna zostali przez bolszewików zaliczeni do największych wrogów nowego ustroju, których niewątpliwie będzie czekało totalne wyniszczenie. Tragiczny los spotkał w związku z tym stosunkowo liczną polską szlachtę (jak wciąż sami siebie określali ci ludzie), żyjącą na terenach przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, która z rozmaitych przyczyn nie mogła, nie zdołała lub w naiwności swojej nie chciała przeprowadzić się do odrodzonej ojczyzny.

Traktat ryski przyczynił się do ukształtowania na dalszych Kresach szeroko rozpowszechnionego przekonania, że na tych terenach rozbiory Polski jeszcze się nie zakończyły, że potrzebny jest dodatkowy wysiłek w celu przywrócenia sprawiedliwości historycznej. Jedną z najważniejszych przyczyn pozostawania tamtejszych Polaków na swych włościach była naiwna wiara, że już wkrótce Polska ich wyzwoli. Zapyta ktoś: Jak to możliwe, że Lenin od razu nie wyrzucił takich ludzi z ich majątków? Mimo że już w 1917 r. bolszewicy znacjonalizowali ziemię w Rosji, to jednak dekretu tego nie udało się tak szybko wprowadzić w życie i aż do połowy lat 20. wielu posiadaczy ziemskich mogło gospodarować przynajmniej na części swoich dawnych włości.

„Katolik = Polak”

Ziemiaństwo polskie pozostałe na Kresach po zakończeniu masowych ruchów przesiedleńczych i repatriacyjnych do odrodzonej Rzeczypospolitej nie składało się wyłącznie z ludzi będących genetycznymi Polakami. Spora część ziemian katolików miała pochodzenie ukraińskie lub białoruskie. Ludzie ci w rozmaitych okresach przyjęli katolicyzm i także dlatego ostatecznie w ten sposób ulegli polonizacji. Ci polscy „neofici” w godzinie próby przejawiali zadziwiającą odporność na wszelkie próby podważenia ich tożsamości. Nie powiodły się, poza nielicznymi wyjątkami, próby upowszechnienia tezy o białoruskiej lub ukraińskiej przynależności narodowej szlachty katolickiej. Stereotyp „katolik = Polak” pozostał właściwie nienaruszony. Kryterium wyznaniowe w określaniu

eprasa.pl f4f31c2ab4


№ 209. Суббота. 29 октября 1917 г.

ЦѢНА: въ Петроградѣ 15 коп. на ст. жел. д. 13 коп.

ИЗВѢСТІЯ
Центральнаго Исполнительнаго Комитета
и Петроградскаго совѣта
РАБОЧИХЪ и СОЛДАТСКИХЪ ДЕПУТАТОВЪ.

...ближайшихъ дней Второго Всероссійскаго Съѣзда ...татовъ, крестьянъ-делегатовъ пріѣзжающихъ на ... Совѣтовъ Рабочихъ и Солдатскихъ Депутатовъ ...

просятъ остаться для участія въ работахъ этого съѣзда.

ДЕКРЕТЪ О ЗЕМЛѢ

Publikacja dekretu o ziemi w gazecie „Izwiestia", 1917 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

przynależności narodowej działało na „dalszych Kresach" o wiele silniej niż jakiekolwiek inne: językowe, kulturowe, społeczne, a nawet ekonomiczne.

Realia wojny domowej, gdy bolszewicy mordowali posiadaczy ziemskich wszystkich narodowości, powinny były jeszcze bardziej przekonać polskich ziemian, że pod władzą bolszewicką nie mają żadnej przyszłości. A jednak tak się nie stało.

Prześladowanie tzw. obszarników trwało w Rosji sowieckiej i w ZSRS nieprzerwanie od rewolucji bolszewickiej, jednak w latach 1925–1927 te represje przyspieszyły za sprawą konsekwentnej polityki państwowej. I to wtedy ostatecznie doszło do wysiedlenia tych nielicznych ziemian, którzy dotąd mogli przebywać w swoich majątkach, a także do całkowitej konfiskaty ich ziemi. A był to przecież okres tzw. NEP (Nowej Polityki Ekonomicznej), kiedy wielu niezależnych obserwatorów spodziewało się, że system sowiecki będzie ewoluował w stronę demokratyczną...

Był to również czas tzw. leninowskiej polityki narodowościowej, w której ramach polscy komuniści w Związku Sowieckim otrzymali możliwość stworzenia na „dalszych Kresach" polskiej autonomii socjalistycznej. Miał to być eksperyment, w którego ramach dążono do powołania swego rodzaju „zarodka" przyszłej Polskiej Republiki Rad.

Władza potrzebowała ziemi dla swych komunistycznych eksperymentów, na razie jeszcze na niewielką skalę, ale szybko miało się to zmienić. W odezwie I Zjazdu Chłopów-Polaków Białorusi (z marca 1926 r.) pt. „Do chłopów i chłopek Polski" czytamy na ten temat: „Musimy w tym miejscu obalić niecne kłamstwo burżuazji o wysiedlaniu Polaków z Białorusi. Władza sowiecka wysiedlała rzeczywiście z dawnych majątków obszarników, ale nie Polaków, a obszarników bez względu na ich narodowość. Przytoczymy cyfry: wysiedlono obszarników narodowości rosyjskiej – 94, polskiej – 58, łotewskiej – 10, białoruskiej – 10. Oto wymowne cyfry. Wysiedlano obszarników tylko na żądanie ludności. Oto prawda. Nie ma mowy o żadnym ucisku narodowościowym".

Jak widzimy, wśród wysiedlonych dominują Rosjanie, jednak biorąc pod uwagę procentowy udział ludności polskiej w Białoruskiej SRS, nasilenie represji wobec ziemiaństwa polskiego było najwyższe. Tym bardziej że wbrew przekazowi tej odezwy prawda wyglądała nieco inaczej. Do kategorii „elementów klasowo wrogich" niemal automatycznie zaliczano tych wszystkich Polaków, którzy bez względu na swą pozycję społeczną w ten czy inny sposób wykazywali chęć podtrzymywania więzi duchowej z odrodzoną ojczyzną. Prześladowanie tych przejawów polskości kresowej trwało niemal nieprzerwanie przez cały okres międzywojenny.

Powstanie władzy sowieckiej, programowo proletariackiej, wywołało ze zrozumiałych powodów zaostrzenie konfliktów klasowych na wsi, szczególnie między chłopami a szlachtą. Polacy z prowincji aktywnie włączali się w przeprowadzanie sowieckich eksperymentów socjalno-politycznych, traktując je jako osłonę przeciwko ewentualnym represjom. Inni upatrywali w swojej polskości antytezę systemu sowieckiego. Pokazuje to, jak płynne i nie zawsze do końca określone były postawy narodowościowe na Kresach oraz jak ostrożnie należy się odnosić do statystyk sowieckich i wynikającego z nich obrazu struktury narodowościowej ludności tamtych ziem.

Antypolskie fale

Proces niszczenia ziemiaństwa polskiego na terenie Związku Sowieckiego można umownie podzielić na kilka etapów:

– lata 1925–1927 – okres wysiedleń i konfiskaty ziemi w celu przeprowadzenia bolszewickich eksperymentów. Zlikwidowano wówczas ziemiaństwo jako klasę społeczną;

– lata 1928–1936 – czas prowadzenia tzw. sowieckiego eksperymentu polskiego, gdy założono liczne instytucje polskiej autonomii narodowościowej. W tych warunkach represje wobec polskich elit początkowo nieco zelżały, ale jednocześnie wkrótce nasiliły się w związku z przeprowadzeniem powszechnej kolektywizacji;

– lata 1937–1939 – okres masowych wysiedleń ludności polskiej i ludobójstwa dokonywanego na tej grupie etnicznej w czasie przeprowadzania tzw. operacji polskiej. Zabito wtedy także ostatnich przedstawicieli polskiej szlachty kresowej.



Plakat propagandowy z czasu „rozkułaczania"
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Dekret Centralnego Komitetu Wykonawczego i Rady Komisarzy Ludowych z 12 marca 1925 r. pt. „O wysiedleniu byłych posiadaczy ziemskich, mieszkających w należących do nich gospodarstwach, na podstawie dekretu o ziemi z 26 października 1917 roku" przewidywał de facto ostateczną likwidację ziemian Polaków jako klasy społecznej na „dalszych Kresach". „Przez pojęcie »ziemianin« – pisano w tym dekrecie – należy rozumieć, że jest to duży posiadacz ziemi, niezależnie od warstwy

eprasa.pl f4f31c2ab4

społecznej i bliskiej rodziny, jeśli żył, uzyskując dochód bez pracy, wykorzystując pracę najemną [...]".

Według wspomnianego dekretu byłych posiadaczy ziemskich podzielono na trzy kategorie.

Pierwszą z nich byli ziemianie prowadzący gospodarstwa lub mieszkający w swoich dawnych majątkach w okręgach leżących w strefie przygranicznej lub pośrednio stykających się z nią, a także wszyscy byli właściciele ziemscy, których bliscy mieszkali za granicą lub uczestniczyli w walce z władzą sowiecką, w oddziałach białych armii, lub zajmowali ważne urzędy w starym reżimie.

Druga to byli ziemianie, posiadacze ziemscy, prowadzący gospodarstwa w swoich byłych majątkach, pozostających w ich użytkowaniu, a także byli ziemianie, mieszkający w majątkach, dworach, muzeach, które objęte zostały ochroną Urzędu Ludowego Komisariatu Oświaty lub Ludowego Komisariatu Rolnictwa.

Do trzeciej należeli wszyscy pozostali byli ziemianie, właściciele ziemscy, prowadzący gospodarstwa w swoich byłych majątkach, na zasadzie jednoosobowej pracy gospodarstwa indywidualnego lub w składzie spółdzielni i komuny, jako jej kierownicy lub naczelnicy.



Proletarjusze wszystkich krajów, łączcie się!

ORKA

TYGODNIK WŁOŚCIAŃSKI — ORGAN C·K·K·P·(b)B

Nr. 16 Rok 1 | 11 lipca 1926 r.

6-sta rocznica wyzwolenia Białorusi od białopolskiej okupacji.

Bolszewicka gazeta przeznaczona dla polskiej ludności wiejskiej

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Likwidację ziemian jako klasy planowano przeprowadzić w ciągu jednego roku. Jednak operacja ta przeciągnęła się do 1927 r. Było to związane głównie z kwestią jak najlepszego zagospodarowania majątku wysiedlanych i represjonowanych posiadaczy ziemskich. Inna sprawa, że liczni ziemianie aktywnie protestowali przeciwko bezprawiu, pisali skargi do administracji państwowej i organów partyjnych. Niektórzy – jak informowała sowiecka prasa – starali się zmienić swoje personalia, załatwiać fałszywe dokumenty o pochodzeniu chłopskim, namawiali sąsiadów chłopów, aby protestowali przeciwko ich wysiedlaniu.

W związku z napływem skarg przy lokalnych komitetach wykonawczych utworzono specjalne komisje zajmujące się sprawami wysiedlania byłych posiadaczy ziemskich. Zorganizowano również Centralną Komisję do spraw Wysiedleń, która w latach 1925–1927 rozpatrzyła 2,7 tys. spraw.



Demonstracja pod hasłem: „Zlikwidujmy kułaków jako klasę"

FOT. DOMENA PUBLICZNA

„Wędrówka" w nieznane...

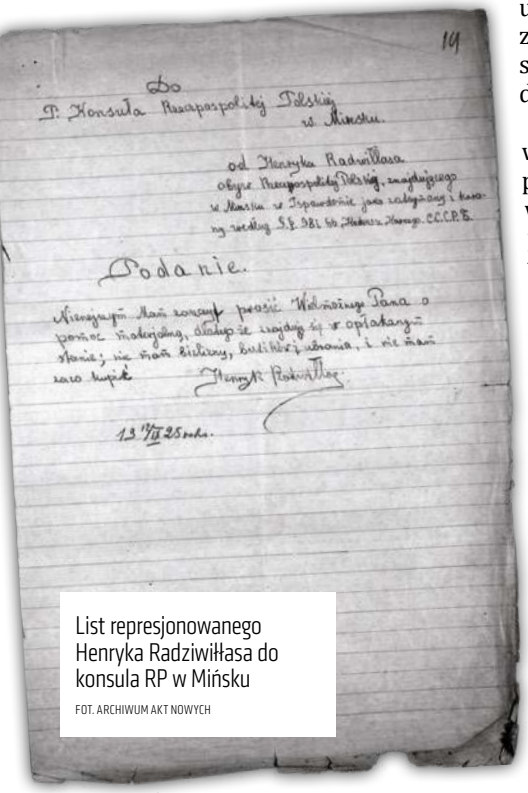
Wysiedlanie ziemian pierwszej kategorii przebiegało w szybkim tempie i praktycznie zostało zakończone w 1925 r. Natomiast w przypadku dwóch kolejnych kategorii pojawiły się problemy natury politycznej. Był to początkowy etap istnienia polskiej (sowieckiej) autonomii i polityczna waga polskich komunistów w Związku Sowieckim cały czas wzrastała. Potrzebowali oni do swojego autonomicznego eksperymentu coraz więcej Polaków. Dlatego ich głos w sprawie wysiedleń był dobrze słyszalny. W maju 1925 r. szefowie Biura Polskiego KC KP(b) Białorusi – Stefan Heltman i Stefania Przedziecka – złożyli w centrali białoruskiej partii protest w sprawie ziemian. Skarżyli się, że komisja do spraw wysiedleń przyjęła zbyt ostry kurs na prześladowanie Polaków. W rezultacie ich interwencji pojawiła się

eprasa.pl f4f31c2ab4

dyrektywa KC KP(b) Białorusi o ostrożniejszym podejściu do ziemian. Dlatego „obszarników" drugiej i trzeciej kategorii komisja traktowała stosunkowo łagodnie, dając im dłuższy czas na przygotowania do „wędrówki" w nieznane...

Za sprawą masowych wysiedleń polskich właścicieli ziemskich (lata 1925–1927) niektórym ofiarom tej polityki udało się później przeżyć okres największych i najostrzejszych represji antypolskich, czyli wielkiego terroru (lata 1937–1938). Działo się tak dlatego, że ziemianie, zakwalifikowani jako najgorsi wrogowie ustroju, żyjący w ciągłym zagrożeniu, byli lepiej przygotowani do kolejnych represji niż inne grupy polskiej społeczności. Niektórym udało się ukryć swój status społeczny i polskość, inni wyjechali jako osiedleńcy ochotnicy do tak dalekich zakątków tego ogromnego kraju, że karząca ręka NKWD nie była w stanie ich dosięgnąć.

A czy władze II Rzeczypospolitej cokolwiek wiedziały na temat losu polskich ziemian zza wschodniej granicy? Z pewnością wiedziały, ale nie były w stanie niczego zrobić, aby im pomoc. Świadczą o tym liczne raporty dyplomatów polskich.



List represjonowanego Henryka Radziwiłłasa do konsula RP w Mińsku

FOT. ARCHIWUM AKT NOWYCH



Wypędzani kułacy

FOT. WIKIPEDIA

Z biegiem czasu polityka Warszawy coraz bardziej mogła niepokoić ludzi, którzy bili w tej sprawie na alarm. W drugiej połowie lat 20. i na początku lat 30., wraz ze stabilizowaniem się sytuacji politycznej w Europie, a także w miarę coraz powszechniejszego uznawania ZSRS przez mocarstwa zachodnie, polska polityka wschodnia stała się wręcz tolerancyjna wobec działań Związku Sowieckiego.

Brak reakcji władz w Warszawie w kwestii losu największego w Europie skupiska polonijnego doprowadził w końcu do głośnych protestów prasy polskiej. Przykładowo wileńskie „Słowo" pisało w 1928 r.: „Granica wytyczona przez Traktat Ryski nie zadowala tych ambicji, które pielęgnowaliśmy w czasie niewoli. Wszak nasza przeszłość sięgała daleko poza linię obecnej granicy. Poza tą linią są kościoły i krzyże przydrożne, pałace magnatów polskich i zagrody ludu polskiego. Niejeden Polak dziś tęskni do zagonu rodzinnego, na którym panoszą się kołchozy. Wszyscy odczuwamy stratę naszych dalszych Kresów".

„Odkułaczanie"

Szczególny etap prześladowania ziemiaństwa polskiego na Kresach Północno-Wschodnich byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów związany był z kolektywizacją i tzw. odkułaczaniem (represjami wobec zamożniejszych chłopów). Ci nieliczni ziemianie, którzy uniknęli deportacji w latach 1925–1927, w okresie kolektywizacji byli karani jako tzw. kułacy. W rzeczywistości byli to po prostu biedniejsi przedstawiciele szlachty polskiej. O rozmiarach akcji „odkułaczania" Polaków świadczą liczby. O ile wśród Białorusinów do kategorii kułaków zaliczono ok. 5 proc. gospodarstw rolnych, o tyle wśród Polaków odsetek ten osiągnął poziom 24 proc.

Ostatni etap niszczenia kresowego ziemiaństwa polskiego związany był z przeprowadzeniem tzw. operacji polskiej (lata 1937–1938). Ta antypolska polityka represji przekształciła się w totalne polowanie na Polaków, czego efektem było wymordowanie ok. 200 tys. przedstawicieli narodu polskiego zamieszkujących ZSRS.

Represyjne działania caratu i terror stalinowski doprowadziły do powstania na dalszych Kresach zupełnie nowej sytuacji narodowościowej – do przekształcenia ogromnej części tak licznych niegdyś Polaków Kresowiaków w kategorię wyłącznie historyczną.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4f31c2ab4



Wywiad / Z Jackiem Komudą, pisarzem, historykiem, autorem książki „Upadek”

rozmowia Piotr Włoczyk

Kazimierz Wojniakowski „Uchwalenie Konstytucji 3 maja”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Była szansa na ratunek

– Aż do samego końca istnienia I Rzeczypospolitej dało się odwrócić upadek i uratować państwo. Tyle że od pewnego momentu wymagało to bardzo dużej daniny krwi i zastosowania niekonwencjonalnych rozwiązań politycznych – mówi pisarz

PIOTR WŁOCZYK: Kiedy pojawił się pierwszy sygnał alarmowy, że Rzeczpospolita zmierza w kierunku śmiertelnie groźnego kryzysu?

JACEK KOMUDA: Jest taka graniczna data – rok 1652 – kiedy Rzeczpospolita poniosła krwawą klęskę pod Batohem, gdzie nasza armia została rozbita i wymordowana przez Kozaków i Tatarów. Był to w pewnym sensie efekt „kuli śnieżnej” powstałej po tym, jak sejm w marcu rozszedł się bez uchwał. Nie podejmując niezbędnych dla prawidłowego funkcjonowania państwa decyzji politycznych, nie uchwalił budżetu dla wojska i nie zatwierdził ugody białocerkiewskiej z Kozakami. Był to właśnie ten niesławny sejm, do którego przedłużenia nie dopuścił Władysław Siciński.

Okropna klęska pod Batohem pokazała sąsiadom, że Rzeczpospolita jest słaba i bezbronna; to już nie jest to samo państwo, które zdobywało Moskwę, biło Szwedów pod Kircholmem i Turków pod Chocimiem. Dlatego przeklęty niech będzie Siciński, leżąc w grobie, przeklęty gnijąc, przeklęty rozkładając się, przeklęty na tamtym świecie, w czyśćcu albo w piekle. Przeklęty niestety razem z nim niechaj będzie Andrzej Maksymilian Fredro, marszałek sejmu, który do tego precedensu dopuścił. Nawiasem mówiąc, prawie mój sąsiad i człowiek, którego spuściznę pisarską podziwiam do dziś.

Podkreśla pan w książce, że Jan Kazimierz zachował się fatalnie po tym, jak pierwszy raz w naszej historii użyte zostało liberum veto. Ale co konkretnie król miałby zrobić z Władysławem Sicińskim, posłem, który najzwyczajniej w świecie skorzystał z przysługującego mu prawa i zerwał sejm?

Powinien go zniszczyć, tak aby posłowie bali się zrywać kolejne sejmy; aby czuli większy strach przed gniewem króla niż przed swoimi wyborcami na sejmikach i swoimi patronami – magnatami. „Mości panie Siciński – krew bohaterów spod Batohu woła do ciebie o zemstę! Tyś sprawił, że kości tak wielu godnych kawalerów, tak wielu mężów sławnych, tak wielu dzieci rycerskich Rzeczypospolitej, niepogrzebione leżą szarpane przez wilki i dzikiego zwierza” – oto jak bym przemawiał do Sicińskiego na Sejmie Nadzwyczajnym w lecie 1652 r., gdybym był posłem mojej ziemi sanockiej albo województwa ruskiego.

Liberum veto bardzo często wymieniane jest jako jedna z głównym przyczyn kryzysu państwa.

eprasa.pl f4f31c2ab4



Rzeź polskich jeńców pod Batohem, 1652 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM PAŁACU W WILANOWIE

Czy jednak ten mechanizm odpowiadał za całe zło czy może jednak problem był dużo głębszy i dotyczył tego, jak zaprojektowana była machina państwowa Rzeczypospolitej?

Samo w sobie liberum veto nie byłoby może jeszcze nieszczęściem. Dużo większym problemem był rozrośnięty i wyrośnięty ponad siły sejm, który zajmował się dosłownie wszystkim, co wymagało regulacji w państwie. A więc polityką zagraniczną i skarbową, wszystkimi możliwymi decyzjami, które powinien podjąć inny organ władzy – dziś np. są to rząd i prezydent. Dlatego zerwanie obrad sejmu lub tylko rozejście się bez uchwał powodowało paraliż państwa i inne katastrofalne skutki.

Czy w tamtych warunkach dało się coś z tym zrobić?

Wyjścia były dwa. Albo pomniejszyć rolę sejmu na korzyść króla i jego aparatu administracyjnego, co stało się np. we Francji, albo odwrotnie – skoro sejm miał wielką władzę – zreformować go, aby stał się efektywnie działającym narzędziem jej sprawowania. Należało to zrobić, ale znacznie wcześniej, 100 lat przed Sejmem Wielkim, a nie – co próbował August II Sas – bawić się w narzucanie nam jakiejś formy absolutyzmu, która nie miała żadnych szans w państwie z milionem wolnych obywateli.

Gdzie widzi pan moment, gdy już nie dało się cofnąć upadku państwa, gdy było już za późno na ratunek?

Jestem zdania, że zawsze, aż do samego końca istnienia I Rzeczypospolitej, dało się odwrócić upadek i uratować państwo. Tyle że od pewnego momentu wymagało to bardzo dużej daniny krwi i zastosowania niekonwencjonalnych rozwiązań politycznych, wykraczających poza sposób myślenia ówczesnych elit. Ale z drugiej strony... dlaczego tych rozwiązań mieliśmy nie wymyślić? Jak choćby ogólnonarodowe powstanie i wojna partyzancka w stylu amerykańskim w obronie Konstytucji 3 maja?

Na pewno jednak możemy wskazać moment, gdy sytuacja ludzi chcących ratować Rzeczpospolitą stała się już skrajnie trudna.

Tak, moim zdaniem w naszej historii widać punkt zwrotny, po którego przejściu wyciągnięcie Rzeczypospolitej z kryzysu, a przede wszystkim z uzależnienia od sąsiadów stało się bardzo trudne, gdyż większość decyzji politycznych podejmowanych na sejmach zaczęła zależeć od obcych dworów. Jest to rok 1733, elekcja Stanisława Leszczyńskiego, kiedy Moskwa, Sasi i Austria nie pozwolili Polakom i Litwinom na wybranie takiego króla, jakiego chcieli.

Stopniowy upadek Rzeczypospolitej trwał ponad 100 lat. Ile krytycznych momentów przespały wówczas nasze elity?

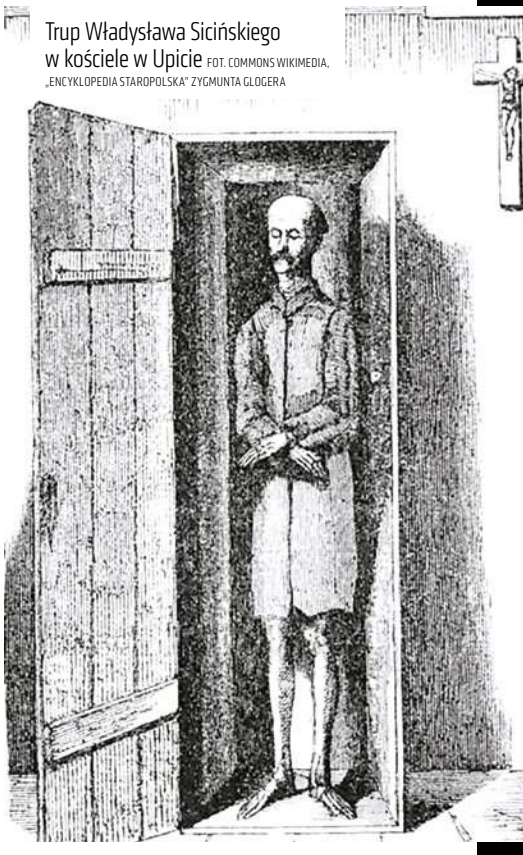
Najbardziej krytyczne z nich były początek XVIII w. i wielka wojna północna, w którą beznadziejnie wpakował nas August II Sas, zamiast czekać na to, kto będzie zwycięzcą, i dołączyć na sam koniec do wygrywającej strony, aby ugrać jak najwięcej dla kraju. Ale takich momentów było więcej. Choćby wojny o Śląsk w latach 40. tamtego stulecia, kiedy Austria i Prusy były tak wyczerpane, że same dałyby łapówki na uchwalenie aukcji wojska w Rzeczypospolitej, byleby tylko dołączyła ona do którejś ze stron konfliktu i przeważyła szalę. W trakcie obrad sejmu w 1746 r., kiedy to uchwalono powiększenie wojska do 60 tys., uchwała była już spisana i w zasadzie czekała na podpis, ale zgromadzenie skończyło się jednak bez przyjęcia tych rozwiązań z powodu zwykłego warcholstwa posłów. Można by się spodziewać, że gdyby marszałkiem nie był słaby i chwiejny Antoni Lubomirski, ale ktoś o wiele twardszy, los Rzeczypospolitej mógłby się odmienić.



JACEK KOMUDA
„UPADEK. JAK STRACILIŚMY PIERWSZĄ RZECZPOSPOLITĄ”
FABRYKA SŁÓW

Każdy kryzys ma swoje strukturalne przyczyny. Co było absolutnie fundamentalną przyczyną końca Rzeczypospolitej Obojga Narodów?

Bezustanne próby reformowania jej na sposób europejskich monarchii absolutystycznych z silnymi rządami i brutalnym aparatem biurokratycznej represji państwowej; zamiast uzdrawiania systemu parlamentarnego i przekształcania Polski w nowoczesną republikę jak Stany Zjednoczone w trakcie wojny o niepodległość. Takie reformy oczywiście wpro-



Trup Władysława Sicińskiego w kościele w Upicie FOT. COMMONS WIKIMEDIA, „ENCYKLOPEDIA STAROPOLSKA” ZYGMUNTA GLOGERA

eprasa.pl f4f31c2ab4

wadzono, ale pod koniec XVIII w., czyli za późno. Zanim Rzeczpospolita zdołała skorzystać z ustaw Sejmu Wielkiego, odzyskać siłę i znaczenie, aby odeprzeć atak Moskwy, stała się łupem sąsiadów.

Czym tłumaczyć fakt, że elity Rzeczypospolitej tak bardzo straciły instynkt propaństwowy?

To jest pytanie do psychologa albo psychiatry społecznego. A dlaczego mamy dzisiaj polityków, którzy bezkrytycznie wierzą, że powodzenie Polski i ich własne zależy tylko od wsparcia obcych podmiotów politycznych – zdominowanej przez Niemcy Unii Europejskiej albo Stanów Zjednoczonych? A nie od bogactwa i znaczenia samych Polaków? Taki sam mechanizm – oderwania elit od społeczeństwa – widoczny był już w XVII w.

Oczywiście elity to magnateria, natomiast społeczeństwem była szlachta.

Tak. Magnateria gardziła szlachtą i zapatrzona była w miraże wyższej rzekomo kultury Zachodu. A kiedy usiłowała zachodnimi metodami podporządkować sobie szlacheckie społeczeństwo – tak było za panowania króla Jana Kazimierza – okazywały się one mało skuteczne. Wówczas pojawiały się pogarda i niechęć – wieki temu do szlachty, a dziś do narodu polskiego. I zamierzenie, żeby wprowadzić zmiany wbrew niej, bo przecież to my jesteśmy mądrymi i „jaśnie oświeconymi", a nie jakieś tam Paski, Poczobuty, Szczuki i Chrapowickie!

Kiedy za Sobieskiego osłabły władza i znaczenie króla, część magnatów postanowiła udawać obrońców wolności szlacheckich, aby w ten sposób kontrolować masy. Okazało się, że system ten daje im ogromną władzę, o ile państwo jest słabe i niezreformowane. Anarchia i bezwład panujące w Rzeczypospolitej dały im możliwość osiągnięcia dużej władzy we własnych dobrach; przekształcenia je w na wpół suwerenne księstewka.

Zarówno 400 lat temu, jak i dziś ogromny negatywny wpływ na dzieje Polski miało coś, co nazywam „chorobą władzy", która zresztą jest syndromem niszczącym ludzkość od powstania pierwszych praw rządzących wspólnotami homo sapiens. Polega ona w skrócie na tym, że im bardziej słaby i nikczemny człowiek zasmakuje, choć przez chwilę, pełni władzy, tym trudniej mu się z nią rozstać. I jeśli ją traci, to gotów jest do najbardziej szaleńczych i nikczemnych czynów, aby ją utrzymać albo odzyskać i udowodnić maluczkim, że to on miał rację. Choćby z poparciem Katarzyny Wielkiej czy Brukseli albo ambasadora USA. Choćby zawiązać miał targowicę albo rozerwać Rzeczpospolitą na kawałki!



Bitwa pod Pułtuskiem, 1703 r., podczas wielkiej wojny północnej

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Jaką rolę w upadku naszego państwa odgrywał fakt, że system polityczny Rzeczypospolitej, na czele z wolną elekcją i Sejmem, był tak inny od naszych sąsiadów? Czy nie dochodziła tu po prostu chęć zniszczenia państwa, które było na drugim biegunie od absolutyzmu?

Jeszcze w wiekach XV i XVI system polityczny Rzeczypospolitej nie różnił się tak bardzo od sąsiednich krajów, które miały własne parlamenty i przywileje stanu szlacheckiego czy mieszczańskiego. Kłopot w tym, że już 100 lat później wszędzie zwyciężał scentralizowany styl sprawowania władzy, którego najlepszym przykładem była monarchia francuska Ludwika XIV. Tymczasem w Rzeczypospolitej, zamieszkałej przez ponad milion szlachty, wprowadzenie takich rządów było po prostu niemożliwe.

Jedno jest pewne i wspominam o tym obszerniej w kolejnej książce, nad którą pracuję – o rozbiorach. Nasi sąsiedzi pod koniec XVIII w. bali się zreformowanej Rzeczypospolitej i obawiali się w związku z tym buntu własnych społeczeństw, widzących swobody panujące za granicą.

A może po prostu przekleństwem Rzeczypospolitej było jej położenie geograficzne i w czasie, gdy nasi sąsiedzi urośli w siłę, szczególnie Rosja, i patrzyli na nasze ziemie łakomym wzrokiem, żadne reformy nie były już nas w stanie uratować?

Tego też nie można lekceważyć. Należy jednak pamiętać, że nasza nieudolność w kreowaniu polityki zagranicznej była współwinna temu, że pod koniec XVII w. nastąpiła zmiana układu sił w Europie Wschodniej; zmiana bardzo niekorzystna dla Rzeczypospolitej. Zamiast potężnej

eprasa.pl f4f31c2ab4



Szwecji i Turcji w siłę urosły Moskwa i Prusy. Silne państwo powinno samo kształtować układ polityczny wokół swoich granic. Próba Augusta II, który starał się rozmontować Szwecję, była ostatnim tego przykładem.

Husaria przez setki lat stanowiła o potędze Rzeczypospolitej. Dlaczego więc w końcu ta wspaniała machina wojenna przestała być skutecznym młotem na wrogów państwa polsko-litewskiego?

Stan i siła husarii były najlepszym probierzem siły i znaczenia Rzeczypospolitej. Gdy ta elitarna jazda szlachecka zaczynała upadać, było to świadectwo głębokiego kryzysu państwa. A przyczyny jej klęski na początku XVIII w. są proste – ciągły niedowład skarbowy i niewypłacanie na czas żołdu powodowały, że do husarii nie szli służyć zawodowi żołnierze, spragnieni łupów, pieniędzy i sławy, ale karierowicze i dworacy. Zamiast dawać przykłady męstwa w bitwach, woleli pokazywać się na paradach i pogrzebach, gdzie łatwo mogli zwrócić uwagę króla czy magnatów. Wobec problemów z utrzymaniem chorągwi rotmistrzami nie zostawali już fachowcy wychowani na polu walki, ale właściciele fortun, gdyż tylko wysokie dochody dawały możliwość utrzymania oddziałów. A wielki pan nie szukał szczęścia na wojnie. Jemu chorągiew potrzebna była do asysty na sejmiku czy sejmie, na paradę i do pogrzebu. A nie do szarżowania na polu bitwy.

Mało który król budzi tak zażarte dyskusje wśród historyków jak Stanisław August Poniatowski. Jak patrzy pan na jego rządy pod kątem ostatecznej śmierci Rzeczypospolitej?

Mało który król wzniósł się tak wysoko na swoich własnych projektach – konstytucji, uchwałach Sejmu Wielkiego – i z tak wysoka upadł, nie znajdując w sobie siły, aby ich bronić. Stworzył sobie budowlę z dzieł wspaniałych i chwalebnych, ale okazała się ona jego szubienicą, na której zawisł nagi i pozbawiony chwały, którą sam z siebie zdarł. Mały, nagi i żałosny człowieczek...

Największą wadą Stanisława Augusta było to, że nie znalazł w sobie dość siły, aby obronić Konstytucji i Rzeczypospolitej. Co sprawia, że koniec końców okazał się tylko słabym i tchórzliwym królem Stasiem – zdrajcą. Oczywiście musiałby wówczas stanąć na czele powstania przeciwko Moskwie i być może za jakiś czas przeciw Prusom. Trudne? Jerzy Waszyngton to potrafił, podobnie jak Georges Danton, Napoleon, nawet Toussaint L'Ouverture na Haiti był w stanie postawić wszystko na jedną kartę.

W osobie Stanisława Augusta Poniatowskiego widzimy, jak słaba, rozlazła i niezdecydowana była arystokracja końca XVIII w. Niestety, w przeciwieństwie do carycy Katarzyny czy Fryderyka Wilhelma II... Cóż należało zrobić z Augustem? Na szubienicę z nim? Rok 1792 to już być może czas, kiedy zamiast późniejszego naczelnika należało powołać pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej...

Widzimy, jak dzisiejsza Polska podzielona jest na dwa wrogie plemiona polityczne, i nierzadko w dyskusjach publicystycznych padają porównania do schyłkowego okresu Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Jeśli porównamy rok 2025 z 1791, to jesteśmy w niemal komfortowej sytuacji.



Jean-Baptiste Oudry, „Stanisław Leszczyński w stroju pielgrzyma"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Wówczas graniczyliśmy z dwoma wrogo nastawionymi do nas mocarstwami, z których oba dysponowały armiami przekraczającymi możliwości wojskowe I Rzeczypospolitej. Mowa o Prusach i Moskwie.

Natomiast Austria czekała na możliwość łatwego wzbogacenia się na upadku naszego kraju.

Gospodarczo Prusy górowały nad nami, chociaż było już widać, że w kolejnych latach ta dysproporcja będzie się szybko zmniejszać. Szybciej niż obecnie dystans między nami a najbogatszymi państwami UE. Natomiast Moskwa górowała nad nami potęgą militarną i ludnościową.

Dziś sytuacja jest korzystniejsza – Moskwa ugrzęzła na Ukrainie i raczej nie ma sił, aby na nas uderzyć. Z kolei Niemcy nie dysponują – jeszcze – dużą siłą wojskową, ale próbują zdusić nas ekonomicznie. Niestety, w kolejnych latach mogą wzmocnić się militarnie. Stosują zaś te same metody politycznego podporządkowania, co 300 lat temu, podparte jeszcze środkami propagandowymi, których nie wymyślono w XVIII w.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Jacek Komuda jest pisarzem i historykiem, znawcą dziejów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, autorem wydanej w tym roku książki pt. „Upadek. Jak straciliśmy Pierwszą Rzeczpospolitą".

eprasa.pl f4f31c2ab4



Druga wojna światowa / Polska w filmach niemieckich i sowieckich

Totalitarny obiektyw

RYS. 12 KREDEK



Piotr Kitrasiewicz

Okupanci kręcili filmy o przedwojennej Rzeczypospolitej. W ich „dziełach" widać jednak duże różnice, jeżeli chodzi o pokazywanie Polaków

Pakt Ribbentrop-Mołotow wytyczył nowy kierunek w stosunkach niemiecko-sowieckich. Zawierając sojusz polityczny i militarny, oba państwa wygasiły wymierzoną w siebie propagandę, jednocześnie aktywizując kontakty kulturalne. Te ostatnie zaczęły przynosić owoce dopiero w roku 1940, gdyż obie strony nie były zainteresowane pośpiechem ze względu na reakcję swoich społeczeństw. „Nie możemy z dnia na dzień nazywać siebie przyjaciółmi po latach wzajemnego obrzucania się błotem. Co by powiedzieli na to ludzie sowieccy?" – powiedział Stalin do niemieckiego ministra spraw zagranicznych, który się z nim zgodził. Do końca roku gazety i rozgłośnie III Rzeszy i ZSRS nie komentowały posunięć drugiej strony, ograniczając się do publikacji wzajemnych oficjalnych komunikatów i dziennikarskich relacji utrzymanych w tonie neutralnym.

W kolejnym roku poczyniono pierwsze kroki w dziedzinie współpracy kulturalnej. Ribbentrop i Goebbels rozważali wznowienie na rynku niemieckim książek sowieckich tłumaczonych w czasach Republiki Weimarskiej, przy czym chodziło rzecz jasna nie o twórczość komunistyczną, ale m.in. o powieści i opowiadania Michaiła Bułhakowa oraz o satyryczną powieść Ilfa i Pietrowa „Dwanaście krzeseł". Okazało się jednak, że tłumaczenia wyszły spod piór „niearyjskich" tłumaczy... Myślano także o wystawieniu w narodowosocjalistycznych Niemczech popularnej w Europie komedii Walentyna Katajewa „Kwadratura koła". Jednak również z tego nic nie wyszło w wyniku stanowczego zakazu samego Hitlera. Wódz III Rzeszy nie zabraniał natomiast edycji klasyków literatury rosyjskiej, takich jak Puszkin, Tołstoj czy Dostojewski.

To samo dotyczyło teatru. Na afisze różnych scen niemieckich weszły: „Rewizor" i „Ożenek" Gogola, „Mądremu biada" Gribojedowa, „Trzy siostry" Czechowa i „Las" Ostrowskiego. Innej sztuce Ostrowskiego – „Późna miłość" – przygotowano niemiecką prapremierę w teatrze miejskim w Münster, i to w maju 1941 r., a więc niemal pięć minut przed agresją na ZSRS. Dzieło to postanowił włączyć do repertuaru jeszcze w poprzednim roku dyrektor tej placówki, Erich Pabst, nie będąc świadomy, że wkrótce nastąpi wojna niemiecko-sowiecka i wszystkie rosyjskie utwory dramaturgiczne znikną ze scen Rzeszy. Podobny los spotkał rosyjskie książki, aczkolwiek nie do końca, gdyż liczono się z przebywającymi w Niemczech białymi emigrantami i pozostawiono na półkach księgarskich część rosyjskiej klasyki literackiej.

Puchar Duce

Ukłony w stronę wschodniego sojusznika wykonywano również na innych polach kultury, np. operowym (wystawiono osiem oper rosyjskich, w tym mało znaną i po raz pierwszy zaprezentowaną niemieckiej publiczności „Czarodziejkę" Czajkowskiego). Najszerszy odbiór miał jednak film i na tym polu uhonorowano Sowietów jedną, ale za to popularną ekranizacją rosyjskiej prozy. Sięgnięto

eprasa.pl f4f31c2ab4



Kadr z filmu „Heimkehr" Gustava Ucicky'ego FOT. NAC

po opowiadanie Aleksandra Puszkina „Poczmistrz", na którego podstawie wybitny reżyser Gustav Ucicky nakręcił dramat psychologiczny pod tym samym tytułem. Film został sprawnie zrealizowany i dobrze zagrany, zwłaszcza przez odtwórcę tytułowej roli – Heinricha Georgego. Obraz cieszył się dużym powodzeniem, a na niemiecko-włoskim pokazie w Wenecji otrzymał nagrodę główną dla filmu zagranicznego (czyli niemieckiego), którą był Puchar Mussoliniego.

Gustav Ucicky, nieślubny syn austriackiego malarza Gustava Klimta, wychowanek wiedeńskiego sierocińca, przeszedł jednak do historii kina głównie jako twórca „polakożerczego" filmu „Heimkehr" („Powrót", 1941), powstałego właśnie w okresie obowiązywania „diabelskiego paktu". Europejscy historycy kina uznali go po latach za najbardziej zajadłe dzieło propagandowe hitlerowskiego rasizmu, gdyż wszyscy Polacy – bez względu na płeć, wiek, zawód i pozycję społeczną – zostali ukazani w nim jako okrutni psychopaci z upodobaniem znęcający się, a nawet mordujący niemieckich osadników na przedwojennym Wołyniu. Do przyjęcia epizodycznych ról Polaków oraz statystów Ucicky nakłaniał polskich aktorów za pośrednictwem Igo Syma podczas swojego pobytu w Warszawie. Większość, w tym Kazimierz Junosza-Stępowski przewidziany do roli burmistrza, odmówiła. Niektórzy, jak Jerzy Pichelski, zgodzili się, ale po uzyskaniu pełnej wiedzy, o czym jest film, zerwali kontrakt.

Byli jednak i tacy, którzy wzięli udział w tej produkcji. Rolę burmistrza ostatecznie odegrał Bogusław Samborski, który bojąc się kary ze strony podziemia, nie wrócił do Warszawy; wcześniej uzgodnił z Ucickym, że zostanie na terenie Rzeszy razem z żoną i będzie grać w niemieckich filmach. Ucicky słowa dotrzymał i Samborski, pod pseudonimem Gottlieb Sambor, wystąpił w dwóch filmach: „Am Ende der Welt" (1943) i „Shiva und die Galgenblume" (1945), a po wojnie uciekł do Brazylii. Zagrał tam w ośmiu filmach, komediach i melodramatach, tym razem pod pseudonimem Anthony Zamborsky. Oprócz niego w „Heimkehr" wystąpili ze strony polskiej m.in. Józef Horwath (urzędnik wojewody), Tadeusz Żelski (minister Józef Beck), Józef Kondrat (pracownik burmistrza) i Michał Pluciński (granatowy policjant). Pozostałe role zagrali Niemcy i Austriacy (film wyprodukowała wytwórnia Wien-Film). W głównej roli wystąpiła Paula Wessely, ceniona aktorka austriacka, która przejmująco wcieliła się w postać nauczycielki Marii Thomas, patrzącej ze zgrozą na okropności dokonywane przez Polaków. Talent, z jakim aktorka zagrała Marię Thomas, wzmocnił negatywną siłę oddziaływania tego obrazu.



Bogusław Samborski FOT. NAC

Samosądy na ekranie

Innym antypolskim filmem zrealizowanym w Rzeszy, chociaż mniej nośnym ze względu na zdecydowanie niższy poziom, był obraz „Feinde" („Wrogowie"). Powstał rok wcześniej niż „Heimkehr", a jego akcja rozgrywała się na pograniczu niemiecko-polskim. Polacy brutalnie prześladowali w nim niemieckich sąsiadów i dokonywali zabójczych samosądów. Role obsadzono aktorami dobrze znanymi z ekranów niemieckich: prześladowanego Niemca zagrał Willy Birgel, który trzy lata wcześniej wcielił się w postać polskiego rotmistrza Juliana Staniewskiego w polonofilskim „Ritt in die Freiheit" („Ku wolności"), a ratującą go Niemkę odegrała Brigitte Horney, gwiazda jeszcze z okresu kina niemego.

Dzikich i okrutnych Polaków, o imionach Władek, Stach czy Antek, zagrali Niemcy, a rolę Jana powierzono Serbowi Ivánowi Petrovichowi. Reżyserem był Victor Tourjansky – Rosjanin emigrant. Film nie spełnił oczekiwań hitlerowskich decydentów, więc postanowili oni wyprodukować nowe „dzieło", oparte na mocniejszym scenariuszu, lepiej zrealizowane i zagrane. Goebbels (lub ktoś z jego otoczenia) wpadł na pomysł, aby tym razem Polaków zagrali sami Polacy, co będzie miało silniejszą wymowę. I tak powstał „Heimkehr".

Reżyserzy i większość aktorów z „Heimkehr" i „Feinde" kontynuowali po wojnie karierę artystyczną, również w innych krajach (Petrovich wystąpił np. w słynnej francuskiej „Windzie na szafot" Louisa Malle'a), a Paula Wessely przybyła do Polski z występami, była bardzo miła i wypowiadała się w superlatywach o polskiej publiczności. O udziale w „Heimkehr" nie mówiła, ale chyba nikt jej o to nie pytał. Z kolei Victor Tourjansky reżyserował kostiumowe filmy przygodowe w Niemczech Zachodnich i we Włoszech (np. „Bogini miłości", „Kozacy" i „Michał Strogoff").

Tyrania Lachów

A jaki obraz Polski i Polaków przedstawiała kinematografia drugiego okupanta? Podobnie jak w III Rzeszy, tak i w ZSRS powstawały film antypolskie, było ich nawet więcej niż w państwie spod znaku swastyki. I podobnie jak w Niemczech służyły one usprawiedliwieniu agresji na Polskę jako kraj okrutnie obchodzący się ze swoimi mniejszościami etnicznymi. A w przypadku ZSRS miały ponadto pozyskać dla nowej władzy narody dopiero co włączone w skład komunistycznej machiny państwowej, a także skierować ich negatywne emocje w stronę „Lachów".

Pierwszym z tych filmów było „Wyzwolenie" z roku 1940, zrealizowane przez znanego i cenionego przez Kreml reżysera Ołeksandra Dowżenkę.

eprasa.pl f4f31c2ab4



Kadr z filmu „Wyzwolenie" Ołeksandra Dowżenki

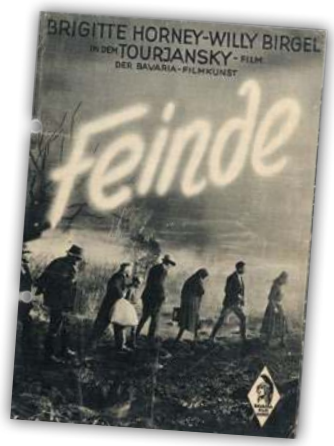
FOT. DOMENA PUBLICZNA

I to właśnie jemu, jako Ukraińcowi, przypadł wątpliwy zaszczyt ukazania na ekranie dobrodziejstw, które przyniosła Armia Czerwona mieszkańcom zachodniej Ukrainy i Białorusi po 17 września 1939 r. Ukraińców i Białorusinów przedstawiono oczywiście jako ludność uciskaną przez polskich „panów" (frazeologia propagandowa bolszewików była identyczna jak w roku 1920), którzy swoją zachłannością i pogardą etniczną, a także klasową doprowadzali prastarych mieszkańców tych ziem do głodu i ruiny. Jedną z najbardziej przejmujących dla polskiego widza scen jest wyrzucanie z dworu starej dziedziczki na wózku inwalidzkim, co odbywa się przy szyderczych okrzykach wrogiej gawiedzi. Film miał charakter paradokumentalny, gdzie obok ujęć wsi, lasów, jezior, a także wkraczających żołnierzy sowieckich bratających się z radosnymi Ukraińcami znajdowały się sceny pseudofabularne – zainscenizowane. Dowżenko mógł utrwalić na taśmie pochód bolszewickiego wojska na Polskę, ponieważ przydzielono go do jednego z oddziałów jako reportera filmowego. Czyli nie włączał kamery, kiedy najeźdźcy mordowali, palili i gwałcili, a robił to, gdy dziarsko parli przed siebie i przyjmowali kwiaty od naiwnych, bo niewiedzących, co ich czeka, przedstawicieli „wyzwolonej" ludności. Finałem filmu, utrzymanego w tonie patetycznej agitki, było ukazanie „radosnego" obrazu głosowania w gmachu opery lwowskiej, kiedy to „szczęśliwa" ludność zachodniej Ukrainy „zadecydowała" o włączeniu jej do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej ze stolicą w Kijowie.

Wampirzyca

W podobny, chociaż już ściśle fabularny sposób uderzał w Polskę „Wiatr ze wschodu" (1940) w reżyserii Abrama Rooma. W pierwszej scenie na tle pięknego krajobrazu ziemi kresowej ksiądz odprawia obrządek przed figurą Matki Boskiej w obecności młodzieży szkolnej i lokalnych władz. Okazuje się, że sakryfikuje w ten sposób wydarcie przez dziedziczkę, hrabinę Janinę Przeżyńską, pola ubogiemu, ale gospodarnemu chłopu ukraińskiemu, Chomie Gabrysiowi. W kolejnej scenie sąd grodzki sankcjonuje przekazanie terenu uprawnego w ręce arystokratki. Ukrainiec niby dostaje ziemię zastępczą, ale nieurodzajną, bo pełną piasku i w dodatku bagnistą. Polska hrabina jest chciwa, zaborcza, mściwa i brutalna. Kiedy Choma przychodzi do pałacu i argumentuje, że ziemia jest jego, bo on na niej pracuje, obszarniczka wyrzuca go, krzycząc: „Won!". Jej rządca, Mateusz, jest przebiegły i podstępny. Cała wieś popiera Chomę.

Kiedy wybucha wojna, chłop zostaje zmobilizowany do Wojska Polskiego. Po 17 września dezerteruje pod wpływem ulotek zrzucanych przez sowieckie samoloty. W tym czasie hrabina wysyła policjantów do chaty Gabrysiów, żeby zabrali im jedyną krowę. Kiedy żona Chomy staje w progu z siekierą w ręku, policjant strzela i ją zabija. Tymczasem do miasteczka przybywa szwadron polskich ułanów uciekających przez sowieckimi tankami. Przeżyńska żąda, aby spalili buntowniczą wioskę. Podpalają wprawdzie zabudowania, ale zbliżające się wojska sowieckie zmuszają ich do dalszej ucieczki. Chłopi z pomocą tankistów gaszą pożary. Wracający do wioski Choma zajeżdża wozem konnym drogę uciekającej limuzyną hrabinie i zapowiada jej straszny sąd ze strony społeczności chłopskiej. W finale niczym ataman wygłasza mowę do ludu, zapowiadając wyzwolenie od polskiego ucisku i szczęśliwe życie we wspólnocie narodów sowieckich, a film kończy się obrazem przelatujących samolotów z bolszewickimi gwiazdami. Od ukazanych w czarnych barwach Polaków odcina się jedna postać. Jest nią Hanna – młodziutka, bardzo religijna nauczycielka, która odchodzi z klasztoru, żeby nauczać dzieci na Kresach. Osiedla się we wsi Chomy i zakochuje w Andrieju, przystojnym komuniście, pod którego wpływem porzuca swoje „przestarzałe" myślenie i skłania się ku jego światopoglądowi.



Pod względem artystycznym „Wiatr ze wschodu" był bardzo nierówny. Ukraiński aktor Amwrosi Buchma dobrze zagrał głównego bohatera, podobnie Walentyna Brzeska-Buchma świetnie wcieliła się w rolę jego żony (prywatnie także byli małżonkami). Gra pozostałych aktorów okazała się sztuczna, nosząca cechy teatralnej ekspresji. Hrabina Przeżyńska w interpretacji Olgi Żizniewej (żona reżysera) okazała się wręcz karykaturalna w swej plakatowości (brakowało jej tylko długich zębów i napisu: „Wampirzyca utoczona krwią ludu pracującego").

Cały film okazał się po prostu tandetną antypolską propagandówką usprawiedliwiająca agresję sowiecką na Polskę, a niektórzy porównywali go nawet z „Heimkehr", co jednak nie było do końca trafne. Nad scenariuszem pracowała Wanda Wasilewska, która figuro-

eprasa.pl f4f31c2ab4

wała w czołówce jako konsultantka scenariusza i której imię oraz nazwisko jako jedynej – obok Abrama Rooma – podano w pełnym brzmieniu, a nie skrótowo, jak to praktykowali Sowieci (przed nazwiskiem umieszczając tylko pierwszą literę imienia). Wówczas jednak Wasilewska miała bardzo silną pozycję na odebranych Polsce terenach ukraińskich (film wyprodukowała wytwórnia w Kijowie), a z Moskwy chronił ją sam Stalin, którego była osobistą przedstawicielką.

Muzyka Warsa

O wiele mniej jadowite okazało się „Marzenie" – dramat obyczajowo-psychologiczny z tendencjami politycznymi, nakręcony w 1941 r. przez Michaiła Romma. Film nie zdążył jednak wejść na ekrany przed 22 czerwca, a wprowadzono go na nie dopiero w roku 1944, kiedy Armia Czerwona zajmowała po raz kolejny ziemie polskie. Akcja „Marzenia", do którego muzykę skomponował pracujący w kijowskiej wytwórni Henryk Wars, rozgrywa się przed wojną w pensjonacie na Kresach, w którym mieszkają obok siebie ludzie z różnych środowisk społecznych. Jest tu Polak Zygmunt, biedny inteligent, jest i Janek, również biedny Polak, wozak. Polak Tomasz i Ukrainiec Wasyl są komunistami ściganymi przez policję. Dramaty życiowe i miłosne przechodzą Wanda i Anna. Właścicielką Marzenia (taką nazwę nosi pensjonat) jest Żydówka Rosa Skorochod, której syn Łazar, dyskryminowany architekt, nie może doczekać się w „pańskiej" Polsce docenienia swojego talentu. On i Anna próbują uciec przez zieloną granicę do ZSRS, ale zostają schwytani. W finale wszyscy spotykają się ponownie w pensjonacie, już po włączeniu wschodniej Polski do Związku Sowieckiego. Radość Anny, która przyjechała z Moskwy, gdzie pracuje w wielkich i nowoczesnych zakładach, zakłóca tylko to, że Tomasz, którego kochała, został zabity przez sanacyjną policję.

„Marzenie", zrealizowane przez późniejszego twórcę głośnych „Dziewięciu dni jednego roku", wyróżniało się nawet na korzyść w porównaniu z innymi filmami o przedwojennej Polsce nakręconymi w okresie obowiązywania paktu Ribbentrop-Mołotow. Miało charakter kameralny, przesycony zadumą nad losem człowieka, i liryczny klimat. Krytyczna teza propagandowa odnosiła się głównie do sanacyjnych instytucji państwowych i reprezentujących je urzędników, natomiast zwykłych ludzi ukazano w świetle neutralnym lub pozytywnym.



Dowcip ostry jak pal

Warto wspomnieć jeszcze o dwóch filmach historycznych: „Generał Suworow" (1940, reż. Wsiewołod Pudowkin) oraz „Bohdan Chmielnicki" (1941, reż. Igor Sawczenko). W tym pierwszym, po pokonaniu kościuszkowskich wojsk, tytułowy bohater chwali swoich żołnierzy rozdzierających polskie chorągwie i przyklaskuje zabijaniu uciekających Polaków. W drugim Chmielnicki zwraca się do Moskwy o pomoc przeciwko Lachom, a szlachtę i magnaterię przedstawiono oczywiście w czarnych barwach jako wielowiekowych okupantów Ukrainy, traktujących jej mieszkańców jak niewolników. O tym, że historyczny Chmielnicki przekonał się, iż przyjęcie pomocy Moskali było niczym ucieczka z deszczu pod rynnę, nie było w filmie ani słowa.



Kadr z filmu „Wiatr ze wschodu" Abrama Rooma FOT. KINO-TEATR.RU

Jedna z antypolskich scen uderza „finezją" rubasznego, chłopskiego dowcipu. Polscy żołnierze prowadzą dwóch schwytanych Kozaków. Oficer mówi jeńcom, że zostaną nabici na pal. A kiedy ci śmieją się, pyta ich, dlaczego im tak wesoło. W odpowiedzi proszą, żeby pal był krótki. A czemu? „Żebyście wy, Lachy, mogli pocałować nas w dupę" – rechoczą dzielni Kozacy, którym niestraszna śmierć, w przeciwieństwie do niewoli. Oba filmy wpisywały się w zapoczątkowane w drugiej połowie lat 30. wystawne widowiska historyczne, ukazujące wybitnych władców i dowódców, takich jak car Piotr I Wielki, kniaź Aleksander Newski, gen. Michaił Kutuzow, adm. Fiodor Uszakow czy Iwan Groźny. Miało to dyskretnie pobudzać nacjonalistyczne uczucia Rosjan, a samego Stalina kreować na ich kontynuatora.

Antypolski charakter miały również niektóre kreskówki przeznaczone dla najmłodszego widza. Jedna z nich – „Iwaś" – opowiada o białoruskim chłopcu ze wsi, jego rodzinie i sąsiadach żyjących na terenie II RP. Miejscowi Polacy, wspierani przez wojsko, gnębią ich i okazują im pogardę. Wszystko zmienia wkroczenie Armii Czerwonej, która przepędza wyniosłych i brutalnych polskich wojskowych i stwarza mieszkańcom wioski warunki do bezpiecznego życia i cieszenia się wolnością.

Podsumowując, filmy stalinowskie nie były tak polakożercze jak filmy hitlerowskie. Twórcy sowieccy unikali wrzucania do jednego worka wszystkich Polaków, różnicując ich w zależności od pozycji społecznej i pełnionej w fabule funkcji. Nie wzbudzały nienawiści na tle narodowościowym (co innego klasowym) i były bardziej stonowane. Natomiast okupant z zachodu, dający upust swojej pielęgnowanej od stuleci pangermańskiej pogardzie dla Słowian, nie bawił się w tego rodzaju subtelności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA LITERATURA:

Drewniak B., ***„Teatr i film Trzeciej Rzeszy"****, Gdańsk 1972; Toeplitz J.,* ***„Historia sztuki filmowej", t. 5,*** *Warszawa 1970; Zawistowski A.,* ***„Wybitne dzieło w propagandowych ramach. Totalitaryzm na filmowej taśmie"****, Instytut Europejskiej Sieci Pamięć i Solidarność 2021, www.kresy1939.pl.*

eprasa.pl f4f31c2ab4



Największa tajemnica Nowej Zelandii / Zaginione olbrzymy

Zagadka ostatniego Moa

Orzeł Haasta atakuje ptaki moa FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JOHN MEGAHAN



Jakub Polit

Najwięksi specjaliści w Londynie, Auckland i Wellington wysilali mózgi, by wyjaśnić, kiedy i dlaczego wymarły gigantyczne ptaki moa. Tymczasem wiele wskazuje na to, że odpowiedź na to pytanie doskonale znali wygłodniali wielorybnicy, którzy przybijali do brzegów Nowej Zelandii, by uzupełnić zapasy

Na początku XIX w. marynarze tylko okazjonalnie stawiali stopę na położonej na antypodach wielkiej podwójnej wyspie, nazwanej dwa wieki wcześniej przez Holendrów Nową Zelandią. Jej nominalny odkrywca, Abel Tasman, nie zszedł na ląd. Bardziej prawdziwy, James Cook, który dotarł tam w 1769 r., zrobił to tylko na chwilę. Tubylcy słynęli bowiem z niepohamowanej wojowniczości i ludożerstwa. Toteż brytyjscy i amerykańscy wielorybnicy rzucali kotwicę przy brzegach bardziej południowej z dwóch wysp tylko z konieczności i chyłkiem, aby uzupełnić zapasy słodkiej wody i mięsa. To ostatnie trzeba było oskubać z piór, bo na Aotearoa, Długiej Białej Chmurze – jak miejscowi nazywali swoją ojczyznę – nie było właściwie żadnych czworonogów.

Najchętniej do garnków pakowano kaczki, kurki wodne i zabawne miejscowe chochliki o piórach przypominających włosy, zwane przez tubylców kiwi. Chętnie konsumowany, jako większy, był inny lokalny cudak. Owo wysokie na niemal metr indywiduum nazywano Strażakiem (Fireman), ponieważ jego grzechoczący głos przypominał marynarzom drewnianą kołatkę, której dźwiękiem ówczesna służba przeciwpożarowa ostrzegała przed ogniem. Od czasu do czasu trafiał się jednak prawdziwy rarytas. W 1845 r. niespełna 20-letni wielorybnik Burr Osborn na rozkaz swego kapitana wykopał z kolegami ponadtrzymetrowej głębokości dół pułapkę. Zdobyczą okazał się „prawdziwie monstrualny ptak, ważący około pięciuset funtów [ok. 227 kg – przyp. red.]. Kapitan był całkiem dobrym preparatorem i po załadowaniu powiedział, że zamierza go posłać do London Museum". Osborn, spisujący swe wspomnienia dla wnuków, po ponad półwieczu zaznaczył, że nie wie, czy ów „wielki emeu" dotarł do miejsca przeznaczenia. Rejestry londyńskie nic o tym nie mówią. Wszystko wskazuje więc, że niezwykłe trofeum – być może pokiereszowane upadkiem na dno pułapki – zostało zjedzone na morzu.

Straszny ptak

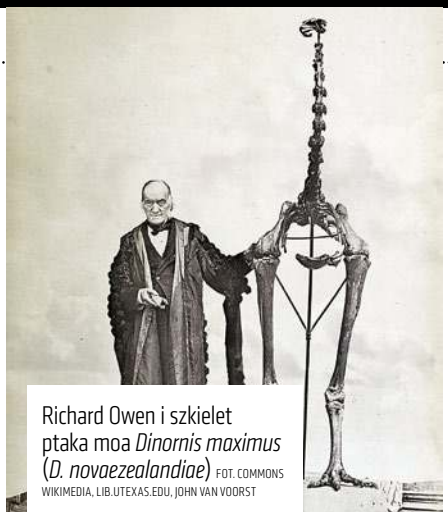
Opublikowane dopiero u schyłku XX w. zapiski dzielnego łowcy wielorybów (który zmarł w 1921 r. w pięknym wieku 96 lat) wywołały szok i niedowie-

eprasa.pl f4f31c2ab4

rzanie. W roku, w którym Osborn i jego kumple mordowali morskie ssaki, na nowozelandzkiej Wyspie Północnej wśród pierwszych brytyjskich kolonistów kursowały już bowiem osobliwe ulotki. Richard Owen, późniejszy szacowny kierownik British Museum, obietnicą sporej nagrody zachęcał w nich do identyfikacji właścicieli stosów kości nadesłanych z antypodów przez zaprzyjaźnionych misjonarzy. Szczątki, podobne do gnatów wołu, były tak monstrualne, że istotę, od której pochodziły, profesor ochrzcił mianem „Dinornis" – straszny ptak. Tak, bez wątpienia chodziło o ptaka, strusia, który bez odrywania stóp od ziemi był w stanie wsunąć głowę w okno na pierwszym piętrze. Prędko stało się zresztą jasne, że było kilka gatunków tych istot, różniących się rozmiarami, lecz zawsze olbrzymich. Co zaś najbardziej zdumiewało, nie pochodziły one sprzed potopu. Stan kości sugerował, że musiały przemierzać Aotearoa całkiem niedawno lub nawet robiły to nadal.

Znalezienie ich nie było jednak łatwe. Tubylcy mieli własne zdanie o brytyjskiej cywilizacji i w serii wojen, toczonych z przerwami do 1872 r., nieraz sprawili intruzom bolesne cięgi. Wyszli z nich zresztą z honorem, gdyż najeźdźcy – rzecz w dziejach Imperium Britannicum absolutnie bezprecedensowa – z oporami, ale jednak uznali ciemnolicych Maori nie za „człekozwierzęta", ale quasi-partnerów. Erotyczny powab maoryskich kobiet – z którymi nie wstyd było stanąć nawet na ślubnym kobiercu – przezwyciężał nawet dreszczyk opowieści o ludożercach. Historie o niesamowitych ptakach – o które pytano podczas wojen i w krótkich przerwach między nimi – okazały się jednak trudniejsze do weryfikacji. Owszem, większość Maorysów słyszała o pierzastych olbrzymach, określanych zazwyczaj słowem, do którego biali szybko się przyzwyczaili – moa. Na Wyspie Północnej, lepiej spenetrowanej – także przez tubylców, bo stąd zaczęli oni w XIII w. zasiedlanie Nowej Zelandii – pozostały o megastrusiach głównie opowieści.

Tropienie kolosów, w czym uczestniczyć zaczęły w końcu



Richard Owen i szkielet ptaka moa *Dinornis maximus* (*D. novaezealandiae*) FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIB.UTEXAS.EDU, JOHN VAN VOORST

i damy w krynolinach, stało się historią pasjonującą, ale niedokończoną. Jej główny naukowy rozdział napisał geolog Ferdinand von Hochstetter, przybyły w 1858 r. na austriackiej fregacie „Novara". Buszując przez dziewięć miesięcy po wyspiarskim interiorze, zebrał zdumiewający i zaskakująco świeży materiał. W Europie zechciał nań rzucić okiem sam Franciszek Józef, który co prawda początkowo uznał absurdalnie wielkie szkielety za to, co przypominały – osobliwe żyrafy pozbawione przednich kończyn. Jednak żywych moa Hochstetter nie zobaczył. „Nie jest żadną miarą niemożliwe – zastrzegł co prawda w swym fundamentalnym, wydanym w 1867 r. dziele – że w odległych i niedostępnych okolicach zamieszkuje jeszcze grupka niedobitków tych olbrzymów, niczym ostatni Mohikanie".

Właśnie – olbrzymów. Choć wszystkich gatunków miało być kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt (obecnie ich liczbę zredukowano do dziewięciu), to łowcy sensacji podkreślali, że szukają monstrów wyższych co najmniej dwa–trzy razy od człowieka. Takimi były tylko dwa największe gatunki, ale to lepiej brzmiało. Gazety nowozelandzkie, a potem i brytyjskie miały prekursora potwora z Loch Ness i straszliwego człowieka śniegu. Nie tylko piśmidła, lecz także poważne tytuły wzmiankowały o spotkaniach, a nawet walkach z szalejącymi ze wściekłości moa. Najbardziej znana dotyczyła przygody dwóch



Ferdinand Hochstetter

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LITOGRAFIA ADOLFA DAUTHAGE'A

Amerykanów, którzy zaczaili się na pięciometrowe ptaszysko, lecz w decydującym momencie rzucili się do ucieczki.

Superorzeł

Ludzie nauki zaczęli wreszcie wątpić w to wszystko także z powodu nieprawdopodobieństw w relacjach tubylców. Niektórzy z nich wspominali pierzaste olbrzymy śpiące na jednej nodze z głową pod skrzydłem. Co za bzdury odnośnie do istot, na których szkieletach nie było po skrzydłach nawet śladu?! Inne, jeszcze bardziej zabawne, szeptały o monstrualnych potworach pouakai spadających z przestworzy, by porwać dzieci, kobiety, a nawet mężczyzn, monstrach, którym waleczni herosi odrąbywali skrzydła – co w wypadku istot nielotnych byłoby nawet śmieszne, gdyby nie było żałosne. Ostatecznie największy naukowy autorytet na obu wyspach, serdeczny druh Hochstettera Julius von Haast, stwierdził, że Maorysi nigdy nie widzieli żywych moa. Owe zdegenerowane, nadmiernie wyrośnięte istoty należały do epoki „przeddyluwialnej" (czyli przedpotopowej), będąc odpowiednikami europejskich mamutów, jaskiniowych niedźwiedzi i innych „olbrzymich czworonogów okresu postplioceńskiego". Napotkali je i – być może – wyniszczyli jacyś nieznani pierwotni mieszkańcy Nowej Zelandii, mający tyle wspólnego z Maorysami, co „jaskiniowcy" Starego Kontynentu z panem Owenem i jego kolegą Karolem Darwinem. A co z relacjami dzielnych Maori? Prócz zwykłych kłamstw stanowiły rezultat uprzejmego przytakiwania Brytyjczykom ogarniętym myśleniem życzeniowym, niechlujnej działalności tłumaczy i przechwałek brązowych wojowników opowiadających o łowach na nieloty kiwi wielkości kury.

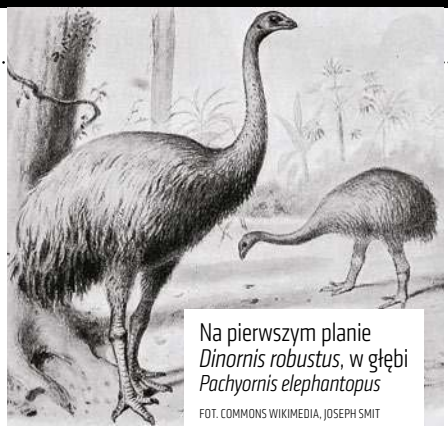
Zgorzkniały von Haast – zgorzkniały, bo w swoim czasie zapowiadał, że osobiście dostarczy do Auckland żywego moa – pisał to wszystko w latach 70. XIX w. Późniejsze generacje badaczy skorygowały go, ale lekko. Maorysi jednak znali moa i to oni je wybili – oni, bo żadnych wcześniejszych mieszańców Kraju Długiej Białej Chmury przed inwazją flot polinezyjskich ok. 1280 r. po prostu nie było. Zagłada wielkich ptaków z rąk przybyłych głodomorów miała

eprasa.pl f4f31c2ab4

być wręcz błyskawiczna. Rozkopujący dawne ziemne piece archeolodzy uznali, że przestały one dymić na początku XV w. Potem jednak Maorysi zapomnieli o moa i stąd bzdurne przekazywane Brytyjczykom opowieści. A piece? Hochstetter argumentował, że tubylcy zaczęli pożerać siebie nawzajem, bo zabrakło wielkich ptaków…

Jak się poniewczasie okazało, von Haast sam zastawił na siebie sidła. To on mianowicie odkrył i opisał szczątki miejscowego superorła, nazwanego potem Hieraaetus moorei, będącego największym i najpotężniejszym orłem wszystkich czasów. Drapieżca ten, o straszliwych 11-centymetrowych szponach – relatywnie niewielka, bo „tylko" niespełna trzymetrowa rozpiętość skrzydeł była pochodną konieczności manewrowania między drzewami – groźny był nawet dla największych moa. Ale nie tylko dla nich. Przyzwyczajony do łowów na wielkie dwunogi bez cienia wątpliwości zabijał także – i pożerał – Maorysów. Ci ostatni wybili go w samoobronie. Tak, to był ten potwór wymieniany w legendach jako pouakai. Może więc i inne opowieści były niekoniecznie bzdurą? W końcu na pozbawionej – do czasu – lądowych drapieżników Aotearoa powstała rekordowa liczba gatunków nielotnych. Należała do nich olbrzymia, ponadmetrowej wysokości gęś Cnemiornis. To niemal na pewno właśnie ten ptak sypiał na jednej nodze z głową pod uwstecznionym skrzydłem…

Naukowcy, spierający się o olbrzymy czterometrowego wzrostu, początkowo ignorowali opowiastki o „strażakach", nadające się do książek kucharskich, a nie do podręczników biologii. Idealnie odpowiadają one jednak opisom najmniejszych gatunków moa, takich jak Megalapteryx didinus i Anomalopteryx didiformis. Ptaki rozmiarów indyków, o głosach przypominających kołatki, nie mogły być ptakami kiwi, z których żaden nie przerasta kury i potrafi co najwyżej sapać – nie mówiąc o tym, że obgryzający udka „strażaków" marynarze potrafili czasem zanotować, że jednocześnie „kee--wee włóczyły się w pobliżu obozowiska". Wszystko wskazuje na to, że w czasie, gdy najtęższe umysły w Londynie, Auckland i Wellington wysilały mózgi, by wyjaśnić, kiedy i dlaczego wymarły ptaki moa, woniejący ginem i tranem wielorybnicy konsumowali ostatnie egzemplarze tych ptaków. Działo się to w okolicach tzw. Fiordlandu, którego panoramy zna dziś każdy z powodu zdjęć do „Władcy Pierścieni". Pustki te, ujmujące surowym pięknem, były wówczas słabo zaludnione nawet przez Maorysów. Po części pozostają zresztą takie do dziś.



Na pierwszym planie *Dinornis robustus*, w głębi *Pachyornis elephantopus*

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JOSEPH SMIT

W wypadku „strażaków" chodziło oczywiście o niedobitki. Główna ptasia masa, dostarczająca danych archeologom, zniknąć musiała – jak już wspomniałem – w XV w., czyli w czasie, gdy w Europie niemal całkowicie zniknął żubr. Jak długo jednak trwać miało owo „niemal"?

„Ptak Alicji"

Zimą 1880 r. 7-letnia Alice MacKenzie z Fiordlandu po raz pierwszy zobaczyła w pobliżu zagrody swoich rodziców w Martins Bay wielkiego, błękitnopiórego ptaka, niemal równego jej wzrostem. Rodzina MacKenzie widywała go jeszcze wielokrotnie – aż do późnych lat 90. XIX w. Alice spotkania notowała w pamiętniku, a w 1947 r. wspomniała o nich w na poły autobiograficznej książce „Pioneers at Martins Bay". W 1949 r. Nowa Zelandia przeżywała niezwykłe wydarzenie – doktor Geoffrey Orbell odkrył ponownie nad jednym z jezior Fiordlandu nielotnego chruściela takahe, ptaka uważanego za wymarłego od ponad półwiecza. Przejęta Alice, wtedy już nobliwa matrona, pospieszyła do muzeum w Dunedin, sądząc, że pierzasty zmartwychwstaniec jest jej od dawna nieoglądanym znajomym. Przeżyła jednak rozczarowanie – a potem zdumienie. Oba stworzenia łączyła tylko barwa piór. „Ptak Alicji" był trzykrotnie większy, ze znacznie wyższymi nogami i – inaczej niż takahe – z piórami podobnymi do włosów, bez stosin. Było to pewne: rozmiary śladów mieszkańca Martins Bay ojciec Alice kiedyś zmierzył, a rezultaty zapisano. Eksperci proponowali alternatywne wyjaśnienia, często komiczne (czapla? – dlaczego nie odleciała, gdy dziewczynka dotknęła ptaka?; pingwin? – bardzo szczególny, skoro według Alice umykał „wielkimi krokami"). Alice, a także Orbell, który po odkryciu takahe stał się bohaterem narodowym, widzieli tylko jedno wyjście. Megalapteryx didinus. Mały moa.



Rekonstrukcja polowania na ptaka moa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, TIMEFRAMES. NATLIB. GOVT.NZ., AUTOR: AUGUSTUS HAMILTON

Co jednak zrobić z opublikowaną w 1995 r. opowieścią Burra Osborna? Specjaliści wolą ją ignorować, prowadzi bowiem do kłopotliwych konkluzji. Wytrwały wilk morski zwięźle, ale wystarczająco opisał „monstrualnego ptaka", a także skonsumowane przy okazji „małe emeu, wielkości indyka". Przed wizytą we Fiordlandzie spędził sporo czasu w Australii i poznał dobrze tamtejsze nieloty emu; jest oczywiste, że opisywał tymi słowami istoty raczej podobne do strusi, nie kiwi. Obu ptaków, z których jeden jest długoszyi i krótkodzioby, a drugi długodzioby i krótkoszyi, nie potrafiłby zresztą pomylić nawet najbardziej nieudolny obserwator. Także „mały emeu" nie mógł być więc kiwi. Był niemal na pewno „strażakiem", zapewne Megalapteryx didinus. Ale „monstrualny ptak"? Jego waga – 500 funtów – to ni mniej, ni więcej 227 kg, podczas gdy ciężar emu rzadko przekracza 50 kg, a strusi afrykańskich – których jednak Osborn raczej nigdy nie oglądał – 100–150 kg. Owszem, śmiały żeglarz zapewne nie mógł precyzyjnie oszacować wagi swej zdobyczy. Jego statek zaopatrzony był jednak w urządzenia do podnoszenia na pokład upolowanych wielorybów, a także innych ładunków – w tym koni – i trudno, by pomylił istotę ważącą kilkaset kilogramów z ważącą kilkadziesiąt



JAKUB POLIT
„NIE MA JUŻ MOA. PTAKI, PAMIĘĆ HISTORYCZNA I NAJWIĘKSZA TAJEMNICA NOWEJ ZELANDII"
HISTORIA IAGELLONICA

czy zgoła kilkanaście. Absurdalne jest zresztą przekonanie, że dla pochwycenia ptaka ważącego kilkanaście kilogramów gromada marynarzy kopała dół głęboki na trzy i pół metra. Problem polega jednak nie na tym, czy Amerykanin precyzyjnie oszacował swego „emeu", ale na tym, że na świecie w ogóle brak ptaka o podanym przez niego ciężarze. Brak – dzisiaj. Wedle najbardziej wiarygodnych szacunków akurat 230 kg ważyć miały największe gatunki moa z rodzaju Dinornis. Jednym słowem, nieokrzesany łowca wielorybów utrzymywał, że znalazł tego rodzaju stworzenie w jedynym miejscu globu, gdzie kiedyś naprawdę ono żyło.

Osborn nawet nie podejrzewał, że widział moa. Tego słowa ani razu nie użył w swych zapiskach, przeznaczonych zresztą dla uciechy wnuków, nie publikacji. Zanotował tylko, że „wielki emeu jest obecnie niemal wymarły lub całkowicie wymarły", a wie to stąd, iż „krajowcy powiedzieli, że złapaliśmy jednego z ostatnich na wyspie". Jak bardzo „ostatnich?"

Przygoda Osborna miała miejsce w 1845 r. Rok wcześniej gubernator sir Robert FitzRoy rozmawiał w Wellington z sędziwym maoryskim wodzem o imieniu Haumatangi. Starzec utrzymywał, że jako nastolatek widział kpt. Cooka podczas jego drugiej wizyty w Aotearoa w 1773 r. Dodał, że mniej więcej w tym czasie oglądał ostatniego moa. Cook lądował wtedy na Wyspie Północnej, gdzie olbrzymie moa wybito najwcześniej; możliwe jednak, że opisywane przez wodza łowy odbyły się na pobliskiej Wyspie Południowej. Ofiarami włóczni paść musiały naprawdę pokaźne ptaki. Aby je opisać, dziarski wojownik podnosił ponad głowę ramię i zgiętą dłoń, mające naśladować szyję strusia.

Długie dogasanie

W 1866 r. inny krzepki starzec, Kawana Paipai, sławny jako weteran wojen maoryskich i były tohunga (szaman),



Szkielet ptaka moa *Dinornis robustus*. Poniżej głowa *Megalapteryxa didinusa* FOT. COMMONS WIKIMEDIA, YORKSHIRE MUSEUM, TE PAPA – MUSEUM OF NEW ZEALAND



złożył relację płynnie mówiącemu mową krajowców następcy FitzRoya, sir George'owi Greyowi. Opisał odbyte w młodości łowy na olbrzymie ptaki, a spotkawszy się z niedowierzaniem, oburzony poprowadził Brytyjczyków na miejsce zwieńczającej zwycięstwo uczty. Odnaleziono stosy kości i ziemne piece, które raczej nie mogły pochodzić sprzed kilkuset lat. Niemal dekadę później, w 1878 r., Grey złożył wizytę na Preservation Inlet we Fiordlandzie, gdzie rozmawiał z grupą Maorysów. Wojownicy obdarowali go prezentem w postaci papug i pingwina. Prócz tego, jak zapewnia spisywany na gorąco diariusz, „opowiedzieli o zabiciu małego moa, opisując z wielką werwą jego schwytanie po odłączeniu od liczącego sześć czy siedem sztuk stada".

Owe relacje – które większość sędziów uznałaby zapewne za wystarczające, gdyby szło o świadków w sprawach karnych – muszą więcej, niż podważać obiegową wśród biologów opinię, że moa wymarły w XV, a najwyżej w XVI w. Dogasanie wspomnianych przez Hochstettera ostatnich Mohikanów musiało trwać znacznie dłużej.

Dłużej, czyli jak długo? Aby spróbować odpowiedzieć na to pytanie, historyk musiałby zdjąć fartuch swego cechu. Odnotować można tylko – nie bez nieśmiałości – że w połowie lat 40. XX w. przemierzający lasy nad jeziorem Widgeon szwedzki eksplorator Jules Berg miał tam spotkać „grupę bardzo dużych ptaków z szyjami i korpusami rozmiarów łabędzi […] na bynajmniej niełabędziego kształtu nogach". Niemal w tymże czasie panna Lucy Evelyn Chell spoglądała na uciekającego przed nią nad rzeką Buller „najpiękniejszego ptaka, jakiego kiedykolwiek widziałam […], rozmiarów indyka z ogromnymi, grubymi nogami i długą szyją". W latach 50. George Brassel, szyper trawlera „Tawera", widział na brzegu Fiordlandu „wielkiego ptaka stojącego w pozycji wyprostowanej na odsłoniętym przez odpływ brzegu […]. Ja i załoga nie byliśmy wtedy zainteresowani takimi rzeczami i mniemałem, że wszystkie moa były bardzo wielkie. Potem często myślałem, że przegapiłem życiową szansę". W 1976 r. Vida Lucock z kilkorgiem towarzyszy natknęła się nad rzeką Karamea na wielkie ptaki „barwy błyszczącego cynamonowego brązu na grzbiecie, a z przodu czarne" o długich na pół metra szyjach. Cztery lata wcześniej podobne stworzenia widziano w tej okolicy z helikoptera. Wreszcie 18 stycznia 1993 r. były żołnierz SAS i himalaista William „Paddy" Freaney wraz z zaprzyjaźnioną parą ujrzał w Craigieburn Forest Park nad rzeką Harper strusiopodobne indywiduum o „brązowoczarnym, przypominającym włosy upierzeniu – nie mogę w to uwierzyć, ale to naprawdę wyglądało jak moa!".

„Paddy" zdołał wykonać szybkie zdjęcie, którym potem usiłował zainteresować ekspertów. Niewyraźna podobizna, owszem, zainteresowała, ale głównie tabloidy, brukowce i łowców sensacji. Ośmieszony Freaney zmarł 23 marca 2012 r., do końca usiłując bronić swego dobrego imienia i zaklinając się, że stanął oko w oko z moa. Do dziś jego relacja (oraz jego dwojga przyjaciół) jest obiektem drwin podobnych do tych, które w XIX w. wywoływały „ucieszne opowieści" Maorysów. A jednak…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4f31c2ab4



XX w. / Wojna z bolszewikami w literaturze

Wielki czyn i łza

Literaci, żołnierze Armii Ochotniczej FOT. NAC



Krzysztof Masłoń

Część polskich pisarzy w 1920 r. chwyciła nie tylko za pióro, lecz także za broń

Od Żeromskiego do Helaka – tak mógłby zatytułować swą książkę o piśmiennictwie polskim odnoszącym się do roku 1920 („Rok 1920 w literaturze polskiej. Zarys monograficzny") prof. Maciej Urbanowski. Ukazała się ona pięć lat temu, w 100. rocznicę Bitwy Warszawskiej, zaskakując chyba wszystkich, z autorem włącznie, rozmiarem pisarskich świadectw jej poświęconych. Wydawać się mógł bowiem rok 1920 wielkim nieobecnym tematem, ledwie tu i ówdzie wzmiankowanym przez poetów i prozaików. W porównaniu z literaturą o drugiej wojnie światowej – marginesowym. To, że takie było nasze odczucie, „zawdzięczamy" komunie, która wojnę z bolszewikami wyrugowała nie tylko z księgarń i bibliotek, lecz także ze świadomości narodowej. Tej wojny miało nie być, a jeśli już, to należało ją umniejszać i ukazywać w czarnych barwach.

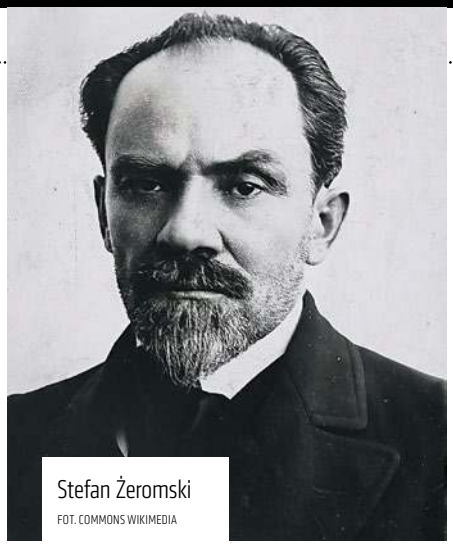
W efekcie zdarzały się takie kurioza jak skądinąd pod wieloma względami znakomita „Sława i chwała" Jarosława Iwaszkiewicza, gdzie jest mowa o jakiejś wojnie, tyle że nie wiadomo z kim. Polscy żołnierze dokonują za to pogromów, co mogłoby wskazywać, że w 1920 r. wojnę toczyliśmy z Żydami. Także Dąbrowska i Przyboś wobec wojny polsko-bolszewickiej przyjmowali postawę, powiedzmy, ambiwalentną.

Dostępu do literatury powstałej przed wojną (z wyjątkami w rodzaju „Przedwiośnia" Stefana Żeromskiego) nie było, do twórczości emigracyjnej – tym bardziej, rok 1920 starannie „gumkowano". Co zatem pozostawało? Otóż, co paradoksalne, świadectwa sowieckie, na czele z „Armią konną" Izaaka Babla – świetnego pisarza, tyle że w trakcie naszych zmagań z bolszewią korespondenta wojennego towarzyszącego kawalerii Budionnego. „Polskie wojsko w prozie Babla – pisze Maciej Urbanowski – to »paradny rząd mundurów i grzywy końskie przeplatane wstążkami«, »prześladowcy Żydów« albo jeńcy – mordowani i odzierani z ubrań".

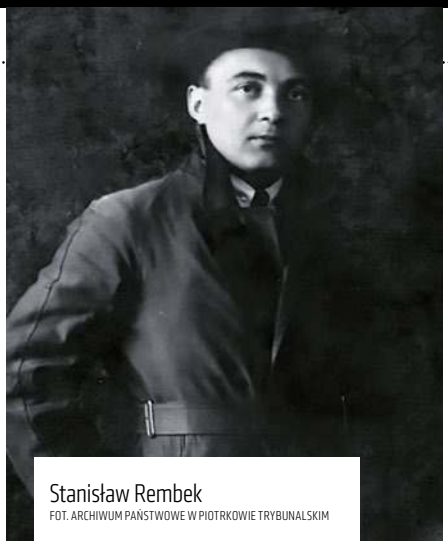
Nie kto inny, jak sam Józef Piłsudski pisał: „Zbliżała się do nas jazda Budionnego [...]. Z niedowierzaniem przyglądałem się metodzie użycia jazdy nieledwie na sposób nomadów, sposób przypominający mocno starodawne czasy, tak znane naszym praojcom, czasy najazdów tatarskich".

Po odwrocie bolszewików spod Warszawy księdza kanonika Mieczkowskiego w Wyszkowie odwiedził Stefan Żeromski. Było to kilka dni po tym, jak w tym probostwie urządził sobie tymczasowe lokum niedoszły rząd Polski bolszewickiej, czyli trzej panowie, z których dwóch nasz pisarz znał – Juliana Marchlewskiego i Feliksa Kona. Trzecim był Feliks Dzierżyński.

eprasa.pl f4f31c2ab4



Stefan Żeromski
FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Stanisław Rembek
FOT. ARCHIWUM PAŃSTWOWE W PIOTRKOWIE TRYBUNALSKIM

„Ci rodacy dla poparcia swej władzy przyprowadzili na nasze pola, na nasze nędzne miasteczka, na dwory i chałupy posiedzicieli, na miasta przywalone brudem i zdruzgotane tyloletnią wojną – obcą armię, masę złożoną z ludzi ciemnych, zgłodniałych, żądnych obłowienia się i sołdackiej rozpusty. W pierwszym dniu wolności, kiedyśmy po tak strasznie długiej niewoli ledwie głowy podnieśli, całą Moskwę na nas zwalili" (Stefan Żeromski, „Na probostwie w Wyszkowie").

W swoim krótkim opowiadaniu czy raczej reportażu oddał Stefan Żeromski sprawiedliwość tym, którzy wolność dla Polski wywalczyli: „Ta sama krew ofiarna i na zawsze dla nas święta, co wytrysła na polu bitwy pod Warszawą z serca bohatera narodu, księdza Skorupki, płynęła strugą z ran bezimiennych polskich żołnierzy [...]". Takich też jak bohaterski Sylwek z „Odznaki za wierną służbę" Andrzeja Struga, który był również autorem innej wybitnej powieści odnoszącej się do wojny polsko-bolszewickiej – „Pokolenie Marka Świdy".

Z polskiej perspektywy

Prawdopodobnie najświetniejszy obraz wojny 1920 r. przedstawił Stanisław Rembek nie tylko w swych sztandarowych dziełach – „Naganie" i „W polu" – lecz także w dzienniku, wydanym wiele lat po śmierci autora. Warto jednak pamiętać, że temu pisarzowi, wyklętemu po wojnie przez komunistów jako „piewca wojny, której nie było", przed wojną zarzucano sympatie... bolszewickie. Prawda, że prawem kaduka, ale w końcu publikował w „Robotniku" i już tego było dość, by np. Juliusz Kaden-Bandrowski miał autora „W polu" za czerwonego. Z samą powieścią „W polu" też są związane nieporozumienia. Wprawdzie Rembek otrzymał za nią nagrodę Kasy Literackiej, a do innej, ważniejszej nagrody – „Wiadomości Literackich", którą ostatecznie w 1938 r. dostał Jeremi Wasiutyński – zgłosiła „W polu" Maria Dąbrowska („Dał w przeżyciach jednej kompanii obraz wojny wręcz wstrząsający i bardzo serdecznie polecam go uwadze, sercu i myśli sędziów" – pisała, stawiając wyżej tę prozę niż głośne wówczas książki Remarque'a), niemniej powieść ta nie mogła zadowolić ani tych, którzy zwycięstwo w wojnie 1920 r. przypisywali wyłącznie geniuszowi wojskowemu Piłsudskiego, ani tych, którzy w zwycięstwie widzieli rękę opatrzności i wstawiennictwo Matki Boskiej za pośrednictwem ks. Skorupki.

Stanisław Rembek pokazywał wojnę, jaka była naprawdę. Krwawą, okrutną, niszczącą zarówno zwycięzców, jak i pokonanych. Nie znajdujemy w tej powieści nic romantycznego, jedynie rzetelny opis żołnierskiego znoju.

Także w opowiadaniach wydrukowanych w „Cygarze Churchilla", a mających swój pierwodruk w „Robotniku" natrafiamy na sceny i obrazy bliźniaczo podobne do tych z „W polu" i „Nagany". Był Rembek niezrównanym batalistą, godnym spadkobiercą sienkiewiczowskiej tradycji, a o wojnie 1920 r. pisał tak, jak jego kolega po piórze, odziany we wrogi mundur – Izaak Babel: bez złudzeń. Ale po polsku i z polskiej perspektywy.

Ranga pisarstwa Rembeka, wciąż – mimo podejmowanych wysiłków, takich jak edycja jego „Dzieł zebranych" – opornie przebija się do świadomości czytelniczej. Zbyt długo był pisarzem wyklętym, i to właśnie za rok 1920. Jego „W polu" wznowił mianowicie w 1958 r. w Paryżu Jerzy Giedroyc, jak najsłuszniej uważający tę powieść za najwybitniejszą książkę o wojnie polsko-bolszewickiej. Decydując się na ten krok, Rembek ryzykował dużo, zapłacił też osobiście wysoką cenę, a „W polu" nie wydano w kraju do końca komuny. Niemniej faktem pozostaje, że to on właśnie był pierwszym mieszkającym w PRL pisarzem, który odważył się opublikować swoją książkę w Maisons-Laffitte pod własnym nazwiskiem. Nie Andrzejewski („Apelacja"), nie Orłoś („Cudowna melina"), a właśnie on.

Cudzy groch

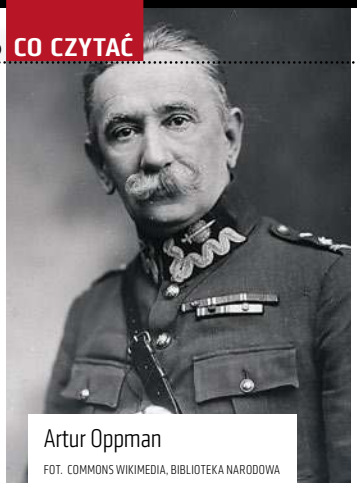
Stanisław Rembek był jednym z tych polskich pisarzy, którzy w 1920 r. chwycili nie tylko za pióro, lecz także za broń. Najgłośniejszy był przypadek Artura Oppmana. Zaciągnął się do piechoty jako szeregowiec w wieku 53 lat. Innych zaawansowanych wiekiem, jak 43-letniego wtedy Karola Huberta Rostworowskiego, delegowano do koszar i szpitali, działali też oczywiście w wojskowej propagandzie. Na niczym spełzły plany wroga liczącego na to, że „proletariat" zwróci się przeciw „burżuazji i obszarnikom". Zwrócił się, rzeczywiście, ale przeciw odwiecznemu nieprzyjacielowi. Może nie działo się to tak gładko jak w „Płomieniu na śniegu" Heleny Zakrzewskiej, ale podobnie: „Z warsztatu pana Piotra zniknął najpierw niepokaźny Onuferko, który mimo karty inwalidzkiej jako jeden z pierwszych zgłosił się do szeregów. Za nim poszedł Ignacy, opłakany rzewnie przez narzeczoną. Wreszcie pewnego dnia usiadł przy żonie sam pan majster i podkręcając buńczucznie wąsa, jął jej tłumaczyć, że takich jak on, cywilów, wymusztrować mają oficerowie na tęgich, nieustraszonych żołnierzy.

– Bój się Boga, pięćdziesiąt masz lat na karku i wojaczki ci się zachciało – rozpłakała się kobieta.

– Co tam lata! Sił mam dużo, żeby Polski bronić! [...] Dziś każdy, kto ma choć trochę sumienia, za karabin chwyta i do wojaczki idzie".

Czy wszyscy mieli sumienie? Niekoniecznie, na co wskazywał Stefan

eprasa.pl f4f31c2ab4



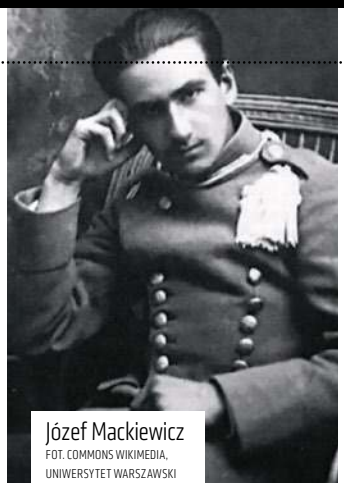
Artur Oppman

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTEKA NARODOWA



Władysław Broniewski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE



Józef Mackiewicz

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, UNIWERSYTET WARSZAWSKI



Eugeniusz Małaczewski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTEKA NARODOWA

Żeromski w „Przedwiośniu" – choćby w scenie, w której Cezary Baryka, w trakcie wojny z bolszewikami, gdy wrogie wojska „minęły już spalone miasteczka i docierały niemal do przedmieść Warszawy", któregoś dnia wszedł do kawiarni, „aby napić się wody sodowej. Stoliki były pozajmowane. Obsiedli je panowie i obsiadły panie, przeważnie semickiego pochodzenia. Była to plutokracja miasta Warszawy, która nie poszła śladem najgrubszych w tym zawodzie, nie dała jak tamci drapaka gdzie pieprz rośnie, lecz pozostała na miejscu. Panowie ci nie rozmawiali już po cichu o tym, co się dzieje. Mówili głośno, może nawet odrobineczkę za głośno – po prostu z krzykiem. Spierali się – już tylko pomiędzy sobą – o to, jak też zachowywać się będą po wkroczeniu do Warszawy owi nieznani tu jeszcze bolszewicy. Jedni z tych panów przewidywali, że wszystko będzie dobrze, ułoży się, da się zrobić i ta afera. Dlaczego nie ma się dać zrobić".

A co prości ludzie, co ludek warszawski miał w tej kwestii do powiedzenia? On głosował masowym, ochotniczym wstępowaniem do wojska, a potem – po zwycięskiej Bitwie Warszawskiej, patrząc na kolumny wziętych do niewoli krasnoarmiejców – mógł mówić tak, jak pewna jejmość z przedmieścia sportretowana w „Przedwiośniu": „Żarłbyś jeden z drugim własne guziki od portek, żebyś je tak miał, jak nie masz, kałmuku z krzywymi ślepiami! Boś nawet jeszcze do noszenia portek nie doszedł. Kiszki ci się skręcają, boś cztery dni w gębie nic nie miał. Dobrze ci tak, świnio nieskrobana! Nie chodź w cudzy groch, bo to nie twój, świński ryju, tylko cudzy. Rozumiesz mię, jeden z drugim?".

Wojsko Polskie złożone było z jednej strony z wiarusów, weteranów frontu zachodniego i wschodniego, ale reszta to – jak pisał Melchior Wańkowicz w „Strzępach epopei" – „chłopaczki, zgarnięte po świecie jak się dało, różnego gatunku i różnej wagi – »ochotnicy«. »Powstańcy« – określili ich żołnierze. Przezwisko miało być pogardliwe, drwiące, miało oznaczać wojaka, co jeśli nie z pierzyną, to w każdym razie z termosem rusza w pole. »Powstaniec« – mówił żołnierz fachowiec o żołnierzu amatorze. A przecież w ciągu tygodnia miały napłynąć coraz gęstsze masy owych »powstańców«. I w okamgnieniu znikło przezwisko. Stał się głęboki przełom. Cała armia stała się inna jakaś – powstańcza".

Patałachy dwugroszowe

Niektórzy z pisarzy walczących w 1920 r. zostali odznaczeni za bohaterstwo. Virtuti Militari, jak również czterokrotnie (!) przyznany Krzyż Walecznych otrzymał Władysław Broniewski. Swoje żołnierskie credo zapisał w pamiętniku już 19 grudnia 1918 r.: „Jestem żołnierzem Komendanta Piłsudskiego. Osoba jego daje mi gwarancje, że będę użyty dla dobra ojczyzny i idei demokratycznej". Raczej nie śniło mu się jeszcze, że będzie komunizował. „Nie mogę jakoś przekonać się do naszych esdeków i lewicy – bardziej może skłaniam się ku frakcji, ale tu znów boję się żyrondy... Trzeba tu ręki Komendanta" – dochodził do wniosku.

Wojenne przeżycia i przemyślenia znajdą w jego poezji wyraz dopiero w tomie „Wiatraki" (1925), z tak ważnymi wierszami jak „Młodość" czy „Soldat inconnu". Wcześniej, w wojsku, pisał zabawne żołnierskie wierszyki, m.in. „Śpiewki dziadowskie o mizerii wileńskiej", „Bajeczkę pana Jachowicza o niegrzecznym Antosiu" – dla występującego w Wilnie teatru polowego. Tam też powstały „Opowiadania sierżanta Gwoździa", wyraźnie nawiązujące do gawęd kaprala Szczapy autorstwa Karola Lilienfelda-Krzewskiego.

W dni majowe 1926 r. Władysław Broniewski założył stary, legionowy mundur i poszedł walczyć z bronią w ręku...

„Był dziwakiem – po wielu latach, już po śmierci poety w 1962 r., pisał o nim Marek Hłasko – kapitan Legionów, kawaler Orderu Virtuti Militari, był dumny, że zdobył ten order, walcząc przeciw bolszewikom, którym kłaniał się czapką do ziemi".

W literaturze niższych lotów dominowała tonacja panegiryczna, niestroniąca od martyrologii. Stosunkowo często ujmowano też wojnę 1920 r. w stylu czytanek szkolnych. I tak anonimowy wierszokleta traktował wojnę polsko-bolszewicką w stylu, dziś powiedzielibyśmy, komiksowym:

Nad Wkrą strzały, a znad Wieprza
Polski bagnet błysnął
Zapamiętaj bolszewiku
Co to Cud nad Wisłą!

Wzorcowym dziełem kontynuującym tego rodzaju historiozofię był „Mały Piłsudczyk" Tadeusza Michała Nittmana, dwukrotnie – w latach 1935 i 1939 – wydany nakładem Głównej Księgarni Wojskowej.

Bohaterowie książki, 14-letni bliźniacy: Jędrek i Kazik, z opowieści matki i ojca, krewnych i przyjaciół rodziny, z lekcji szkolnych, pierwszych lektur i wycieczek czerpali wiedzę o najnowszej historii Polski, którą wyraźnie byli zafascynowani. Oto, jak ich zdaniem w ogóle doszło do wojny z bolszewikami:

„[...] dowiedział ci się nasz Komendant, że bolszewiki planują generalny na nas atak. By ich uprzedzić, a równocześnie

eprasa.pl f4f31c2ab4

wyzwolić spod Moskala Ukrainę i utworzyć z niej niezależne państwo, jak to zrobiliśmy z maleńką Łotwą, przerwał front moskiewski wiosną 1920 r. i ruszył z pułkami swymi na wschód. Pobił na łeb »czerwonych« i zajął Kijów, jak owi piastowscy królowie: Chrobry, Śmiały, Krzywousty […]. Ale sił miał za mało, by te obszary ogromne w ryzach utrzymać […]".

W jednej z najlepszych powieści o wojnie z bolszewikami, którą jest „Lewa wolna" Józefa Mackiewicza, nie brakuje bolesnych konstatacji. Ludzie wychodzą z tej wojny – pisał prof. Włodzimierz Bolecki – „okaleczeni, ich losy są potrzaskane, skrzywione, najczęściej przerwane. A historia, której oddali swe życie, dzieje się najczęściej tak, jakby ich w ogóle nie było. Straszny rachunek. Ale powieść Mackiewicza nie jest utworem pacyfistycznym. Wręcz przeciwnie – mimo okrucieństw, które przedstawia, jest opowieścią o sensie walki zbrojnej w imię nadrzędnych, ogólnoludzkich racji. A zarazem jest gorzką refleksją, że to, co ogólnoludzkie, bywa w historii pochłaniane przez to, co partykularne".

„Bardzo istotne w prowadzeniu akcji tej powieści – akcentował z kolei Jacek Trznadel – są rozmowy polskich ułanów, silących się na tromtadrację lub udających cynizm, a kryjących przede wszystkim strach. Te codzienne dialogi nie mówią o sensie walki, wynika z nich, że szczytny cel osiąga się poprzez koszmar i śmierć. Szczegóły wojny i walki są u Mackiewicza pozbawione efektów, opisane po prostu, jak na przykład w »Lewej wolnej« śmierć braci Wintowtów, walczących zresztą po przeciwnych stronach".

Okrucieństwo wojny akcentowali, poza autorami „czytanek wojennych", wszyscy poważniejsi pisarze. Wśród nich niezwykle uzdolniony, zmarły niestety w wieku 25 lat Eugeniusz Małaczewski, twórca „Konia na wzgórzu". To w tym opowiadaniu ukazuje obdartego ze skóry żywego konia, symbolizującego to, co pozostało z przejścia przez polskie ziemie tych współczesnych Hunów, w których wcielili się bolszewicy.

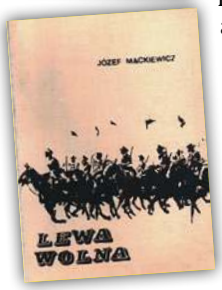
Tamta wojna, jak każda, wyzwalała to, co najgorsze, nie tylko w najeźdźcach. W „Szpitalu w Cichiniczach" Melchior Wańkowicz oddaje głos polskiej pielęgniarce, relacjonującej zachowanie się miejscowej ludności po wejściu czerwonych: „[…] Oprócz bolszewików, cały tłum chłopów ze wsi, bab i dzieci, kręci się po pokoju i rabuje. Wszystkie nasze walizki już zostały opróżnione. Skórzane porozcinano nożami, drewniane kolbami rozbito, wszystkie rzeczy wyrzucono na podłogę, która cała jest usłana najprzeróżniejszymi przedmiotami. Baby o niesamowitych, zwierzęcych pyskach bobrują po wszystkich zakątkach, rwąc, ciągnąc, tłamsząc łupy. Część z nich przy tym płacze i lituje się nad nami. Jedna zwłaszcza, potężna baba, chlipie rozdzierająco, pociąga przeraźliwie nosem, coraz przypada do ręki którejś z nas z jękiem. »A biedniekije«… i łapczywie szarpie nowe przedmioty do fartucha, związanego jak płachta, który spęczniał już w istotny tobół […]. To nie bandyci ani mściciele. Ot – szakale".

W obronie Dobrego Boga

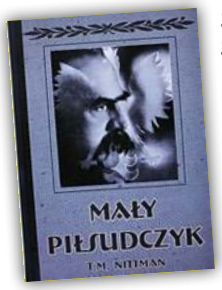
Po 1989 r., gdy zniknęły problemy z cenzurą, wznowione zostały zakazane wcześniej książki, jak „Najwyższy lot" Ferdynanda Ossendowskiego. Do czytelników dotarł wreszcie na szerszą skalę – choć nie taką, jakiej można się było spodziewać – Józef Mackiewicz, ukazały się dzienniki Rembeka i listy Rostworowskiego. Wojna roku 1920 pojawiła się w co najmniej kilkunastu powieściach, będąc czasem punktem wyjścia do zaprezentowania popularnej ostatnimi laty historii alternatywnej. Taka była m.in. „Jedna przegrana bitwa" Marcina Wolskiego. Warto także wspomnieć w tym miejscu o obszernej powieści Sławomira Goworzyckiego „Tamtego lata. Zatajona historia Polaków".













Jednak wysoki poziom artystyczny wśród współczesnych autorów, którzy zmierzyli się z tematem wojny polsko-bolszewickiej, osiągnął jedynie Wiesław Helak, jeden z najwybitniejszych prozaików polskich. W powieści „Nad Zbruczem" ukazuje – zdaniem prof. Urbanowskiego – starcie ładu z dzikością. Ale nie jest to proste przeciwstawienie białego i czarnego; mamy również do czynienia z ciemną stroną wojny. „Szczególnie ważny – pisze autor »Roku 1920 w literaturze polskiej« – wydaje się fragment, w którym ułani ścigający (już po Bitwie Warszawskiej) bolszewików widzą setki porzuconych przez nich koni, rannych, umierających od ran i z głodu. To ewidentna ewokacja scen znanych z Żeromskiego i – zwłaszcza – Małaczewskiego, symbol okrucieństwa bolszewizmu i wojny jako takiej. Kostek okazuje wtedy »słabość«, bo każe napoić i nakarmić konie, wstrzymując pościg. Ów widok skłoni go też do refleksji teologicznej: »On nie jest Bogiem robaków […]. I koni On rozhukanych nie kiełzna«. Zacytuje też »Beniowskiego« Słowackiego: »Wielki czyn go ubłaga, nie łza«. Raz jeszcze wojna 1920 r. nabiera sensu religijnego – jest starciem ze Złem i w obronie Dobra, a raczej Dobrego Boga. Jest to wojna romantyczna i zarazem wojna tragiczna. Duchowy literacki patronat sprawują nad nią Krasiński i Słowacki.

Tak wyglądałby dzisiaj wygłos roku 1920 w literaturze polskiej: powrót do paradygmatu romantycznego i chrześcijańskiego, a także katastroficznego, bo mówiącego o wojnie sprzed 100 lat jako doświadczeniu końca, kryzysu, nawet katastrofy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4f31c2ab4



Jan Matejko, „Dziewica Orleańska"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Książka miesiąca / Joanna d'Arc i delfin Francji

Pewna dziewica z Wogezów

Obok książek tej autorki nie można przejść obojętnie. Niewielu było historyków, którzy o średniowieczu pisali tak pięknie, a jednocześnie z tak wielkim znawstwem, jak Régine Pernoud. Jej prace są kolejnym dowodem, jak wspaniałą epoką były wieki średnie, niesłusznie i krzywdząco określane – bywa, że jeszcze i dziś – jako „wieki ciemne".

Książka o Joannie d'Arc powstała wiele lat temu, lecz dopiero teraz ukazała się na naszym rynku wydawniczym, w przekładzie Piotra Tylusa. Jest to rozszerzona praca dzięki Marie-Véronique Clin, współautorce.

„Więcej jest w was" – tę średniowieczną dewizę, przytoczoną we wstępie, można uznać za motto książki; wspaniale oddaje ducha ludzi późnego średniowiecza. Choć żyli codziennymi obowiązkami, to każde swoje zajęcie rozpatrywali przez pryzmat zbawienia. Należy to dobrze zrozumieć: mieszkańcy Europy sprzed 500 i więcej lat nie byli bezmyślnymi dewotami. Ich duchowość była czymś głębokim i prawdziwie przeżywanym, co często trudno pojąć ludziom żyjącym w dzisiejszym zlaicyzowanym świecie.

Duchową atmosferę tamtych czasów doskonale uchwyciły autorki, kreśląc historyczny kontekst epoki, w której żyła Joanna. To ważne, aby zrozumieć wydarzenie, wydawałoby się, nieprawdopodobne. W kluczowym momencie ciągnącego się od dekad konfliktu między Anglią i Francją – jego stawką stało się w istocie przetrwanie tego drugiego państwa – w obozie delfina Francji pojawia się nieznana nikomu wieśniaczka, żądająca widzenia z nim, następcą tronu. „Powiadają, że pewna dziewica przybyła do miasta Gien i ruszyła dalej na spotkanie ze szlachetnym delfinem, by przerwać oblężenie Orleanu i poprowadzić delfina do Reims, aby tam przyjął sakrę królewską".

Czy ludzie niemający wielkiej wiary w Boga, w to, że ktoś może być przez niego posłany, aby spełnić jego wolę, dopuściliby biedną dziewczynę na królewski dwór? Tymczasem Joanna, która nazywała siebie po prostu Dziewicą (La Pucelle), stanęła przed delfinem i oświadczyła mu, że czym prędzej ma ruszyć do Reims, gdzie od czasów Chlodwiga koronowani są francuscy królowie. Nic to, że na drodze stoją tysiące angielskich żołnierzy, a Francuzi bez powodzenia walczą z wrogiem. Siedemnastoletnia Joanna, dzięki pomocy Bożej opatrzności, mając u boku doświadczonych dowódców, będzie w stanie poprowadzić do zwycięskiego boju francuskie oddziały.

Ten czyn i wiara Francuzów w to, że młoda wieśniaczka jest prawdziwie Bożym posłańcem, nie miałyby również miejsca, gdyby nie – jak piszą autorki – głęboko zakorzenione przekonanie ówczesnych Francuzów, że wojna, którą toczą z Anglikami, jest wojną sprawiedliwą.

Dzieło to jest wyjątkowe z wielu powodów. Jednym z nich jest to, że Pernoud i Clin nie tylko wiele miejsca poświęciły tym bardziej znanym, pełnym chwały chwilom Joanny, odnoszącej zwycięstwa na polu bitwy, lecz także skupiły się na jej uwięzieniu oraz procesie. Jak piszą autorki, Joannę uznać można za jednego z pierwszych więźniów politycznych. Ogromnie ciekawa jest ponadto lektura zawartych w aneksie listów autorstwa Joanny d'Arc. Są one dowodem, że natchnienie i Boża pomoc naprawdę jej towarzyszyły. Jak bowiem inaczej można wytłumaczyć jej mądrość i wiedzę, o którą trudno posądzić niewykształconą młodą dziewczynę z małej wioski u stóp Wogezów? ©℗

Anna Szczepańska



RÉGINE PERNOUD, MARIE-VÉRONIQUE CLIN „JOANNA D'ARC"
ANDEGAVENUM

eprasa.pl f4f31c2ab4

Więcej niż żołnierz

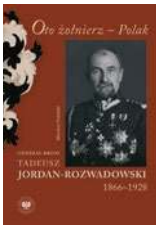
Wybitne zdolności gen. Tadeusza Jordana-Rozwadowskiego jako dowódcy artylerii sprawiły, że był porównywany do gen. Józefa Bema, a umiejętności strategiczne stawiały go w jednym szeregu z gen. Ignacym Prądzyńskim. Rozwadowski był wybitnym wojskowym i jednym z najbardziej wszechstronnych wyższych dowódców dwudziestolecia międzywojennego. Niestety, choć odegrał ogromnie ważną rolę w czasie wojny Polski z Rosją bolszewicką, pełniąc w krytycznym momencie – latem 1920 r. – funkcję szefa Sztabu Generalnego, to jego postać wciąż nie jest dobrze znana. I zbyt rzadko jego nazwisko jest wymieniane, gdy mowa o Bitwie Warszawskiej. Pięknie wydana książka album, autorstwa Mariusza Patelskiego, jest odpowiedzią na potrzebę poszerzenia wiedzy o generale i służy przywracaniu pamięci o nim.

Autor nie koncentruje się jednak ani przede wszystkim na wojnie z bolszewicką Rosją, ani też na okolicznościach śmierci generała, która nastąpiła niewiele ponad rok po jego zwolnieniu z więzienia, do którego trafił po przewrocie majowym. Wciąż nie są one jasne.

Patelski przedstawia sylwetkę „żołnierza i Polaka" – jak głosi tytuł – z różnych perspektyw.

W książce ciekawie opisany został mało znany epizod z życia przyszłego generała – pobyt na placówce dyplomatycznej w Rumunii jako austriackiego attaché wojskowego. Rozwadowski dał się poznać nie tylko jako utalentowany wojskowy, którego rad chętnie słuchano, lecz także jako zapalony myśliwy oraz bywalec salonów; małżonkowie Rozwadowscy przyjaźnili się m.in. z przyszłym królem Rumunii, Ferdynandem I.

Autor przytacza wiele ciekawych informacji. Dowiadujemy się zatem, że Rozwadowski udzielał się w przedsięwzięciach, które dziś określilibyśmy jako promujące ochronę praw zwierząt. Był wynalazcą nowego rodzaju pocisku, którego używała c.k. armia w czasie I wojny światowej. Pisał prace z zakresu sztuki wojennej. Przyjaźnił się z wieloma artystami, np. Jackiem Malczewskim, Lucjanem Rydlem, Wojciechem Kossakiem. Rozwadowski był nie tylko wojskowym, lecz także wszechstronnie utalentowanym człowiekiem o szerokich horyzontach i wielu zainteresowaniach. Jego szlachetny charakter budził sympatię i szacunek wszystkich, którzy stykali się z nim na co dzień. ©℗ ***Anna Szczepańska***



MARIUSZ PATELSKI
„OTO ŻOŁNIERZ – POLAK. GENERAŁ BRONI TADEUSZ JORDAN-ROZWADOWSKI 1866–1928"
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Sarmackie plotki

Doskonały znawca dziejów naszej husarii tym razem bierze się za historię Rzeczypospolitej Obojga Narodów od nieco mniej poważnej strony. A momentami wręcz od zupełnie niepoważnej, ale to jest właśnie cały urok tej książki. Tyle już u nas napisano o największych wiktoriach szlacheckiej Polski, o jej systemie politycznym i intrygach magnaterii... A przecież Rzeczpospolita żyła też zupełnie błahymi tematami, które jednak fascynowały „zwykłych" ludzi. Choćby „Panna Urszula służebna" – była w końcu kochanką Zygmunta III Wazy czy nie była? ©℗ ***p.w.***



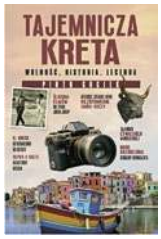
RADOSŁAW SIKORA
„RZECZPOSPOLITA NA NOWO ODKRYTA. GABINET OSOBLIWOŚCI", T. 1
ZONA ZERO



BEATA SŁAMA
„PLANETA HALA. OPOWIEŚCI Z HALI GĄSIENICOWEJ"
CZARNE

ZAGINIONE TATRY

Nostalgiczna i bardzo szczera podróż do Tatr, które już nie istnieją. Do czasów, gdy górami nie rządziła komercja. Autorka opowiada o życiu na Hali Gąsienicowej, gdzie spędziła kilka lat. Od podszewki zna świat gór i ludzi gór. Wspomina dawne zwyczaje i porównuje je z dzisiejszymi. Jak zmieniły się Tatry? Jak na nie reagujemy? Czy bardziej chcemy w górach być czy je „zdobywać"? ©℗ ***a.s.***



PIOTR GOCIEK
„TAJEMNICZA KRETA. WOLNOŚĆ, HISTORIA, LEGENDA"
FRONDA

NIEROZDEPTANE ŚCIEŻKI

Kreta to znacznie więcej niż królewski pałac w Knossos. Autor poznał wyspę jak mało kto, schodząc z utartych szlaków. Dzięki temu pokazuje miejsca, których próżno szukać w zwykłych przewodnikach. Najważniejszym informacjom o wyspie towarzyszą ciekawe obserwacje i przemyślenia autora, który pokazuje także, jak Kreta zmieniała się przez lata. ©℗ ***a.s.***



PRACA ZBIOROWA
„JAK ZDOBYWALIŚMY POMORZE. MROCZNE HISTORIE Z »ZIEM ODZYSKANYCH«"
REBIS

POMORSKI CHAOS

Grono reportażystów wzięło na warsztat kawałek „Polskiego Dzikiego Zachodu". Pokazane są wszystkie perspektywy, również niemiecka. Dużo mocnych historii pokazuje, że określenie „Polski Dziki Zachód" pasuje jak ulał. Choć można mówić też o „Pomorskiej Wolnej Amerykance". Tam wszystko mogło się wydarzyć, szczególnie jeżeli w okolicy stacjonowali sołdaci. ©℗ ***p.w.***

eprasa.pl f4f31c2ab4

/ Felieton



Rafał A. Ziemkiewicz

Bezpowrotnie

utracona Solidarność

Co się stało z największym zwycięstwem Polaków w XX w.? Co się stało z Sierpniem ’80 i z Solidarnością? Moje pokolenie, jak pokolenie Mickiewicza, „jedną tylko taką wiosnę miało w życiu” i dziś, 45 lat po niej, wciąż ciężko mu uwierzyć, że wszystko rozwiało się „jak sen jaki złoty”.

Orły, kosy, szable, godła,
pany, chłopy, chłopy, pany:
cały świat zaczarowany,
wszystko była maska podła:
chłopy, pany, pany, chłopy,
szable, godła, herby, kosy […]
wszystko była podła maska
farbiona – jak do obrazka.

To Gospodarz z „Wesela”. Przepraszam za te wszystkie polonistyczne skojarzenia, ale Solidarność była, jak dziś sądzę, projektem literackim właśnie, a nie politycznym. Właściwie nawet nie projektem. Była snem – i to snem o cudzie. „Jeden tylko, jeden cud – z szlachtą polską polski lud!”. Cud się zdarzył, tak przynajmniej sądziliśmy, ale potrwał krótko. W końcu, jak to podsumował Jan Krzysztof Kelus, „nie można wiecznie żyć w teatrze”.

W marzeniach była „Polska Solidarna”, w praktyce wyszła „Polska Samoobronna”, gdzie „nieważne, czyje co je, ważne to je, co je moje”. Sięgam dla jej opisania po nazwę, która pojawiła się wraz z Leppe-rem, ale to bynajmniej nie jego irredenta zniszczyła marzenie o wspólnocie Polaków, która w imię narodowej solidarności przekroczy klasowe i grupowe interesy. Ona była tylko logicznym skutkiem tego, co nastąpiło o wiele wcześniej. Dzięki stanowi wojennemu dowieziono marzenia jako tako do Okrągłego Stołu,

> W marzeniach była „Polska Solidarna”, w praktyce wyszła „Polska Samoobronna”, **gdzie „nieważne, czyje co je, ważne to je, co je moje”**

ale później „obóz solidarnościowy” stanął przed problemem zagospodarowania wolności i natychmiast okazało się, że „polska szlachta” umie z „polskim ludem” postępować tylko w jeden sposób: sztorcować go, pouczać i kształtować według swoich wyobrażeń. A lud musi się z wdzięcznością podporządkować i jeszcze podziwiać, ile jaśnie państwo dla niego robią, bo sam przecież, bez ich światłego przewodnictwa, zagubiłby się jak dziecko we mgle.

Z punktu widzenia ekonomii można się spierać po latach o reformy Sachsa/Balcerowicza, z punktu widzenia socjologii zawsze pozostaną one przykładem nieokiełznanej pychy inteligenckiej elity, która, choć en masse sama z tego całego „monetaryzmu” rozumiała piąte przez dziesiąte, uznała za oczywiste, że wszystko wie lepiej i przeprowadzi „ciemną masę” przez transformację ustrojową, o nic jej nie pytając i niczego nie tłumacząc. A kiedy „ciemna masa” zaczęła protestować, utwierdziło to tylko jaśnie oświeconych, że to ciemna masa właśnie, nie żaden lud, tylko „nastawieni roszczeniowo” (bo chcieli mieć pracę i zarabiać na godziwe utrzymanie siebie i swoich rodzin) „starsi, gorzej wykształceni i z prowincji”, którzy „nie poradzili sobie na wolnym rynku” i powinni „wymrzeć jak dinozaury” – w miarę możliwości szybko, bo robią elitom obciach przed światem. Wystarczyło pół roku, parę miesięcy, żeby bronowicka miłość do „ludu” zamieniła się w nienawiść i pogardę, które duszą Polskę do dziś.

Co z tą historią zrobić? Wierzyć, że następnym razem, że kiedyś…? A może raczej stuknąć się w głowę, że życie to nie poemat, że zamiast w nieskończoność śnić sny wielkich romantycznych poetów, trzeba wreszcie zacząć myśleć po endecku, w kategoriach zbiorowych interesów, namacalnych konkretów i socjalnych prawidłowości, szukając praktycznych rozwiązań i kompromisów na gruncie przyziemnej codzienności? ©℗

eprasa.pl f4f31c2ab4

/ Felieton



Piotr Semka

Niedola Janusza Kłosińskiego

Wkraczam już w wiek, gdy coraz częściej zdarza mi się czytać teksty młodych dziennikarzy opisujące osobiście znane mi czasy z pozycji kogoś, kto urodził się wiele lat później. I zawsze pojawia się wtedy dysonans poznawczy. Dobrze pamiętam tamtą epokę i konfrontując moje wspomnienia ze sposobem, w jaki młodszy autor opisuje dany temat, wyłapuję nieznajomość ówczesnych realiów. Jak reagować na takie sytuacje?

Sam pamiętam z młodości, że narzekanie starszych osób, iż film wojenny roi się od nietrafionych obserwacji psychologicznych, raczej mnie nużyło, niż zaciekawiało. Dzisiaj jednak lepiej rozumiem ten sposób myślenia. Starsi ludzie nie chcą po prostu, by ich doświadczenia były ignorowane przez tych, którzy opisują świetnie znane im czasy. Przykład? Oto zaglądam na stronę Radia Zet, która roi się od małych tekścików o najsłynniejszych aktorach Polski Ludowej. Jedna z dziennikarek zajęła się postacią słynnego niegdyś aktora Janusza Kłosińskiego i już sam tytuł oddaje jej stosunek do bohatera tekstu: „Był legendą PRL, ale wymierzono mu straszną karę. »To śmierć za życia«". Autorka pisze: „Janusz Kłosiński przez dekady cieszył się popularnością, o jakiej wielu jego kolegów z branży mogło tylko pomarzyć. Grał w dziesiątkach produkcji, zwykle w drugoplanowych, ale bardzo charakterystycznych rolach. Widzowie zapamiętali go m.in. jako Czernousowa w serialu »Czterej pancerni i pies« oraz zbójnika Kuśmidra z »Janosika«".

Jak relacjonuje autorka, Janusz Kłosiński był wieloletnim członkiem PZPR i entuzjastycznym zwolennikiem władzy ludowej. Jednocześnie zaznacza, że choć wielu widzom i aktorom nie podobała się ta pozaartystyczna działalność Kłosińskiego, to jednak z racji filmowej popularności żywili do niego ogromny szacunek. Nagle jednak autorka wyraża ubolewanie w związku ze zmianą tego nastawienia. Jak pisze z emfazą: „Stosunek publiczności do aktora zmienił się jednak diametralnie na początku kolejnej dekady [lata 80. – przyp. P.S.]. Wystarczyło jedno zdanie, by Kłosiński stracił wszystko, na co pracował latami, i stał się jedną z najbardziej znienawidzonych polskich gwiazd [...]. W grudniu 1981 roku, na oczach milionów widzów, podziękował generałowi Wojciechowi Jaruzelskiemu za wprowadzenie stanu wojennego i wyprowadzenie wojska na ulice".

Z lektury tekstu można odnieść wrażenie, że autorka obrusza się na bezwzględność ówczesnych widzów. Zapomina jednak opowiedzieć o kontekście. Bardzo wielu aktorów, rezygnując z ról w reżimowych telewizji i radiu, pozbawiło się sporej części dochodów. A przecież bardzo trudno jest odzwyczaić się od dostatniego życia w imię przyłączenia się do bojkotu o charakterze czysto ideowym. I „zwykli ludzie" o takich sprawach wiedzieli. Pamiętam, jak wówczas z ust do ust przekazywano sobie opowieści, że Tomasz Hopfer, znany gwiazdor TVP, został taksówkarzem. Gdy pasażerowie rozpoznawali w prowadzącym pojazd niegdysiejszego gospodarza Telewizyjnego Studia 2, poruszeni tą poniewierką płacili podwójne lub potrójne stawki za kurs, aby tylko pomóc ofierze stanu wojennego.

Przypomina to nam, że w PRL aktorzy odgrywali role sumienia narodu. I jeżeli potrafili zademonstrować solidarność z dążeniami większości Polaków, to byli wynoszeni pod niebiosa. Jeżeli jednak zdradzali społeczeństwo, to furia widzów bywała, na zasadzie symetrii, nieposkromiona. I właśnie dlatego Janusz Kłosiński był wyklaskiwany przez widownię swojego macierzystego Teatru Narodowego w Warszawie. Tego samego teatru, w którym pełnił funkcję sekretarza komitetu zakładowego PZPR.

Owszem, wieczór 29 stycznia 1982 r., gdy parokrotnie próbował rozpocząć swoją kwestię w trakcie przedstawienia „Wesela" Wyspiańskiego, z dzisiejszej perspektywy jawi się brutalnie. Ale zapominamy, że ci sami widzowie żyli na co dzień w bardzo brutalnej rzeczywistości wykreowanej przez komunistyczną dyktaturę – od bicia zatrzymanych na komisariatach, poprzez wyrzucanie z pracy za wierność ideałom Solidarności, aż do zmuszania ludzi do emigracji. Niedola aktora, który stał się zwolennikiem Jaruzelskiego, nikogo wtedy nie wzruszała. Co więcej, bojkot Kłosińskiego wydawał się stosunkowo umiarkowaną demonstracją dezaprobaty wobec tego, co aktor wyczyniał w przestrzeni publicznej. I tego wątku zabrakło mi w opowieści przedstawionej na portalu Radia Zet. ©℗

eprasa.pl f4f31c2ab4

Druga wojna światowa / Od Moskwy do Normandii



PzKpfw VI Tiger dywizji „Das Reich" na froncie wschodnim, 1943 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

Czarna „Rzesza"



Arkadiusz Karbowiak

Dywizja „Das Reich" należała obok „Leibstandarte SS Adolf Hitler", „Wikinga" czy „Totenkopfu" do grona elitarnych jednostek Waffen-SS

To, że inwazja na ZSRS nie będzie „spacerkiem", dało się zauważyć w szeregach dywizji „Das Reich" od samego początku wojny z Sowietami. Zmianę, po stosunkowo łatwym zwycięstwie nad Francją, szybko dostrzegali żołnierze z oddziału dywizyjnej artylerii, którzy zwarli się z czerwonoarmistami na wschód od Mohylewa. SS-Oberscharführer Heid Ruhl wspominał: „Zewsząd dał się słyszeć mrożący krew w żyłach ryk »Uraaaa!«, po którym spadł na nas grad pocisków z broni ręcznej... Dała o sobie znać nasza żelazna dyscyplina; opłaciła się intensywność szkolenia i niekończące się ćwiczenia. Nie trzeba nam było rozkazów. Niczym plujący ogniem jeż szybko przystąpiliśmy do akcji, stawiając ciężką zaporę z ognia i rzucając granaty, jak prawdziwi weterani piechoty".

Najbardziej zacięte walki miały miejsce pod Jelnią, niecałe 100 km na wschód od Smoleńska. Atak pułków „Deutschland" i „Der Führer" na okalające miasto wzgórza zaczął się 22 lipca 1941 r. Esesmańską jednostkę wspierały czołgi 10. Dywizji Pancernej. Dzień później Sowieci wycofali się ze swoich pozycji, ale od 26 lipca do połowy sierpnia prowadzili zmasowane kontrataki. Zaciętość toczonych zmagań dobrze obrazuje niemiecki meldunek: „Po ciężkiej walce obronnej na północno-wschodnim odcinku frontu pod Jelnią grupa Förstera z 1. kompanii batalionu motocyklowego dywizji »Das Reich«, która miała zadanie ubezpieczać lewą flankę kompanii, została odnaleziona jak niżej: dowódca grupy SS-Uscharf Förster, z ręką na zawleczce zapalnika ostatniego granatu ręcznego – strzał w głowę. Pierwszy strzelec karabinu maszynowego, SS-Rottenführer Klaiber, karabin maszynowy jeszcze zaciągnięty na ramię i jeden nabój w lufie – strzał w głowę. Drugi strzelec SS-Sturmann Buschner, trzeci strzelec – SS--Sturmann Schyma – martwi w dołkach strzeleckich, karabin na stanowisku. Łącznik, SS-Sturmann Oldeborshuis, martwy przy swoim motocyklu z ręką na kierownicy, poległ w chwili, kiedy miał przekazać meldunek. Kierowca, SS-Sturmann Schwenk, martwy w swoim dołku strzeleckim. Jeśli chodzi o nieprzyjaciela, to widziano tylko martwych, leżących półkolem wokół stanowiska, w odległości rzutu granatem ręcznym".

„Das Reich" pod Jelnią wzięła do niewoli 3070 jeńców, zniszczyła 77 czołgów, 5 dział przeciwpancernych i 19 samolotów. 8 sierpnia 1941 r. dywizję wycofano na tyły, by odpoczęła. Do tego momentu zginęło na wschodzie 553 żołnierzy jednostki. Po odpoczynku na esesma-

eprasa.pl f4f31c2ab4

nów czekało niezwykle trudne zadanie. Dywizja „Reich" jako jedyna jednostka SS została skierowana do natarcia na Moskwę.

Doświadczenie Felixa Steinera

Geneza powstania tej jednostki sięga roku 1934, gdy rozpoczął się proces tworzenia SS-Verfügungstruppe (SS-VT), czyli Oddziałów Dyspozycyjnych SS. Właśnie wtedy w Monachium rozpoczął służbę 1. Pułk SS „Deutschland", a w Hamburgu 2. Pułk SS „Germania". Cztery lata później, w marcu 1938 r., po Anschlussie, w Wiedniu powołano do życia 3. Regiment „Der Führer". Ten ostatni jako jedyny spośród wyżej wymienionych nie wziął udziału w inwazji na Polskę. Pułk „Deutschland", w przeciwieństwie do „Leibstandarte SS Adolf Hitler" (LSSAH), nie występował jako autonomiczna samodzielna jednostka, ale uczestniczył w kampanii wrześniowej w składzie eksperymentalnej Dywizji Pancernej Kempf (dywizja brała udział w ataku na Polskę od strony Prus Wschodnich w ramach Grupy Armii „Północ") dowodzonej przez gen. Wernera Kempfa.

W sumie kampania w Polsce kosztowała pułk 100 zabitych żołnierzy, w tym pięciu oficerów. Jednak w przeciwieństwie do bardzo krytycznych ocen formułowanych przez dowódców Heer (wojsk lądowych) w pierwszych dniach września wobec LSSAH regiment „Deutschland" cieszył się dużym uznaniem wehrmachtowskich generałów. Być może wpływ na to miały lepsze wyszkolenie, a także dowodzenie posiadającego duże doświadczenie wyniesione z poprzedniej wojny SS-Standartenführera Felixa Steinera.

W październiku 1939 r. z trzech niezależnych pułków („Germania", „Deutschland" i „Der Führer") utworzono SS-Verfügungsdivision. Na jej czele stanął SS-Gruppenführer Paul Hausser i to on poprowadził ją do walki podczas kampanii na zachodzie w maju i czerwcu 1940 r. Na szpicy 207. Dywizji Piechoty znajdowali się nieposiadający żadnego doświadczenia bojowego żołnierze z pułku „Der Führer". Pomimo tego poradzili sobie całkiem nieźle, opanowując przyczółek na zachodnim brzegu rzeki Ijssel i zajmując miasteczko Westervoort. Drugiego dnia operacji ruszyli do szturmu na bronioną pozycję obronną, tzw. Linię Grebbe. W wybity przez nich wyłom wlały się następnie jednostki Wehrmachtu z 18. Armii.



SS-Verfügungstruppe na zjeździe NSDAP w 1935 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION

Znacznie większy stopień trudności przedstawiało zdobycie wyspy Werchelen. Aby to uczynić, konieczne było zajęcie tamy łączącej wyspę z półwyspem Bevelend. Do realizacji tego zadania dowódca dywizji skierował bataliony I i III z regimentu „Deutschland". Sukces natarcia na tamę doprowadził do wycofania się z wyspy jednostek armii holenderskiej. Paul Schurmann z 9. kompanii III batalionu tak wspominał tamte krwawe zmagania: „Widzę, jak pada jeden żołnierz… Potem dwóch po prawej, a potem następny towarzysz, który leży twarzą do ziemi. Niektórzy zębami zrywają opatrunki osobiste, by zabandażować pogruchotane ramiona i torsy".

Podobną determinacją jak w Holandii esesmani wykazali się podczas zmagań we Francji. Pięciu oficerów (Georg Keppler, Felix Steiner, Franz Witt, Fritz Vogt i Ludwig Kepplinger) otrzymało Krzyże Rycerskie. Staną się one swoistym dywizyjnym wyznacznikiem, ponieważ z 38, dywizji Waffen-SS to właśnie żołnierzom „Das Reich" przyznano ich najwięcej – aż 73.



SS-Obergruppenführer Paul Hausser FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

Wybita kompania

Zakończenie działań zbrojnych na Zachodzie zapoczątkowało zmiany strukturalne w jednostkach wojskowych SS, które przyjęły nazwę Waffen-SS, czyli Siły Zbrojne SS. Omawianej dywizji nadano w grudniu 1940 r. nazwę „Deutschland", a następnie „Reich". Na bazie jednego z jej dawnych pułków („Germanii") zaczęto budować nowy związek taktyczny, a mianowicie dywizję „Wiking". W kwietniu 1941 r. Dywizja SS „Reich" wyruszyła na podbój Jugosławii i Grecji, realizując plan „Fall Marita". Po raz kolejny esesmani mieli okazję pokazać nie tylko znakomite umiejętności bojowe, lecz także nieprawdopodobną brawurę.

Tego ostatniego określenia należy użyć w odniesieniu do akcji dowódcy 2. kompanii batalionu motocyklowego SS-Hauptsturmführera Fritza Klingenberga. Dowodzony przez niego 10-osobowy patrol przeprawił się zarekwirowaną łodzią motorową przez Dunaj, po czym wkroczył do jugosłowiańskiej stolicy. W Belgradzie esesmani udali się do gmachu niemieckiej ambasady, gdzie oczekiwali na przybycie wezwanego burmistrza. Po przybyciu do ambasady włodarz stolicy, będąc przekonany, że do Belgradu weszły główne siły niemieckie (w rzeczywistości pojawiły się one w mieście późnym wieczorem), poddał miasto. Klingenberg za swój zuchwały wyczyn został odznaczony Krzyżem Rycerskim.

Opór stawiany przez armie grecką, brytyjską czy jugosłowiańską na Bałkanach nie był zbyt intensywny, dlatego kampanię bałkańską trudno uznać za specjalnie wymagającą dla żołnierzy dywizji. Zupełnie inaczej wyglądała sprawa udziału w operacji „Barbarossa", czyli kampanii skierowanej przeciwko ZSRS. Sowieci byli zdecydowanie trudniejszym przeciwnikiem, o czym esesmani mieli okazję przekonać się w trakcie kolejnych krwawych zmagań. Dywizję SS „Reich"

eprasa.pl f4f31c2ab4



Walter Krüger, Heinrich Himmler i Paul Hausser pod Charkowem, 1943 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

przydzielono do Grupy Armii „Środek", a konkretnie do XXIV Korpusu Zmotoryzowanego. Jej żołnierze weszli do walki 28 czerwca. Latem 1941 r. „Reich" brała udział we wspomnianych na początku ciężkich walkach pod Jelnią.

W czasie realizacji operacji „Tajfun", czyli ataku na Moskwę, 14 października został ciężko ranny w twarz dowódca dywizji SS-Gruppenführer Paul Hausser. Jednostkę przejął wówczas SS-Brigadeführer Wilhelm Bittrich. Jego esesmanom udało się 2 grudnia 1941 r. zająć miejscowość Lenino, odległą od Moskwy o 16 km. Cztery dni później dywizja stanęła w obliczu sowieckiej kontrofensywy, która wypchnęła esesmanów spod stolicy ZSRS w okolice Rżewa, gdzie odpierali zacięte szturmy sowieckie, próbując nie dopuścić do wyrwania się otoczonych jednostek Armii Czerwonej. Podczas walk wybita została do nogi 10. kompania, a ostatni jej żołnierz, SS-Rottenführer Wagner, zmarł, składając meldunek o przedarciu się sił wroga przez linie niemieckie.

Skalę niemieckich strat obrazuje scena, gdy dowódca 9. Armii gen. Walter Model powiedział przybyłemu dowódcy pułku „Der Führer", że zdaje sobie sprawę z tego, przez co przeszli esesmani, ale nie może ich zluzować. W odpowiedzi usłyszał, że wszyscy żołnierze pułku są do dyspozycji generała. Tyle tylko, że było ich... 35.

Tygrysy w akcji

Wiosną 1942 r. dywizja trafiła do Francji w celu reorganizacji. Doszło tam do zmiany nazwy jednostki na dywizję zmotoryzowaną „Das Reich", przekształconą następnie w listopadzie w Dywizję Grenadierów Pancernych SS „Das Reich". Nowym dowódcą jednostki został SS-Gruppenführer Georg Keppler, ale po tym, jak podczas walk o Charków w lutym 1943 r. dostał wylewu, zastąpił go SS-Gruppenführer Walter Krüger. Przybyła zimą 1943 r. na front wschodni dywizja otrzymała nowe wyposażenie. Na stanach jednostki pojawiły się po raz pierwszy słynne czołgi PzKpfw VI Tiger. 8. kompania czołgów ciężkich w ciągu trzech letnich miesięcy 1943 r. mogła się poszczycić zniszczeniem 160 sowieckich czołgów przy utracie zaledwie sześciu własnych.

„Das Reich" włączona została w skład II Korpusu Pancernego SS, na którego czele stanął były dowódca dywizji Paul Hausser. Korpus odniósł spektakularne zwycięstwo w marcu 1943 r., odbijając Charków. Sukcesy na polu walki miały jednak swoją cenę. W okresie od 30 stycznia do 20 marca 1943 r. dywizja „Das Reich" straciła 102 oficerów oraz 4396 żołnierzy i podoficerów. W lipcu 1943 r. jednostka została zaangażowana do operacji „Cytadela", znanej też jako bitwa na łuku kurskim. „Das Reich" znajdowała się na prawym skrzydle dywizji LSSAH. Jej przeciwnikiem był sowiecki II Gwardyjski Korpus Pancerny. W drugim dniu operacji esesmani zwarli się z czerwonoarmistami między miejscowościami Kalino i Tetrewino, wdzierając się na 10 km w głąb sowieckiej obrony. Dzień później 20 czołgów sowieckich, atakując pozycje dywizyjne, przerwało je i tylko pomoc batalionu Dywizji Grenadierów Pancernych „Totenkopf" umożliwiła zamknięcie powstałej wyrwy. Aby unikać takich niespodzianek, dowódca pułku „Der Führer" powołał do życia komórkę podsłuchującą rozmowy sowieckich dowódców dywizji i korpusów. Wiedza o ich irytacji i wzajemnych oskarżeniach skłoniła Niemców do przeprowadzenia nocnego ataku. Przyniósł on sukces w postaci wzięcia do niewoli dowództwa jednej z sowieckich brygad.

Istotnym elementem militarnych zmagań pod Kurskiem była bitwa pancerna pod Prochorowką. Dywizję „Das Reich" atakowało 120 czołgów z dwóch sowieckich korpusów pancernych. Duża liczba uszkodzonych maszyn spowodowała, że do odpierania bolszewickich szturmów użyto kilkunastu zdobycznych sowieckich czołgów T-34, obsadzonych esesmańskimi załogami. Co ciekawe,



Żołnierze dywizji „Das Reich" podczas bitwy pod Kurskiem, 1943 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV



Generał Dwight Eisenhover przy zniszczonym tygrysie królewskim pod Chambois, 1944 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ACME NEWS PHOTOS

pomimo skupienia olbrzymich sił pancernych po obu stronach bezpowrotne starty dywizji wyniosły w okresie od 5 do 17 lipca zaledwie osiem czołgów i jedno działo pancerne StuG III. Dywizja zniszczyła natomiast 448 sowieckich czołgów i dział pancernych. Najwięcej (24 czołgi) zniszczył PzKpfw IV o numerze bocznym 621. Po przerwaniu operacji „Cytadela" dywizję przeniesiono nad rzekę Mius, gdzie toczyła dalsze walki z Armią Czerwoną.

W kwietniu 1944 r. wycofano ją z frontu wschodniego do Francji w celu uzupełnienia przetrzebionych szeregów. Jeszcze w ZSRS nowym dowódcą dywizji został SS-Brigadeführer Heinz Lammerding. Po lądowaniu aliantów w Normandii dywizji przydzielono zadanie oczyszczenia z maquis (francuskiego ruchu oporu) obszaru leżącego pomiędzy Tulle a Limognes. 7 czerwca 1944 r. 400-osobowy oddział komunistycznej FTP (Francs-Tireurs et Partisans) zaatakował miasto Tulle. Siły GMR (Groupes Mobiles de Réserve) i MF (Milice Française) porozumiały się z atakującymi i opuściły miasto. Do walki stanął 289-osobowy III batalion (8. i 13. kompania) z 75. Pułku Bezpieczeństwa. Formacje okupacyjne rozlokowano w miejscowej fabryce amunicji, na dworcu oraz École Normale (szkole nauczycielskiej). Tę ostatnią placówkę partyzanci podpalili. Próbujących się wydostać z budynku 56 Niemców zabito. Jedną Francuzkę i 46 wziętych do niewoli w Tulle wehrmachtowców rozstrzelano w lesie pod Meymac, a dziewięciu jeńców z SD i Sipo zabito na cmentarzu.

Gdy wieczorem 8 czerwca 1944 r. do Tulle wkroczył batalion rozpoznawczy pod wodzą SS-Sturmbannführera Heinricha Wulfa z 2. SS-Panzer Division „Das Reich" i natknął się na zwłoki rodaków zabitych strzałami z bliska, zapadła decyzja o dokonaniu egzekucji odwetowej, na co zgodził się zapewne dowódca dywizji. Dzień później, po przeprowadzonej przy udziale m.in. funkcjonariusza SD Waltera Schmalda selekcji, powieszono 99 mieszkańców miasta, z których tylko jeden należał do ruchu oporu (zamierzano powiesić 120 zakładników). Resztę, czyli 311 mieszkańców Tulle oraz 600 osób z Chantiers de la jeunesse française (organizacja młodzieżowa powołana przez rząd Vichy), przewieziono do Limoges, skąd ostatecznie 149 z nich deportowano do KL Dachau. Podróży i pobytu w obozie nie przeżyło 101 osób.

Śmierć w kościele

Tulle nie było jedynym miejscem, gdzie żołnierze dywizji „Das Reich" dokonali masakry cywilów. Z uwagi na skalę znacznie bardziej znana jest zbrodnia w Oradour-sur-Glane. Jej przyczyną było uprowadzenie przez komunistycznych maquis dowódcy III batalionu pułku „Der Führer" SS-Sturmbannführera Helmuta Kämpfego, który został następnie zamordowany (według jednej wersji został zastrzelony, a według innej – spalony żywcem). Gdy o uprowadzeniu dowiedział się jego kolega SS-Sturmbannführer Adolf Otto Diekmann, dowódca I batalionu tego samego pułku, nakazał pacyfikację wsi Oradour-sur-Glane.

10 czerwca 1944 r. esesmani z 3. kompanii SS-Hauptsturmführera Ottona Kahna wymordowali 643 osoby. Mężczyzn rozstrzelano w stodołach, które potem podpalono, natomiast kobiety i dzieci zamknięto w kościele. Po nieudanej próbie wysadzenia go w powietrze przebywających wewnątrz ludzi obrzucono granatami, ostrzelano i podpalono.

Poza mordowaniem cywilów i zwalczaniem partyzantki dywizja „Das Reich" brała udział we Francji również w walkach frontowych. Przeciwnikami esesmanów byli m.in. Polacy z 1. Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka. Żołnierze „Das Reich" wybili pod Falaise korytarz w polskich pozycjach, przez który wydostało się z kotła 20 tys. niemieckich żołnierzy (wśród nich ranny Paul Hausser).

Dywizja w późniejszym okresie brała udział w ofensywie w Ardenach (grudzień 1944 r.), w walkach nad w Balatonem (marzec 1945 r.) oraz w bojach w Austrii (kwiecień 1945 r.). Ostatnim akordem działań tej jednostki było skierowanie dowodzonego przez SS-Obersturmbannführera Ottona Weidingera pułku „Der Führer" do ogarniętej powstaniem Pragi. Miała to być „misja humanitarna". 7 maja 1945 r. pułk natarł na praski most Trojski. Ostatecznie dzięki zawartemu 8 maja porozumieniu oddział Weidingera, zabierając ze sobą zagrożonych czeskim odwetem niemieckich cywilów i rannych żołnierzy, opuścił Pragę w kolumnie liczącej 1 tys. ciężarówek i skierował się na Pilzno. 9 maja esesmani poddali się w Rokycanach żołnierzom US Army.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Kościół w Oradour-sur-Glane, miejsce niemieckiej zbrodni dokonanej przez żołnierzy dywizji „Das Reich" w 1944 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DNA-DENNIS

eprasa.pl f4f31c2ab4



Renault FT ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego jest jedynym oryginalnym pojazdem tego typu prezentowanym w polskich muzeach

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Renault FT przeciwko bolszewikom



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Chociaż roli francuskiego czołgu w wojnie z Rosją bolszewicką nie należy przeceniać, to warto pamiętać o kilku taktycznych sukcesach odniesionych dzięki jego wsparciu

Wojna ta, toczona w latach 1919–1920, zupełnie nie przypominała gigantycznych zmagań toczonych na Zachodzie w latach 1914–1918. Cechowała się nie tylko nieporównanie większą dynamiką i zaangażowaniem kawalerii, lecz także dużo mniejszym nasyceniem technicznymi środkami bojowymi (artyleria, lotnictwo, broń pancerna). Jednak i tutaj znalazły zastosowanie konstrukcje, które właśnie rewolucjonizowały sposób prowadzenia walki. Należał do nich Renault FT.

Nowa jakość

Kolejne odmiany alianckich czołgów, sukcesywnie wprowadzane od 1916 r. na pola bitew frontu zachodniego, miały kilka wspólnych wad: fatalne właściwości manewrowe, skomplikowaną budowę oraz zbyt dużą masę. Z tego powodu nie były w stanie zapewnić dostatecznego wsparcia piechocie, która zazwyczaj poruszała się znacznie szybciej, a do tego ponosiły koszmarne straty – zarówno bojowe, jak i marszowe (awarie).

Nowo projektowany pojazd, którego budowę zlecono słynnemu konstruktorowi samochodów, Louisowi Renaultowi, w niczym nie przypominał mastodontycznych angielskich marków i francuskich saint-chamond. Jego ideę wyłożył gen. Frédéric-Georges Herr, autor dzieła „Artyleria. Czym była, czym jest, czym być musi" (1924): „[...] artyleria towarzysząca powinna być opancerzona w stosunku do pocisku karabinu maszynowego oraz posiadać ciąg mechaniczny. Ażeby mogła wszędzie przejść, układ silnikowy powinien być osadzony na gąsienicy, a nie na kołach. Pancerz powinien być lekki, pod względem grubości mało się różniący od tarcz ochronnych obecnego działa polowego. Waga całego sprzętu, ciągnika i działa, nie powinna przekraczać 4 ton, aby można go było przewozić na zwykłych samochodach ciężarowych, będących w użyciu w wojsku, a przez to zachować ruchliwość strategiczną podobną do ruchliwości strategicznej oddziałów, którym musi towarzyszyć we wszystkich ich przesunięciach". I taki był właśnie lekki czołg (Char Leger) Renault FT.

Seryjna produkcja ruszyła w 1917 r. Niespełna siedmiotonowy Renault wyróżniał się zgrabną sylwetką, a jego uzbrojenie umieszczono w obrotowej wieży, zapewniając tym samym 360-stopniowe pole ostrzału. Pancerz zbudowano ze stalowych płyt przymocowanych do szkieletu z kątowników i zapewniających odporność na ostrzał broni strzeleckiej. Uzbrojenie stanowił karabin maszynowy Hotchkiss kal. 8 mm lub działko Puteaux kal. 37 mm o szybkostrzelności teoretycznej 10 strzałów na minutę. W plutonie znajdowały się trzy czołgi z armatami i dwa z kaemami. Gaźnikowy, czterocylindrowy, chłodzony

eprasa.pl f4f31c2ab4



Renault FT w Mińsku Mazowieckim w trakcie Bitwy Warszawskiej, sierpień 1920 r. FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

cieczą silnik o mocy 39 KM umieszczono z tyłu kadłuba, z przodu znajdował się przedział bojowy dla załogi składającej się z kierowcy i dowódcy-strzelca. Do środka wchodziło się przez dwa włazy (z przodu kadłuba i w tyle wieży). Zawieszenie zbudowano z czterech wózków jezdnych (po obu stronach) połączonych wzdłużną belką amortyzowaną piórowym resorem. Koła napędowe znajdowały się z tyłu, natomiast duże koła napinające umieszczono z przodu, co wpłynęło na lepsze właściwości trakcyjne w trudnym terenie.

Układ konstrukcyjny Renault FT do dziś uznaje się za klasyczny. Aby poprawić jeszcze zdolność do pokonywania rowów i okopów, z tyłu kadłuba przymocowano stalowy „ogon". Czołg miał długość 4,10 m bez ogona i wysokość ponad 2 m, zabierał 100 l paliwa, które pozwalało na pokonanie dystansu 60 km; prędkość maksymalna wynosiła 7,7 km/h. Renault FT okazał się doskonałym środkiem neutralizującym gniazda nieprzyjacielskiej broni maszynowej i wydatnie wspomagał atakującą piechotę podczas przełamywania kolejnych linii transzei znajdujących się już poza zasięgiem własnej artylerii. We Francji stał się ikoną schyłkowego okresu wojny i symbolem końca piekła okopów. Zyskał zaszczytne miano czołgu zwycięstwa (char de la victoire).

Z ziemi francuskiej do Polski

Początki polskiej broni pancernej związane są z organizowaną we Francji tzw. Błękitną Armią gen. Józefa Hallera. W marcu 1919 r. utworzono w jej składzie 1. Pułk Czołgów wyposażony w Renault FT. Jednostkę, tworzoną na bazie francuskiego 505. Pułku Artylerii Specjalnej (505 Régiment d'Artillerie Spéciale), w czerwcu przerzucono do Polski. Pułk liczył 841 oficerów i żołnierzy (w tym 388 Francuzów) oraz 120 renault FT zorganizowanych w pięć kompanii po 24 wozy każda. Były to 72 czołgi z armatą i 48 uzbrojonych w kaem. Do tego dochodził park motorowy sekcji transportowej, w tym kilkadziesiąt samochodów osobowych, półciężarowych i ciężarowych, a także ciągniki, motocykle oraz sekcja reperacyjna (specjalistyczne warsztaty).

Chrztem bojowym polskich FT był udział w walkach o Bobrujsk w sierpniu 1919 r. Jedna z kompanii wspierała pułki wielkopolskie w udanym ataku na miasto. Czołgi przełamały kilka linii transzei i zneutralizowały wiele gniazd karabinów maszynowych, wzbudzając popłoch wśród czerwonoarmistów. Do walki rzucano je zazwyczaj w sile plutonu/kompanii, zawsze w charakterze wsparcia piechoty. Decentralizację oddziałów pancernych oraz ich pomocniczą rolę względem broni głównych uwypuklono w instrukcji: „Ścisłe współdziałanie czołgów z piechotą wymaga podporządkowania oddziałów czołgów d-ctwu piechoty na czas walki […]. Zasadniczo przydziela się jednemu bataljonowi piechoty jeden pluton czołgów [pięć pojazdów – przyp. M.M]. Można jednakowoż przydzielić także i dwa plutony, o ile tego wymaga sytuacja bojowa" („Instrukcja użycia czołgów", Warszawa 1920).

Efektywnemu wykorzystaniu maszyn nie sprzyjał jednak charakter prowadzonych walk. Czołgi opracowano na potrzeby wojny statycznej dla wspierania piechoty w przełamywaniu rozbudowanych umocnień polowych. Mała prędkość i niewielki promień działania istotnie ograniczały możliwości użycia pojazdów w wybitnie manewrowej wojnie przeciwko Rosji. Kolejną barierę stanowiła kiepska łączność, uniemożliwiająca w zasadzie koordynację działań powyżej szczebla plutonu. Pomimo tego Renault FT należał wówczas do najnowocześniejszych broni Wojska Polskiego, zauważalnie zwiększając jego potencjał bojowy. W wielu wypadkach rzucone do walki czołgi decydowały o lokalnych sukcesach taktycznych. Czołgi Renault wzięły m.in. udział w bardzo ciężkich walkach odwrotowych na Białorusi i Ukrainie, dzielnie poczynały sobie na Podlasiu i w obronie Łomży. Największe zgrupowanie pancerne wykorzystano jednak podczas Bitwy Warszawskiej. „Renówki" ścierały się z oddziałami Armii Czerwonej w Radzyminie i w Mińsku Mazowieckim. Pod Mławą stoczyły bój z kawalerzystami słynnego 3. Korpusu Konnego Gaj-Chana. W czasie wojny z bolszewikami stracono osiem maszyn.

Muzealny rodzynek

Renault FT pozostał na uzbrojeniu WP do wybuchu drugiej wojny światowej. W 1939 r. w działaniach bojowych udział wzięły trzy samodzielne kompanie FT; pozostałe pojazdy osadzono na specjalnych drezynach i włączono w skład dywizjonów pociągów pancernych. Sylwetka „renówki" utrwalona została w polskiej świadomości dzięki słynnej fotografii ukazującej Bramę Litewską Twierdzy Brzeskiej tuż po jej zdobyciu przez Niemców we wrześniu 1939 r. Wrota zatarasowano kilkoma renault FT, które w końcu lat 30. bardziej nadawały się do budowy barykad niźli służby w polu.

W 2012 r., dzięki zaangażowaniu władz RP, udało się sprowadzić do kraju oryginalny egzemplarz Renault FT z Afganistanu. Był to jeden z kilku pojazdów sprzedanych w latach 20. ubiegłego wieku przez Francuzów królewskiej armii afgańskiej. Zabytek wymagał żmudnego remontu oraz uzupełnienia wielu elementów. Dzięki współpracy Muzeum Wojska Polskiego z Zakładami Mechanicznymi Bumar-Łabędy udało się przywrócić mu blask, a czołg symbolizujący początki polskiej broni pancernej stanowi dziś chlubę muzealnej kolekcji broni ciężkiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4f31c2ab4



Tango na ulicy w Buenos Aires.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MANTICORA 87

Wiek XVIII–XXI / Od polki do pogo

Technika tańca



Tymoteusz Pawłowski

Taniec towarzyski to nie tylko gracja i wdzięk – to przede wszystkim technika. I to właśnie dzięki postępowi technicznemu zmieniają się gatunki taneczne, od walca do plądrofonii. Gusta i guściki mają tu drugorzędne znaczenie

Historię tańca można porównać do dziejów bielizny: oba tematy są powszechnie znane, dość niepoważne, a co najważniejsze – słabo udokumentowane. Badanie historii tańca jest o tyle trudne, że jest to sztuka dynamiczna, a dynamikę trudno uchwycić statycznymi technikami dokumentacyjnymi. Współczesna notacja muzyczna wykształciła się dopiero w XVII w. i mniej więcej w tym samym czasie popularne stały się traktaty o tańcu z rozrysowanymi krokami, ale wciąż wiele faktów można interpretować różnorako. Tak jest chociażby z polką, która pochodzi albo z Czech, albo z Polski, a być może nawet z terenów dzisiejszej Białorusi.

Jeszcze w XVIII-wiecznej Europie istniał wyraźny podział. Zawodowcy w balecie i operze tańczyli bardzo akrobatycznie, starając się zaimponować techniką lub zbulwersować skąpymi strojami. Arystokracja na balach preferowała tańce chodzone, takie jak menuet czy polonez, co wynikało m.in. z zasad ubierania się. Szczególnie męskie stroje były bardzo sztywne, ponieważ arystokraci często służyli w armii, a mundur nie służy przecież do tańca. Przedstawiciele niższych klas tańczyli bezwstydnie, obejmując się rękami i wykonując gwałtowne ruchy: nie tylko obowiązywały inne zasady elegancji, lecz także stroje były mniej formalne.

Wszystko zmienił walc, austriacki taniec ludowy, nieśmiało wkraczający na salony pod koniec XVIII w. Prawdziwą furorę zrobił podczas balów towarzyszących kongresowi wiedeńskiemu w 1814 r., powszechnie jednak uchodził za nieprzyzwoity: pozbawieni czujnego nadzoru młodzi mogli się nawet przytulać do siebie! Jeszcze więcej swobody dawała polka, spopularyzowana w latach 40. XIX w., która do końca tego stulecia pozostawała najpopularniejszym tańcem nie tylko w Europie, lecz także w Ameryce.

Era przemysłowa...

Wiek XIX przyniósł wiele zmian technicznych, które przeobraziły oblicze tańca. Kobiety zaczęły nosić majtki, co sprawiło, że ich ruchy mogły być bardziej zdecydowane. Stąd też popularny stał się kankan, z figurami takimi jak szpagat czy wyrzut nogi do góry (w niektórych spelunkach kobiety – a początkowo był to taniec męski – tańczyły kankana bez odpowiedniej bielizny, zapewniając widzom dodatkowe atrakcje). Pojawiły się nowe instrumenty muzyczne, pozwalające grać bardziej zróżnicowaną muzykę. Wreszcie w ostatniej dekadzie tamtego stulecia zaczęto sprzedawać gramofony i nagrywać płyty: teraz każdy mógł słuchać, czego chciał, a popularność tańców nie zależała od autorów oper i operetek, tylko od firm nagraniowych i gustu słuchaczy.

Tango zawdzięcza swój sukces właśnie postępowi technicznemu i wynalazkom. Bardzo ważne były oceaniczne parowce umożliwiające dostanie się na antypody, do Buenos Aires i Montevideo. Równie ważny był akordeon – a dokładniej jego wersja zwana bandoneonem – pozwalający grać odpowiednią muzykę.

eprasa.pl f4f31c2ab4



Korneli Szlegel „Polonez pod gołym niebem”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Istotne były też płyty gramofonowe, pozwalające wyeksportować tę muzykę do Europy. Choć akurat tam się nie spodobała – przynajmniej oficjalnie. Gdy w 1911 r. zaprezentowano tango w Paryżu, uznano, że jest przesycone erotyzmem, nieprzyzwoite, wprost wyuzdane. I faktycznie takie było: wywodziło się przecież z portowych domów publicznych, tancerze byli wprost ze sobą spleceni, a egzotyczne rytmy – muzyka była połączeniem elementów europejskich z amerykańskimi i afrykańskimi – wywoływały niepokój. Co więcej, był to pierwszy taniec, w którym nie było ustalonych kroków, bo wszystko zależało od mężczyzny. To, co nie podobało się moralistom, podobało się wszystkim innym: w przededniu pierwszej z wojen światowych tango było najpopularniejszym tańcem na świecie.

Jego kariera nie trwała jednak długo. Pierwsza wojna światowa nie tylko zmieniła mapę świata, lecz także panujące na nim zasady. Kobiety zyskały prawo głosu i chciały równouprawnienia również w tańcu, czego tango nie zapewniało. Zmieniły się również stroje: sztywne gorsety zostały zastąpione przez biustonosze, a sukienki znacznie straciły na długości. Teraz kobiety mogły się chwalić swoimi nogami, więc nic dziwnego, że najpopularniejszym tańcem lat 20. XX w. był amerykański charleston, w którym nie tylko machano łydkami, nie tylko wykonywano kopnięcia, lecz także – co budziło zgorszenie starszych – rozchylano kolana.

Charlestona tańczono do – nowej wówczas – muzyki jazzowej. Jego popularność trwała i w kolejnym dziesięcioleciu dzięki rozpowszechnieniu się radia i pojawieniu się filmów dźwiękowych. Można było w nich oglądać nie tylko charlestona, lecz także inne tańce jazzowe, m.in. jitterbuga znanego dziś jako lindy hop, jive’a czy lambethwalka. Ten ostatni został prawdziwym hitem tuż przed wybuchem drugiej z wojen światowych i towarzyszył w jej trakcie alianckim żołnierzom.

… i elektryczna

Druga wojna światowa zmieniła równie dużo co pierwsza – przynajmniej



Josephine Baker tańczy charlestona
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZDJĘCIE STANISŁAWA OSTROROGA (WALEREGO)

w muzyce tanecznej. Muzycy big-bandów grających jazz zostali powołani do wojska, a gdy wojna się skończyła, okazało się, że nie mają do czego wracać. Nowe zespoły muzyczne były mniejsze i korzystały z nowych instrumentów: basów i gitar elektrycznych czy organów Hammonda. Nowe instrumentarium zmieniło muzykę: w latach 50. pojawił się rock and roll, czyli rodzaj tańca nakazujący – dosłownie – „kołysanie i obracanie”, który dał nazwę gatunkowi muzycznemu.

Gdy Presley, Beatlesi i Zeppelini grali rocka, który coraz mniej nadawał się do tańczenia, inspiracja ponownie przyszła z Ameryki Łacińskiej. Chociaż brazylijska samba i kubańska rumba były znane jeszcze przed wojną, to prawdziwą popularność zyskały właśnie na przełomie lat 50. i 60., z reguły w bardziej wyrafinowanych formach, jak – odpowiednio – bossa nova i cza-cza, a także salsa (jeden z najmłodszych tańców latynoamerykańskich, który swoją nazwę wziął od... sosu).

Paradoksalnie tańce latynoamerykańskie były niejako krokiem w tył. Ich twórcy lekceważyli bowiem postęp techniczny i społeczny. Paradoks pogłębiało to, że muzycy jazzowi grający eleganckie – w porównaniu z rockiem – bossa novy pokolenie wcześniej uchodzili za buntowników większych niż rockandrollowcy. Ten pozorny brak logiki ma jedno podstawowe wytłumaczenie: muzyka rockowa nadawała się doskonale do tańca indywidualnego, z wzajemnym kontaktem podobnym do tego, jaki mieli XVIII-wieczni tancerze menuetów i polonezów. Cza-cza czy rumba zapewniały tancerzom bezpośredni kontakt i pewien rodzaj intymności.

W latach 70. okazało się, że do tańczenia nie są wcale potrzebne kapele czy zespoły. Wystarczą magnetofon lub adapter, wzmacniacz, kolumny oraz obsługujący maszynerię disc jockey. Z tego zestawu najważniejszy był wzmacniacz, oparty na wynalezionych właśnie tranzystorach i technologii półprzewodników. To dzięki niej narodził się nowy gatunek: disco. Muzyka dyskotekowa miała jednak dość krótką karierę: jej zmierzch zaczął się w Chicago 12 lipca 1979 r. zamieszkami znanymi jako „noc demolowania disco”, gdy widzowie przynieśli na mecz bejsbola swoje znienawidzone płyty i wspólnie je zniszczyli.

Agonia disco trwała jeszcze kilka lat – przyspieszona przez punk, który jednak nadaje się co najwyżej do tańczenia pogo – a w tym czasie pojawiły się nowe możliwości techniczne i nowa muzyka. Komputery pozwalały dodawać brzmienia automatu perkusyjnego do każdego utworu, co dało podstawę do powstania muzyki house, a także umożliwiały syntezowanie muzyki komputerowej. Wiek XX zakończył się zastosowaniem procesora dźwięku Auto-Tune, który odpowiada za znaczną część muzyki tworzonej współcześnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4f31c2ab4



Wiaczesław Mołotow, Józef Stalin, Nikołaj Jeżow, ludowy komisarz spraw wewnętrznych (NKWD) FOT. WIKIPEDIA

1937-1938 / Horror w ZSRS

Tajemnica wielkiego terroru



Piotr Zychowicz

Sowiecka czystka żyła własnym życiem. Toczyła się niczym kula śniegowa i pożerała kolejne tysiące ofiar

W latach 1937–1938 przez Związek Sowiecki przetoczyła się fala wielkiego terroru. Historycy oceniają, że krwawe czystki mogły pochłonąć nawet milion ofiar śmiertelnych. Ludzie ci byli mordowani strzałem w tył czaszki w kazamatach NKWD na terenie całego czerwonego imperium.

Kolejne setki tysięcy ofiar trafiły do łagrów za kołem podbiegunowym. W tych koszmarnych latach w Związku Sowieckim nikt nie mógł czuć się bezpiecznie. Czarny samochód mógł nocą przyjechać po każdego. Od zwykłego robotnika do sekretarza partii komunistycznej. Były to czasy wielkiego strachu.

Jaka była mechanika wielkiego terroru? Otóż było to zjawisko znacznie bardziej skomplikowane, niż mogłoby się wydawać. Według stereotypowej opinii całość zbrodniczej operacji zaplanował Józef Stalin, który następnie – od początku do końca – kierował mordowaniem z Kremla.

Nic bardziej mylnego. Impuls do rozpoczęcia czystki oczywiście przyszedł z góry. Ale olbrzymią rolę w nakręcaniu się błędnego koła terroru miały inicjatywy oddolne w regionach Związku Sowieckiego. W efekcie sytuacja szybko wymknęła się spod kontroli i terror nakręcał się samoistnie. Zaczął żyć własnym życiem.

Normy zabijania

Wielki terror był zjawiskiem sowieckim, a więc działał jak wszystko w Związku Sowieckim. Przede wszystkim zgubne okazały się takie – charakterystyczne dla epoki drugiej pięciolatki – zjawiska jak praca na akord i przekraczanie norm. Dotyczyło to nie tylko

eprasa.pl f4f31c2ab4

robotników z fabryk Magnitogorska, lecz także oficerów śledczych NKWD.

Mordercy w czapkach z błękitnym otokiem również musieli wykonać normę. Byli pracownikami sowieckimi i obowiązywały ich te same reguły gry. Z centrali w Moskwie w teren szła dyrektywa: Rozpoczynamy akcję specjalną. Obwodowe NKWD musi wykryć tyle i tyle spisków, rozbić tyle i tyle organizacji antysowieckich i aresztować tylu i tylu wrogów ludu. Spośród tych ostatnich tylu i tylu musi być rozstrzelanych, a tylu i tylu wysłanych do łagrów.

Co robiło lokalne NKWD, gdy dostawało takie pismo? Oczywiście brało się do roboty. Funkcjonariusze golili głowy – wzorem był towarzysz Jeżów – i przez kolejne dni i tygodnie nie wychodzili z „pracy". Niczym na taśmie produkcyjnej przesłuchiwali i mordowali kolejnych „wrogów ludu". Określenie to wziąłem w cudzysłów, ponieważ 99,99 proc. ofiar wielkiego terroru było niewinnych.

Narzucona przez Moskwę norma już na wstępie była absurdalnie wyśrubowana. Dowódcy obwodowego NKWD – zgodnie z logiką stachanowską – deklarowali jednak Moskwie, że normę znacznie przekroczą. Czyli wykryją jeszcze więcej spisków, rozbiją jeszcze więcej organizacji antysowieckich i aresztują jeszcze więcej wrogów ludu. NKWD z Mińska nie mogło przecież być gorsze niż NKWD ze Smoleńska.

Był to klasyczny system socjalistycznej rywalizacji pracy. Chodziło o przypodobanie się Moskwie i pokonanie rywali z sąsiednich obwodów, co wiązało się z pozyskaniem sutych apanaży. W grę wchodził jednak również zwykły ludzki strach. W przypadku niewypełnienia normy dowódcy i oficerowie lokalnego NKWD zostaliby natychmiast oskarżeni o sabotaż i postawę antysowiecką. A konsekwencje tego były oczywiste – sami trafiliby do pokojów przesłuchań, a następnie do zalanych wapnem dołów śmierci.

Teczka Stalina

Machina terroru pędziła więc do przodu. Był tylko jeden problem. Skąd wziąć tylu wrogów ludu? Aparat NKWD szybko znalazł na to pytanie odpowiedź. Trzeba było wymuszać fałszywe zeznania. Stosowano przy tym straszliwe tortury. Więźniowie byli sadzani na odwróconych stołkach, łamano im palce w drzwiach, wybijano zęby i gruchotano kości. Zrywano paznokcie i poddawano elektrowstrząsom.

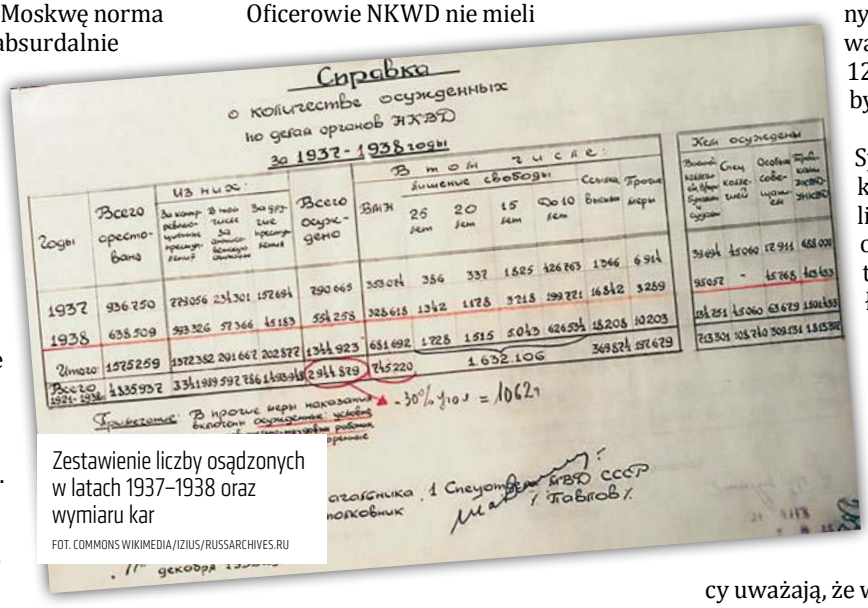
Wszystko to wynikało z pośpiechu. Oficerowie NKWD nie mieli czasu na drobiazgowe przesłuchiwanie podejrzanych. Celem śledztw nie było przecież ustalenie prawdy. Odwrotnie – ofiara miała przyznać się do całkowicie wyssanych z palca zarzutów. Z reguły było to oskarżenie o szpiegostwo i sabotaż. Na przykład przygotowywanie zamachu na towarzysza Stalina w porozumieniu ze służbami Japonii, Polski i III Rzeszy.

Demoniczny charakter wielkiego terroru polegał nie tylko na tym, że znękani torturami, doprowadzeni do obłędu ludzie miotali oskarżenia przeciwko sobie samym. Najgorsze było to, że drugim i najważniejszym celem przesłuchań było wydobycie od nich nazwisk innych uczestników rzekomych spisków i organizacji antysowieckich. A ponieważ żadnych spisków i organizacji antysowieckich nie było, ludzie podawali nazwiska Bogu ducha winnych znajomych, kolegów z pracy czy członków rodzin. W ten sposób wielki terror narastał jak kula śnieżna. Jeden aresztowany podawał nazwiska pięciu „wspólników". Tych pięciu „wspólników" było natychmiast aresztowanych i poddanych torturom. Oczywiście podawali oni nazwiska kolejnych 25 ludzi. Tych 25 podawało nazwiska następnych 125. W kolejnym kręgu było to już 625 nazwisk...

Praca szła na akord. Specjalne komanda egzekutorów nocami rozstrzeliwały kolejne tysiące osób. Lufy pistoletów topiły się od tysięcy strzałów, ale w więzieniach cały czas przybywało więźniów. Więcej, więcej, więcej. Kto wie, jakby się to skończyło, gdyby Stalin wreszcie nie zdecydował, że wystarczy, i nie wyhamował wielkiej czystki?

Niektórzy historycy uważają, że władca Kremla działał wówczas we własnym interesie. W sejfie Jeżowa leżała bowiem podobno obszerna teczka z materiałami obciążającymi dyktatora.

Pan i władca Związku Sowieckiego również nie mógł wówczas spać spokojnie. Bo skoro NKWD mogło aresztować i zamordować takich członków starej gwardii jak Zinowiew, Rykow czy Radek, to dlaczego któregoś dnia nie mogłoby zapukać do mieszkania towarzysza Stalina?


Справка
о количестве осужденных
по делам органов НКВД
за 1937-1938 годы

Zestawienie liczby osądzonych w latach 1937–1938 oraz wymiaru kar

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/IZIUS/RUSSARCHIVES.RU

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4f31c2ab4

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

NIEMIECKA OFENSYWA W ARDENACH W GRUDNIU 1944 ROKU ZASKOCZYŁA ALIANTÓW I ZMUSIŁA DO POŚPIESZNEGO PRZYGOTOWANIA OBRONY MIAST. 101 DYWIZJA POWIETRZNODESANTOWA ZOSTAŁA SKIEROWANA DO WERBOMONT, JEDNAK GDY KOLUMNA ŻOŁNIERZY PRZEJEŻDŻAŁA PRZEZ BASTOGNE ZOSTAŁA ZATRZYMANA PRZEZ GENERAŁA McAULIFFE'A.



POD BASTOGNE ZMIERZAŁA NIEMIECKA 2 DYWIZJA PANCERNA I WKRÓTCE MIASTO ZOSTAŁO OTOCZONE. NIEMCY PROWADZILI ATAKI Z RÓŻNYCH KIERUNKÓW I TYLKO DZIĘKI SPRAWNEMU PRZERZUCANIU ŻOŁNIERZY POMIĘDZY LINIE OBRONY, UDAŁO SIĘ ICH POWSTRZYMAĆ. KOŃCZYŁY SIĘ JEDNAK ZAPASY AMUNICJI, ŻYWNOŚCI I LEKARSTW.









NA SZCZĘŚCIE DLA OBROŃCÓW BASTOGNE, 23 GRUDNIA PRZESTAŁ PADAĆ ŚNIEG I MOŻNA BYŁO ZRZUCIĆ BLISKO 1500 POJEMNIKÓW Z ZAOPATRZENIEM. POZWOLIŁO TO UTRZYMAĆ ZAJMOWANE POZYCJE.



DAŁO TO CZAS, ABY DO BASTOGNE PRZEBIŁ SIĘ, DOWODZONY PRZEZ PODPUŁKOWNIKA ABRAMSA 37. BATALION CZOŁGÓW NALEŻĄCY DO 5 DYWIZJI PANCERNEJ. PIERWSZE CZOŁGI DOTARŁY DO MIASTA 26 GRUDNIA, A OTWARTYM KORYTARZEM ZACZĘŁO DOCIERAĆ DO OBROŃCÓW ZAOPATRZENIE.



eprasa.pl f4f31c2ab4

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

HISTORIA DO RZECZY

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA Z TERESĄ ROMER ROZMAWIA MICHAŁ LEWANDOWSKI: „CZUJĘ SIĘ UPRZYWILEJOWANA"

Czuję się uprzywilejowana

Ilość archiwaliów niezbadanych i wymagających opracowania wciąż przyprawia o zawrót głowy. Uwaga uczonych skupia się zwykle w większym stopniu na tego rodzaju źródłach „poważnych", a tymczasem gdzieś z boku na głos cierpliwie czekają świadkowie Historii. Ich świadectwa są nie mniej ważnie od urzędowych protokołów, raportów i sprawozdań. Badacze zainteresowani dziejami emigracji polskiej po roku 1939 coraz częściej wykorzystują konwencję „książek mówionych".

Wyścig z czasem trwa. Ostatni świadkowie Historii odchodzą cicho i niepostrzeżenie. Coraz trudniej znaleźć nie tylko uczestników tamtych wydarzeń, ale również ich bliskich krewnych, którzy w sposób świadomy przeżywali tę Historię z nimi.

Do osobistych świadectw bezwzględnie zasługujących na bycie usłyszanymi i zapamiętanymi należy opowieść pani Teresy Romer. Historykom dokumentującym dzieje polskiej emigracji jest to postać doskonale znana. Wszak to głównie dzięki jej wysiłkom pamięć o zasługach Tadeusza Romera jest powoli przywracana, a jego wkład w kształtowanie polskiej polityki zagranicznej w trudnych latach II wojny światowej zyskuje należyte uznanie. Córka polskiego dyplomaty od wielu lat niestrudzenie przypomina pracę ojca na rzecz utrzymania ciągłości państwowości polskiej po katastrofie wrześniowej oraz jego heroiczną walkę o ratunek dla uchodźców polskich i żydowskich na Dalekim Wschodzie.

(fragment Przedsłowia)



159 zł

oszczędność 43 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl f4f31c2ab4

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl f4f31c2ab4